

Kobieca
strona
thrillera

Pozwól sobie pomóc

ZANIM
BĘDZIE
ZA PÓZNO

LAUREN
FRANKEL

Prószyński i S-ka

ZANIM
BĘDZIE
ZA PÓŹNO
LAUREN FRANKEL

Przełożyła
Magdalena Rychlik

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
HYACINTH GIRLS

Copyright © 2015 by Lauren Frankel

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce
© Flickr RM/Getty Images

Redaktor prowadzący
Anna Czech

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Maciej Korbański

ISBN 978-83-8069-924-3

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl

Dla Johna

„Daleś mi hiacyny rok temu pierwszy raz.
Nazywano mnie hiacynową dziewczyną”.
– Ale gdy wracaliśmy, późno, z Hiacynowego Ogrodu
I miałaś pełne ręce, mokre włosy, ja nie mogłem już
Mówić i ćmiło mi się w oczach, i nie byłem
Żywy ani umarły. Nie wiedziałem nic,
Zapatrzony w serce światła, w ciszę.
Oed' und leer das Meer.

T.S. Eliot, Ziemia jałowa,
przeł. Czesław Miłosz

Prolog

Tamtego chłodnego październikowego poranka obserwowałam dwóch mężczyzn w kaskach, którzy unosili na linach billboard z wizerunkiem Callie. Siedziałam w zaparkowanym samochodzie wśród ulicznego zgiełku i żułam gumę. Olbrzymi plakat powiewał na wietrze niczym ciemny sztandar. Przyjechałam z samego rana, ponieważ chciałam być pierwszą osobą, która ją tu zobaczy. Obiecywałam sobie, że będę skoncentrowana i spokojna. Nieporuszona jak skała. Nie sięgnę po chusteczki i nie wybuchnę płaczem na środku autostrady.

Robotnicy w odblaskowych kamizelkach pracowali coraz szybciej, dopasowali zdjęcie do ramy i wygładzali je wałkami. Wyszłam z samochodu i stanęłam na poboczu, żeby nie oddzielała mnie od niej szyba. Wyglądała zupełnie inaczej. Callie miała czternaście lat, znałam ją od urodzenia, ale nawet jej piegi, powiększone do takich rozmiarów, wydawały się obce. Włosy były zaskakująco jasne, jakby ufarbowane pod kolor słońca, szeroko otwarte zielone oczy patrzyły w stronę miasteczka. Działo się to na Whitfield Road, około czterystu metrów od szkoły, w niezbyt malowniczej części Pembury (bez kamiennych budowli i strzelistych wież kościołów). Wszyscy tędy przejeżdżali w drodze do szkoły i do pracy, będą musieli na nią patrzeć, chyba że wybiorą okrężne, wyboiste ścieżki.

Oczyma wyobraźni widziałam ich reakcję, kiedy po raz pierwszy dostrzegą plakat. Ludzie z naszego miasteczka, dzieci i dorośli. Oczywiście poleją się łzy. Szkolne autobusy pełne zapłakanych dzieciaków. Spontaniczne czuwania przy świecach i pikniki na trawie. Czasami, w chwilach złości, wymyślałam bardziej drastyczne historie. Wypadki samochodowe, poparzenia części intymnych gorącą kawą, kłótnie o to, by jechać inną trasą. Może jeden z chłopaków z jej listy zatrzyma się w osłupieniu i nie zauważy pędzącej ciężarówki. Niewygodne pytania przy rodzinnym stole w Święto Dziękczynienia. O plakat przy drodze.

„Chodziła z Adamem do szkoły”, powie jakaś matka, a jej syn wstrzyma oddech. Kobieta popatrzy w talerz i doda z wysiłkiem: „Nie słyszeliście, co się stało?”. Wszyscy odłożą sztućce.

Grafik, który zaprojektował plakat, rozpoznał ją, gdy tylko spojrzał na zdjęcie. Od września bez przerwy pokazywali jej twarz w wiadomościach. Wybrana przeze mnie fotografia przedstawiała poważną dziewczynkę ze zmarszczonymi jasnymi brwiami.

Zrobiłam ją minionego lata, kiedy problemy już się zaczęły, a ja jeszcze o nich nie wiedziałam, żyłam w błogiej nieświadomości. Coś widziałam, ale nie wiedziałam, na co patrzę. Tamtego dnia siedzieliśmy w ogrodzie wynajmowanego domu i rozkoszowaliśmy się słońcem. Pszczoły gęsto obsiadły kwiaty lawendy, śpiewały ukryte w krzakach ptaki. Callie miała drobne włoski na zgiętych kolanach. Przeciągnęła się, zakrzywiając szczupłe palce nad głową. Sięgnęłam po aparat fotograficzny. „Uśmiechnij się”, powiedziałam. Nie uśmiechnęła się, a ja nie zwróciłam na to uwagi. Grafik uderzył w klawiaturę i na monitorze jego komputera ukazała się buzia Callie. „Jakie hasło sobie pani życzy obok zdjęcia?”, zapytał. „Znasz swoje dziecko?”. „Ja?”, zdziwił się. „Nie, taki napis ma być na plakacie”.

Znasz swoje dziecko? Drukowane litery po lewej stronie podobizny Callie. Niezbyt subtelne pytanie, ale właściwe. Dla niektórych zabrzmiało jak oskarżenie. *Wiesz, co oni zrobili? Do czego są zdolni?* Dla innych będzie ostrzeżeniem. *Na tym zdjęciu mogłoby być Twoje dziecko.* Czasem myślę, że to pytanie wyłącznie do mnie. Ma mi przypominać o mojej porażce. Nigdy nie byłam biegłą w łączeniu faktów.

Często opowiadałam Callie jedną z historii z mojego dzieciństwa – jako dwunastoletnia dziewczynka uwierzyłam, że jestem opętana przez demona. Oczywiście przeżywałam zwykłe problemy związane z dojrzewaniem: huśtawkę hormonalną, dziwaczne kompulsje i wrażenie utraty kontroli. Niemożliwe, abym to była ja, myślałam. Ubzdurałam sobie, że coś musiało we mnie wstąpić. Przyjrzałam się objawom i postawiłam sobie diagnozę: opętanie. Potrzebowałam egzorcyzmów, więc błagałam o pomoc swoją najlepszą przyjaciółkę, Joyce. Zgodziła się przeprowadzić ceremonię na łożu z baldachimem w swojej sypialni. Recytowała zaklęcia, śpiewała i pohukiwała jak indiański wódz. Wyobrażnia Joyce była silniejsza od mojej – jako jej przyjaciółka nigdy nie miałam co do tego wątpliwości – toteż kiedy oświadczyła, że demon został przepędzony, nawet nie przyszło mi do głowy kwestionowanie jej słów. Poczułam ulgę i ogromną wdzięczność. „Ale wiesz, że nie byłaś opętana?”, śmiała się ze mnie Callie. Kiwałam z uśmiechem głową, jednak wówczas byłam o tym absolutnie przekonana. Przeanalizowałam objawy i zrozumiałam je po swojemu. Całe życie tak robię – wyciągam błędne wnioski.

Z Callie było jeszcze gorzej. Myślałam, że ją znam na wylot. Potrafię prześledzić jej życie na podstawie tysiąca wspomnień. Oto różowy, pomarszczony noworodek w beciku i niewyraźny głos Joyce: „Rebecca, jestem matką!”. Następnie pyzata dwulatka, skora do uśmiechu i podśpiewująca dziecięce piosenki, mała dziewczynka perorująca na temat dżdżownic na chodniku. W wieku dziesięciu lat oświadczyła, że zostanie biolożką. Kiedy miała jedenaście lat, przekonała mnie do przejścia na wegetarianizm. Znałam wszystkie jej upodobania, od marki szamponu po ulubiony zespół i owoce. Prałam jej bieliznę i wysłuchiwałam opowieści o koszmarnych snach. Setki razy widziałam, jak zasypia. Była mi tak bardzo bliska. Tak dobrze znałam jej

zwyczaje. Sądziłam, że ją rozumiem, i wierzyłam, że to się nigdy nie zmieni.

W rzeczywistości nie rozumiałam nawet samej siebie. Nie wiedziałam, jak zareaguję. Nie poczułam spodziewanej satysfakcji na widok rozwieszonego plakatu. Słowa obok powiększonej twarzy wydawały się puste, pozbawione znaczenia. Znasz swoje dziecko? Czy ktokolwiek zna swoje dziecko? Te dzieciaki same nie miały pojęcia, kim są. Skąd mogli to wiedzieć ich rodzice? Co mną kierowało: próba pomocy czy wrogość? Kobieta z problemami i jej złośliwy wybryk. Gdy wróciłam do auta, przypadkowo zerknęłam na swoje odbicie w lusterku: podkrążone oczy, związane włosy, płaszcz wciąż przesiąknięty szpitalnym zapachem. Kim byłam, żeby czynić tego rodzaju gesty? Skromną pomocą dentystyczną. Kobieta, która piekła babeczki na szkolne festyny. Trzydziestoczterolatką bez przyjaciół, która wychowywała córkę swojej najlepszej przyjaciółki. Popatrzyłam na billboard, zadając sobie pytanie, czy to istotnie sprawiedliwość. Ludzie i tak będą myśleć swoje. Mogą powiedzieć, że Callie dostała to, na co sobie zasłużyła. Niektórzy dostrzegą w niej ofiarę. Inni będą zdumieni, że coś takiego w ogóle mogło się wydarzyć w naszym miasteczku. Tak czy inaczej, jej obecność będzie im to przypominać – podczas wieczornych wypadów, w drodze do pracy, na mecze lub potańcówki. Jej skóra lśniąca w jasnym świetle ulicznych lamp.

1

Chcąc uczciwie opowiedzieć, co się stało, muszę wrócić do kwietniowego dnia sprzed pół roku. Odebrałam wówczas telefon ze szkoły Callie. Wolałabym nie opisywać wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach. Chciałabym na przykład pominąć głupiotkie marzenia na jawie, którym oddawałam się tuż przed odebraniem telefonu. Nie były to szczególnie perwersyjne fantazje, bez lateksowych kombinezonów czy innych seksualnych fetyszy. Właściwie dość niewinne. W stylu retro. Pocałunki i nic więcej. Nuda i obraza feminizmu. Pochylałam się nad pacjentem, żeby zdjąć kamień z zębów, a on składał mi propozycję.

W myślach nazywałam ich „przepustkami”, wybierałam tych szczupłych, nieco anemicznych. Mężczyzn, którzy mieszkali sami w pięciopokojowych mieszkaniach i dojeżdżali do miasta, gdzie pracowali po kilkanaście godzin na dobę. Taki mężczyzna z pewnością miał dosyć kolacji z mikrofalówki i tłustych, drogich chińskich dań na wynos; w sekrecie marzył o domowym obiedzie. Wyobrażałam sobie nagły błysk porozumienia, kontakt wzrokowy ponad moją chirurgiczną maską, przypadkowe dotknięcie rąk podczas odrywania kawałka nici dentystycznej. Bum! jak piorun sycylijski. Jakbyśmy oboje czekali na ten moment od zawsze i oto jest – moja przepustka do zupełnie innego życia. Serce biłoby mi jak szalone, on pochyliłby się do przodu i zapytał, czy nie znam kogoś, kto szukałby pracy jako kucharz. Oferta z zakwaterowaniem.

W tamtym okresie życia uczyłam się gotować w naszej małej wynajmowanej kuchni. Postanowiłam opanować do perfekcji jedną nową technikę miesięcznie. Cierpiałam na bezsenność, więc nocami miałam dużo czasu, którego w innym wypadku zapewne bardzo by mi brakowało. Spędzałam wiele godzin na sennym rozkładaniu składników i nagrzewaniu piekarnika, w którym przypalałam ciasta i robiłam nieudane suflety, po kilka razy z rzędu. Marnowałam mnóstwo mąki i jajek. Uwielbiałam to. Uwielbiałam chwile, gdy moje ciało i umysł były całkowicie zaabsorbowane jakąś czynnością, zapominałam wtedy, kim jestem, skupiona na pracy. Zmysł dotyku zajęty konsystencją ciasta, wzrok pochwycony przez połysk ubijanego białka, automatyczne ruchy rąk ubijających pianę. Kiedy byłam skoncentrowana, moje lęki zniknęły, tak jakby wszystko, na co nie miałam wpływu, mogło zostać rozwiązane, jeśli tylko poświęcę temu wystarczająco dużo uwagi. Każdy kulinarny sukces –

potrawa podobna do tej ze zdjęcia w książce kucharskiej – urastał do rangi dowodu na to, że ciężka praca, stosowanie się do wskazówek i intensywna koncentracja pomogą mi osiągnąć każdy cel. Wszystko będzie dobrze.

Tamtego kwietniowego popołudnia fantazjowałam więc sobie w najlepsze. Wszystko układało się po mojej myśli. Pacjent nie miał obrączki i nie wyglądał na zboczeńca. Miał drogie buty i dobre ubezpieczenie świadczące o niezłej płatnej pracy. Zaczęłam sobie wyobrażać rozmowę kwalifikacyjną i pierwszy posiłek, który dla niego ugotuję. Wybrałam wegetariański gulasz, niezbyt pikantny. Dwa razy poprosił o dokładkę, następnie złożył mi hojną propozycję, abym się do niego wprowadziła razem z Callie. Miałybyśmy do dyspozycji cały luksusowo wyposażony dom ze słoneczną kuchnią. Marmurowe blaty, kuchenka z sześcioma palnikami i najlepsza na rynku maszynka do robienia chleba. Powiedział, że rzadko bywa w domu i mogę gotować, co tylko chcę. Mamy czuć się z Callie jak u siebie, oczywiście Callie może korzystać z basenu i zapraszać przyjaciół.

Mężczyzna rzeczywiście przemówił. Zapytał, czy może wypluć ślinę, i pochylił się nad miską. Zadałam mu pytanie, czy ma wrażliwe zęby. Zauważyłam, że są starte, i podejrzewałam nocne zgrzytanie. Była to coraz częstsza przypadłość wśród naszych pacjentów – doktor Rick twierdził, iż wszystkiemu winna jest recesja. Zaczęliśmy rozmawiać o aparacie na noc, a potem ogólnie na temat technik relaksacyjnych. Medytacja, joga, coś, co pozwoli mu się rozluźnić.

– Mnie uspokaja gotowanie – wyznałam. Uniósł brwi w wyrazie przyjaznego zainteresowania. – Jadł pan kiedyś lawendowe babeczki? – zapytałam. – Lawenda działa uspokajająco. – Pokręcił głową. Naprawdę przypadł mi do gustu ten mężczyzna o bladej, niezdrowej cerze i zębach pokruszonych od zaciskania szczęki. – Mogę panu dać przepis – zaproponowałam. – Zawierają niewiele cukru.

– Nie, dziękuję. Ja nie umiem gotować.

Wyobraziłam sobie nas śmiejących się po latach z tej rozmowy nad jego basenem w kształcie nerki. Chrzanić polityczną poprawność. Chciałam, żeby mnie uratował. Czy jest jakiś obowiązek snucia fantazji poprawnych politycznie? Na świecie nie ma równości. Ja wychowywałam samotnie dziecko, utrzymując je z pensji higienistki, a on miał więcej pieniędzy, niż potrzebował, i za duży dom. Pragnęłam tylko odrobiny spokoju, czasu na gotowanie, świadomości, że nie jestem jedyną osobą odpowiedzialną za przetrwanie rodziny – życia, jakie wiodło tak wielu ludzi.

Jeszcze nie zadzwoniłam po doktora Ricka, tymczasem drzwi do gabinetu stanęły otworem i sekretarka wręczyła mi karteczkę.

Dzwonili ze szkoły Callie. Prosimi, żebyś oddzwoniła jak najszybciej.

Stałam w pokoju do sterylizacji ze słuchawką przy uchu. Słuchałam słów dyrektorki

i spazmatycznie chwytałam powietrze. Słowa. Dużo słów. W większości niezrozumiałych. Zapach środków dezynfekujących.

– Jest w szoku – oświadczyła dyrektorka. – Ta druga uczennica jest w szoku.

Zostawiłam pacjenta pod opieką Annette i pobiegłam odebrać nieoczekiwany telefon ze szkoły, który śmiertelnie mnie wystraszył. Oczekiwałam najgorszego, panicznej jazdy do szpitala. Nie pojmowałam, co słyszę. Nogi wciąż się pode mną trzęsły.

– Atrament? – powtórzyłam.

– Tak. Na twarz. No i bluzka. Nadaje się tylko do wyrzucenia.

Istnieje kilka niewłaściwych reakcji na wiadomość, że córka oblała kogoś atramentem. Nie należy wybuchać płaczem i opowiadać o problemach w domu. Nie należy zachowywać się jak typowa matka kryminalisty i krzyczeć: „Ona nie mogłaby zrobić czegoś takiego!”. Niezbyt mądre jest także przyjęcie postawy defensywnej i pytanie, czym została sprowokowana. W tamtej chwili nie myślałam jednak o tym, co jest właściwe.

– Nie, nie ma mowy. Callie nie wdaje się w kłótnie. To jakaś pomyłka. Tamta dziewczyna pewnie zaczęła?

– Nic jej nie zrobiła – odparła z odrazą dyrektorka. – Była zajęta pracą przy swoim biurku, kiedy Callie ją zaatakowała.

Dzieliłam z Callie mieszkanie o powierzchni sześćdziesięciu pięciu metrów kwadratowych. Jadałyśmy wspólnie posiłki, plotkowałyśmy, żartowałyśmy. Miałyśmy nawet wspólne buty, odkąd zaczęłyśmy nosić ten sam rozmiar. Podczas leniwego popołudnia w domu zarzucała nogę na moją nogę i proponowała, że pomaluje mi paznokcie, narzekała na nieobcięte skórki i zachęcała do wypróbowania ciemnofioletowego lakieru. Zawsze była bezkonfliktową dziewczynką, uczuciową i lubiącą zabawę; to ona inicjowała grupowe uściski w gronie przyjaciół i skakała z radości, słysząc dobre wieści.

– Przecież Callie jest taka łagodna – powiedziałam i zaczęłam wymieniać przykłady. Pająki w toalecie, żuki na szybie, na wpół żywe muchy na parapecie – zbierała je wszystkie i wypuszczała na wolność. „Nasosznik”, mówiła. „Komarnica”. Kiedyś użądliła ją w rękę osa, którą usiłowała oswobodzić. „Czy osy umierają po ukąszeniu?”, martwiła się, polewając piekące miejsce zimną wodą.

– Zanim podejmiemy jakiegokolwiek środki dyscyplinarne, kontaktujemy się z rodzicami – poinformowała mnie pani Jameson.

A potem po raz pierwszy wypowiedziała to słowo. Przemoc.

Mieszkałyśmy w Pembury – małym miasteczku w stanie Connecticut. Kiedyś były tu wyłącznie gospodarstwa rolne i hodowle bydła, ale nie pamiętam tych czasów. Dziś mieliśmy sklepy, kawiarnie, a nawet małą francuską piekarnię, gdzie sprzedawano

wykwintne pastelowe makaroniki. Były też luksusowe wille. Miasteczko jak ze snu: świeże powietrze, zielone wzgórza, na których pasły się krowy, i żyzne ziemie, które przyciągnęły wielu bankierów i finansistów. To za ich sprawą Pembury uległo przeobrażeniu. Wykupili stare gospodarstwa, tradycyjne wiejskie budowle zamienili w nowoczesne wille ze świetlikami w dachach i pokojami do gier. Stołowali się w nowo powstałych etnicznych restauracjach. Zapisywali swoje maluchy na drogą siłownię dla dzieci, nie tracąc przekonania, iż zapewniają im tradycyjne wychowanie. Przyjechałam do Pembury ze względu na Callie. Zwabiona informacjami o dobrych szkołach, leśnych szlakach spacerowych, wyjątkowo niskiej przestępczości. Chociaż sama wyrosłam w małym miasteczku, nie brałam pod uwagę minusów takiego życia.

Myślałam o tym, na jak długo etykieta agresora przylgnie do Callie. Szepty wśród rodziców, lodowate spojrzenia mieszkańców miasteczka. Agresywne dziecko nasuwa natychmiastowe skojarzenie z patologią. Dzieci stają się agresywne na skutek zaniedbania. Nawet sprawcy szkolnych strzelanin byli mniej piętnowani: To nie jego wina, był dręczony przez kolegów.

Jeżeli Callie zostanie zakwalifikowana do tej kategorii ludzi, inne dzieciaki zaczną jej unikać. Nauczyciele będą patrzeć na nią podejrzliwie i zaniżać oceny, nie zdając sobie nawet sprawy, że kierują się uprzedzeniami. Stanie się obiektem dyskusji i analiz. Ja również – jako osoba, która wychowała agresywne dziecko.

Kiedy parkowałam samochód za szkołą Callie przed spotkaniem z dyrektcją, wciąż jeszcze miałam nadzieję na szybkie wyjaśnienie sytuacji. Może wylała ten tusz przez przypadek? Potknęła się? Chciałam dla niej łatwego życia i prozaicznych problemów – takich, jakie poruszały seriale komediowe z lat osiemdziesiątych, które oglądałam. Nieudana pierwsza randka, koszmarna fryzura, impreza, na której przesadzi z alkoholem i stwierdzi, że to jednak nie dla niej. Pragnęłam dylematów, które da się rozstrzygnąć w pół godziny lub mniej – aplauzu publiczności, wesołej piosenki i napisów końcowych.

Oba skrzydła szkolnych drzwi frontowych stanęły otworem i z budynku zaczęły wychodzić uczniowie. Machali kolorowymi torbami, śmiali się, pisali SMS-y. Tłum stopniowo się przerzedzał, wychodziły już tylko pojedyncze osoby: chłopcy z ekwipunkiem do hokeja, nauczyciel pilnujący rowerów.

Callie, Dallas i Ella umościły się na tylnym siedzeniu samochodu. Pachniały słodyczami, lakierem do włosów i balsamem do ciała. Szczupłe nastolatki z kolorowymi kreskami na powiece. Były sobie bliższe niż rodzone siostry, przyjaźniły się od pierwszej klasy. Nazywałam je syjamskimi trojaczkami. Kiedy były małe, splotły włosy w jedną fryzurę i tak połączone usiłowały poruszać się po domu, wrywając sobie nawzajem jasne kosmyki. Zazwyczaj roześmiane i rozgadane – dziś milcząco położyły plecaki pod nogi, nawet nie wyjęły telefonów.

– Ktoś do ciebie dzwonił? – spytała Callie, pocierając jedną ze swoich gumowych

bransoletek, pomarańczową z czarnym wzorem zwierzęcych łap. Wszystkie jej bransoletki miały jakiś związek z walką o prawa zwierząt.

– Pani Jameson – odpowiedziałam wprost. – Wiem o wylanym tuszu.

Callie zachowywała stoicki spokój w niemal każdej trudnej sytuacji, dlatego zdziwiłam się, widząc, jak bardzo jest wzburzona.

– Nie wierzę. – Zgięła się wpół, ukrywając twarz. – Nawet do niej nie podeszłam.

– Robyn to straszna kłamczucha! – Dallas nachyliła się ku mnie. – Zawsze naprzykrza się Callie. Chodzi za nią jak jakaś maniaczka. – Dallas była wybierana na przewodniczącą samorządu szkolnego dwa lata z rzędu. Mówiła z przekonaniem osoby nawykłej do tego, że jest słuchana. Pokręciła z oburzeniem głową – miała prawie białe włosy, jak małe dziecko pod koniec długich wakacji – i klepnęła Callie w plecy. – Powiedz Rebecce, co ona ci nagadała.

– Co takiego? – zapytałam.

– Wygaduje różne rzeczy na temat mamy Callie – wyjaśniła Dallas. Callie, wciąż schylona, pocierała twarz o materiał różowych, obcisłych dżinsów.

Zanim zdołałam zareagować, wtrąciła się Ella:

– Robyn sama się oblała.

Gdy Callie pociągnęła żałośnie nosem, Ella ją objęła. Zaczęłam przeszukiwać torebkę w nadziei, że znajdę chusteczki. Nigdy wcześniej nie słyszałam o żadnej Robyn, ale Dallas chętnie podzieliła się ze mną informacjami na jej temat. Robyn nosiła obcisłe ubrania i lubiła być w centrum zainteresowania. Zapewne oblała się farbą, żeby ściągnąć na siebie uwagę całej klasy.

– Widziałas to? – spytałam Elle.

Pokiwała głową, nie wypuszczając Callie z objęć. Krótkie włosy opadły jej na czoło.

– Cała zalala się farbą.

Zdałam sobie sprawę, że dyrektorka się pomyliła.

– Pani Jameson twierdzi, że to był tusz, a nie farba.

– Farba. Na zajęciach plastycznych. Robyn wylała ją sobie na bluzkę, kiedy nauczycielka wyszła z klasy.

Callie uniosła drobną, mokrą od łez buzię. Kosmyki złotych włosów wymknęły się z koka, a precyzyjna kreska rozmyła się i spłynęła cienkimi strużkami w stronę uszu. Dallas podała jej paczkę chusteczek, na opakowaniu były rysunki przedstawiające koty z kreskówki. Callie wydmuchwała zaczerwieniony nos. Wyglądała na zdruzgotaną, a jej przyjaciółki na szczerze zmartwione.

– Pani Dimmock nas nie lubi – poskarżyła się Ella. – Nigdy nie przepadała ani za Callie, ani za mną. Dlatego uwierzyła Robyn.

– Chociaż wszyscy w szkole wiedzą, że Robyn jest kłamczuchą – dodała Dallas. – Ona ma *problemy ze sobą*.

– A Callie nigdy jej nie powiedziała, żeby się odczepiła. Jest zbyt łagodna – zgodziła

się Ella.

Dziewczęta zaczęły snuć domysły na temat motywacji Robyn. Może chciała zwrócić na siebie uwagę Callie, wylewając na siebie farbę. A kiedy to nie zadziało, naskarżyła na nią. Albo pomyślała po prostu, że wpędzenie Callie w kłopoty będzie bardzo zabawne. Podczas gdy jej przyjaciółki wysuwały kolejne hipotezy, Callie miała moką chusteczkę. Zagryzła wargi i pokręciła głową. Sięgnęłam do tyłu i poklepałam jej kolano, chciałam, żeby wiedziała, że jej wierzę. Dallas klepnęła ją w ramię.

- Wiesz, co ja myślę? – rzuciła lekko. – Ona się w tobie zakochała.
- Nie martw się, Callie. Wyjaśnię to – obiecałam.

Wieczorem dowiedziałam się od Callie, co Robyn powiedziała o jej mamie. Siedziałyśmy po turecku na łóżku, a nad naszymi głowami wisiały zdjęcia, które Callie przykleiła taśmą do ściany. Zerknęłam na fotografię jej matki, którą sama zrobiłam. Stała na dyniowym polu. Wcześniej przyglądałyśmy się produkcji cydru. Callie miała wtedy cztery lata.

– Powiedziała, że wolała umrzeć, niż codziennie na mnie patrzeć – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Przypomniałam sobie słowa psychologa: Dziecko może chwilowo zawiesić przeżywanie żałoby, ale to nie znaczy, że już sobie z nią poradziło. Zawsze tam była, tuż pod powierzchnią, w każdej chwili mogła wypłynąć.

– Przecież wiesz, że to nieprawda! – Callie pokiwała głową. Robyn uznała to za dobry żart. – Doskonale bym cię zrozumiała, gdybyś oblała ją farbą za coś takiego.

– Nie zrobiłam tego. – Oswobodziła się z mojego uścisku.

Wyobraziłam sobie Robyn jako dziecko kompletnie pozbawione empatii. Kogoś, kto nigdy niczego nie stracił i był pozbawiony głębi. Jako złą osobę. Czytałam o takich nastolatkach: ich emocje obumierały. Spędzały cały wolny czas przed komputerem i zapominały, że ludzie mają uczucia.

– Nikt normalny nie powiedziałby czegoś tak perfidnego – stwierdziłam.

Callie bawiła się szyszką, którą wzięła z nocnej szafki. Zawsze lubiła przebywać na powietrzu. Zbierała gałęzie, liście i maleńkie szkielety ptaków. Przechowywała je jak najcenniejsze skarby. Teraz wsunęła palce między krawędzie szyszki i utkwiała we mnie spojrzenie zielonych oczu.

– Mogę nie iść jutro do szkoły?

– Skarbie...

– Wszyscy myślą, że to zrobiłam. – Zadrzała. – Uważają mnie za okropną osobę.

– Nikt tak nie uważa. Pewnie myślą, że to ona jest okropna.

– Nie mogę tam wrócić. – Przycisnęła szyszkę do ust. – Nie mogę tam wrócić,

dopóki wszyscy myślą, że to zrobiłam.

Nie wiedziałam, co robić. Jak jej pomóc. Nawet po tylu latach wciąż czułam się nieudolna wychowawczo. Moje współczucie raczej nie zmieni sytuacji. Popatrzyłam na zdjęcie Joyce w poszukiwaniu inspiracji.

– Jak myślisz, co zrobiłaby twoja mama? – Callie wzruszyła ramionami i pokręciła głową. – O niej też plotkowano. Pamiętasz? Po tym, jak kilku chłopaków próbowało zrzucić mnie ze schodów.

Nie odpowiedziała, mimo że doskonale znała tę historię. Kiedy była młodsza, odgrywałyśmy scenki. Callie zmieniała głos, tak jak ją nauczyłam, i patrzyła na niewidzialnych prześladowców spod przymrużonych powiek. Kiedyś połamala drewniany stolik do kawy, wskakując na niego w ferworze emocji.

– Sprawiała, że zaczęli widzieć inaczej – odpowiedziała w końcu.

Matkę Callie poznałam, gdy miałyśmy po dwanaście lat. Podczas pierwszego tygodnia w gimnazjum. Właśnie miałam zostać zrzucona ze schodów.

Mój kuzyn sam przechodził ciężką inicjację. Niejednokrotnie wracał ze szkoły z podbitym okiem po kłótniach na temat pewnej małomiasteczkowej plotki. Usiłował mnie jakoś przygotować już w wakacje.

– Jeśli będą coś mówić o babci, nie wściekaj się ani nie zaprzeczaj – mówił. – Dowiedz się tylko, jak się nazywają, i mi powiedz.

Dziewczyna Curtisa, Lara, przysłuchiwała się tym radom ze sceptyczną miną, smarując piegi kremem ochronnym.

– Dlaczego po prostu nie kopniesz ich w jaja? – zapytała. – Kopnij ich tam, gdzie zaboli. – Uderzyła butelką z kremem o otwartą dłoń. *Jej* babci nikt nie ośmieliłby się nazwać kurwą.

– Ona się nie bije. – Curtis dotknął mojego wątego ramienia. – Rebecca nie wdaje się w bijatyki.

Niezrażona Lara postanowiła udzielić mi lekcji, korzystając z okazji, że Curtis poszedł do plażowego sklepiku po przekąski. Demonstrowała, jak uderzać w czułe miejsca, wymachiwała umięśnionymi, gładkimi nogami.

– Martwi się o ciebie – oświadczyła. – Boi się, że zjedzą cię tam żywcem.

Nawet jeżeli to była prawda, nie dał mi tego odczuć. Rano przed pierwszym dniem w nowej szkole położył mi dłoń na karku i powiedział:

– Masz ode mnie niewidzialną ochronę, wiesz?

Kiedy stałam u szczytu schodów, nie czułam żadnej niewidzialnej ochrony. Coś uderzyło mnie w głowę.

– Podziękuj babci za zeszłą noc. – Jakiś chłopak rzucił we mnie drobną monetą, która zniknęła pod stopami przechodzących. Nie kopnęłam go w krocze, ale

powiedziałam wystarczająco głośno, by wszyscy słyszeli:

– Gratuluję, masz AIDS. – To było niezbyt mądre kłamstwo. Rozpowiadanie, że moja babcia ma AIDS, raczej nie poprawiało mojej reputacji.

– O cholera. Silibetti ma AIDS.

– Chris, masz AIDS po babci.

Po tej ciężkiej ripocie najchętniej bym odeszła, ale Silibetti jeszcze ze mną nie skończył. Zaciśnął dłoń na moim ramieniu, uśmiechnął się szeroko i złowieszczo. Ten uśmiech trwał ledwie sekundę.

Chłopcy nie powinni bić dziewczynek, zwłaszcza małych, które jeszcze sypiają z misiami, ale Silibetti nie stosował się do ogólnie przyjętych zasad. Od uderzenia bolała mnie twarz. Jego koledzy chwycili mnie za kolana i śmiejąc się, huścili w powietrzu. Na próżno się wrywałam.

Nie pamiętam swojego krzyku, byłam zbyt zajęta desperacką próbą pochwycenia bariereki. Spocone palce ześlizgiwały się z niej raz po raz. Wyglądałam, jakbym latała, kiedy trzymali mnie z tyłu za nogi.

– Łiii, Supermanie! Ha, łiii!

Wyobrażałam sobie upadek i zderzenie z ziemią, gdy mnie wreszcie puszcza i polecę głową w dół.

– Ave Szatanie! – rozległ się dźwięczny dziewczęcy głos. – Bądźcie pozdrowieni moi bracia współwynawcy! – Gdyby mnie postawili na podłodze, mogłabym zobaczyć jej fioletową koszulkę i jasne włosy związane w kucyk, głowę pochyloną w udawanym ukłonie. – Złóżcie jej duszę w ofierze – zawołała i coś gorącego spłynęło po mojej twarzy.

Dziś, żeby osiągnąć podobny efekt, pewnie trzeba byłoby udawać terrorystę, zacząć krzyczeć coś o dżihadzie i niewiernych, by wywołać natychmiastowe poruszenie. Jednak w roku 1987 wszyscy baliśmy się satanistów – mówiono o nich w wieczornych wiadomościach, przenikali do szkół i kościołów, podając się za pastorów i przedszkolanki, krzywdzili dzieci.

Tłum zaszemrał i zapadła głucha cisza. Krew odpłynęła mi z ramion, upadek zdawał się coraz bardziej nieuchronny.

– Zamknij ryj, mała! – wrzasnął Silibetti.

– Ciebie też zrzucimy.

Dziewczyna najwyraźniej odpowiedziała uśmiechem.

– Chwalmy Lucyfera. – Upuścili mnie na podłogę u swoich stóp. Zrezygnowali z wyrzucenia mnie przez balustradę, postanowili zemścić się na niej. Usiłowałam sobie przypomnieć wskazówki Lary, kopałam chłopaków w kostki. W pewnej chwili poczułam dotyk drobnej dłoni. Dziewczynka otarła mi twarz i zobaczyłam krew. Uniosła do góry zakrwawioną rękę i zaczęła skandować: – Przybądź, Lucyferze. Przybądź, Lucyferze. Przelejemy krew w ofierze. Przybądź, Lucyferze!

Głos, przejmujący do szpiku kości, wibrował, wprawiając moje ciało w drżenie. Kołysała się w przód i w tył, a chłopcy nawet jej nie tknęli. Miała dziwny, mroczny głos. Dzieciaki pokazywały sobie palcami ją i Silibettiego, jakby oboje należeli do tej samej sekty krwiopijców. Czy Silibetti się wystraszył? Wiedział, że został naznaczony? Gdy nazwał ją głupią wariatką, wymierzyłam mu ostatniego kopniaka. Zadzwoił dzwonek na lekcję i ludzie zaczęli się rozchodzić. Nadeptywali mi na stopy i dłonie, kręciło mi się w głowie, było mi słabo. Postanowiłam na razie nie wstawać. Zdrzemnę się na chłodnych, szarych płytkach. Wkrótce Curtis dowie się, co mnie spotkało, i przyjdzie. Weźmie mnie na ręce i zanieś do domu, przemawiając cicho, jak wtedy, kiedy nasze mamy śpią. Obejmę go za szyję, a on powie, że to tylko zły sen. Już nigdy nie będę musiała tu wracać.

Zobaczyłam nad sobą twarz dziewczyny. To musiała być ona.

– Zaprowadzić cię do pielęgniarki? – zapytała słodko. – Chyba rozcięłaś sobie przez nich wargę.

Skończyłam opowieść tymi samymi słowami, co zwykle, gładząc Callie po głowie.

– Nazywała się Joyce McFrenzy. Demon McFrenzy, w skrócie DMF. Ludzie twierdzili, że przywołała diabła i przez minutę lewitowała nad schodami. Pewnego razu spytałam, czemu postanowiła pomóc obcej osobie. Uśmiechnęła się szeroko i powiedziała: „Już wtedy wiedziałam, że zostaniemy przyjaciółkami”.

– Zostałyście hiacyntowymi dziewczynami – dokończyła Callie.

– Tak. Tak właśnie było.

Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak #1 Dla Rebekki/Od Callie

Nie będę wymieniać, ile razy widziałam ją na zajęciach plastycznych.

Zacznę od naszej pierwszej wymiany zdań w szkole. Prawdopodobnie nawet byśmy się nie spotkały, gdybym nie musiała iść do pani Barańskiej. Muszę ci wyznać, że rozmowy z nią w ogóle mi nie pomagały. Nie była prawdziwym psychiatrą. „Jak się czujesz? Jak w domu?”, pytała tym swoim pozornie kojącym głosem, który brzmiał bardzo fałszywie. Zawsze odpowiadałam tak samo. Dobrze. Żadnych problemów. Najgorzej, że wiecznie się spóźniała. Czekano się pod ścianą ze spuszczoną głową, na wypadek gdyby przechodził ktoś znajomy. Można też było udawać, że się przyszło po wodę do pobliskiego ujęcia.

W każdym razie to było przed świętami, chór miał próbę i śpiewał kolędy, a ja czekałam pod gabinetem Barańskiej już od dziesięciu minut. Robyn też czekała, podśpiewując pod nosem. W pewnej chwili zwróciła uwagę na jedną z moich bransoletek.

– Pomóżmy pitbullom?

Nasze spotkanie nie przypominało twojego spotkania z mamą. Nie było w nim nic nadzwyczajnego. Żadna z nas nie ratowała drugiej. Po prostu zabijałyśmy czas.

– Mają opinię psów morderców, a mało kto słyszał o tych, które ratują ludzkie życie. Jeden uratował trzydzieści osób.

– Trzydzieści osób? Jak?

– Powódź odcięła ich od świata, a pies dostarczył im jedzenie.

Pokiwała głową i popatrzyła na ścianę udekorowaną drzewami z folii. Poczekam jeszcze dwie minuty, potem sobie pójdę, postanowiłam.

– Mój tata chciał, żebym miała psa – odezwała się i dotknęła srebrnej opaski we włosach. Według jej mamy przy psie jest za dużo pracy, dlatego Robyn zmieniła zdanie i nie zdecydowała się na czworonoga. Już wtedy wiedziałam, że jej ojciec nie żyje. Słyszałam o białaczce. Cała szkoła wiedziała o jego śmierci, to było w siódmej klasie. Nie spodziewałam się jednak, że Robyn zacznie płakać na korytarzu. Nie przyszło mi do głowy, żeby zapukać do gabinetu Barańskiej, dopiero później o tym pomyślałam. Zaczęłam mówić, co mi ślina na język przyniosła. Opowiedziałam jej o niewidzialnym, wymyślonym psie, którego miałam w dzieciństwie. O tym, jak ganiał mnie po domu. Chciałam ją rozbawić, mówiłam coraz głośniej i głośniej.

– Niewidzialne psy są najlepsze. Można ich mieć całe stado. Zaatakują każdego, kogo nimi poszczujesz. – Warknęłam. Robyn wreszcie się uśmiechnęła. Pozwoliła mi zetrzeć rękawem

rozmazany tusz z twarzy. Sprawiała wrażenie wdzięcznej, ale zawstydzonej.

2

Następnego dnia spotkałam się z dyrektorką szkoły Callie. Pani Jameson była otyłą, rozkojarzoną kobietą. Miała ciężki, rozmazany wokół oczu makijaż i naszyjnik niechlujnie opadający na dekolt.

– Proszę usiąść, pani McKenzie – powiedziała, wskazując krzesło.

– Nazywam się Rebecca Lucas – poprawiłm ją. – Jestem prawną opiekunką Callie, nie jej matką.

– Przepraszam – odparła obojętnie. Zastanawiałam się, czy przynajmniej zajrzała do akt Callie. Jak mogła nie wiedzieć, że jedna z jej uczennic nie ma rodziców? Zapisała coś na świstku papieru, a ja usiadłam na plastikowym krześle. Na biurku stała jakaś liściasta roślina w doniczce, ścianę zdobił pojedynczy widoczek w ramce, gabinet sprawiał nieprzytulne wrażenie, jego właścicielce najwyraźniej zabrakło zapału, aby go udekorować. Pani Jameson patrzyła na mnie uważnie zza okularów, lekko zezując. Szukała na mojej twarzy oznak poczucia winy, fałszu. Dotarłam na miejsce spóźniona, spocona i zmieszana. Biegłam, zdyszana, szkolnym korytarzem, łapałam hausty powietrza pachnącego nowymi komputerami. Przeczuwałam, jak to będzie wyglądać. Utknęłam w niecodziennym korku – w ten weekend mieliśmy pokaz starych traktorów – przez dziesięć minut jechałam za jakąś maszyną z silnikiem parowym. Gigantyczny traktor buchał dymem i jechał dwadzieścia kilometrów na godzinę, nie pozwalając nikomu wyprzedzić. – Pokaz traktorów? – powtórzyła z powątpiewaniem pani Jameson, podczas gdy ja ociekałam potem. Przeprosiłam po raz drugi i przystąpiłam do obrony Callie.

– Byłam zszokowana pani wczorajszym telefonem – przyznałam. – Nigdy w życiu nie przeprowadziłam tego rodzaju rozmowy. Jeszcze zanim Callie wszystko mi wyjaśniła, byłam pewna, że nie mogła tego zrobić. Jest ogromnie poruszona oskarżeniem tej dziewczyny...

Pani Jameson nie pozwoliła mi dokończyć. Popatrzyła na leżącą na biurku kartkę, a jej pomarańczowe usta wykrzywił lekki grymas obrzydzenia.

– Zacznijmy od raportu ze zdarzenia. – Zaczęła czytać zrezygnowanym, pełnym rozczarowania tonem: – Zaatakowana uczennica pracowała przy swoim biurku, Callie podeszła, nazwała ją „Sterczącymi Sutkami”, następnie oblała atramentem włosy i bluzkę koleżanki...

– To nie był atrament – przerwałam. – Robyn oblała się farbą, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Rozumiem, że chciałaby pani w to wierzyć, pani Lucas, jednak obawiam się, iż wprowadzono panią w błąd.

Opowiedziałam o relacji Elli. Pani Jameson reagowała na moje słowa obojętnością, czasem rzucając tylko chłodne: Rozumiem. Tak twierdzi. Hmm. Aha.

– Pani zdaniem Robyn nie mogła sobie tego sama zrobić? – zapytałam.

– To by było irracjonalne.

– Nie gdyby chciała zaszkodzić Callie.

– Chciałabym postawić sprawę jasno – oświadczyła surowo pani Jameson. – Bardzo poważnie traktuję wszelkie akty przemocy, a wczorajszy incydent uważam za szczególnie oburzający. Zaatakowana dziewczynka była przerażona. – Posłała mi zbolące spojrzenie. – Nauczycielka uspokajała ją przez godzinę.

Położyłam łokcie na biurku, aby okazać odrobinę pewności siebie. Nie mogłam sobie pozwolić na słabość, szybko zostałaby wykorzystana przeciwko mnie. Mogłam zaproponować, że zapłacę za zniszczoną bluzkę Robyn. Lub obiecać, że porozmawiam z Callie. Jednak musiałam pamiętać o jednym: płacząca dziewczyna to żaden dowód. Problem współczesnego rodzicielstwa polega na traktowaniu dzieci jak chodzących bomb zegarowych – gotowych do autodestrukcji przy zderzeniu z nieszczęściem czy przeszkodą. Pani Jameson zachowywała się, jakby Robyn doznała jakiegoś trwałego uszczerbku na zdrowiu, co nie najlepiej świadczyło o jej rozsądku.

Poprzedniego wieczoru zeszłam na dół porozmawiać z właścicielką mieszkania. Pani Romero wychowała własne dzieci w Pembury, miałam nadzieję, że udzieli mi jakiejś rady. Byłyśmy dość zaprzyjaźnione, wynajmowała nam piętro swojego domu od ośmiu lat i ani razu nie podniosła czynszu. Co miesiąc, gdy zanosłam jej czek, dostawałam jakiś prezent. Jeżeli nie miała przygotowanej zapiekanki lub ciasta, wręczała mi paczkę ciastek, jakbym właśnie za nie płaciła. Kiedy otworzyła mi wczoraj drzwi, od razu wiedziałam, że nie będziemy rozmawiać o szkole. „Przyszedeł kolejny, Rebecco”, powiedziała i poszła po list. Oprócz mojego nazwiska była na nim więzienna pieczętka. Pani Romero codziennie sprawdzała skrzynkę, żeby Callie przypadkiem się o nich nie dowiedziała. Większość była adresowana do mnie, ale przyszło też kilka do Callie. „Nie jesteś ciekawa, co w nich jest?”, zapytała. Pokręciłam głową. Wieczorem, kiedy Callie już spała, paliłam je w umywalce. Ciekawe, jak pani Jameson zareagowałaby, gdybym powiedziała jej o morderstwie, skoro wstrząsnęła nią zabrudzona bluzka. Może powinnam przypomnieć tej kobiecie, że wokół nas bez przerwy dzieją się *prawdziwe* tragedie.

– Wie pani, co Robyn powiedziała Callie? – spytałam. – Że jej matka wolała umrzeć, niż na nią patrzeć.

Pani Jameson posłała mi spojrzenie z góry, jakby podejrzewała mnie o wymyślanie kłamstw na oczekaniu.

– Czy Callie zgłosiła to nauczycielce?

– Jestem pewna, że tak – odparłam z fałszywą pewnością. – Oczywiście.

– Nie wiedziałam o tym. Przyjrę się tej sprawie. Tymczasem rozmawiałam z bezstronnym świadkiem wczorajszych wydarzeń, który twierdzi, że Callie dokuczała Robyn od dawna.

– Kto jest tym świadkiem? Domniemana ofiara?

– Nie mogę podać nazwiska uczennicy, ale ofiara nie jest jedynym świadkiem.

– W klasie pełnej uczniów znalazł się *jeden* świadek? Domyślam się, że nie jest nim osoba dorosła, gdyż dzieciaki były w sali same. – Schowałam dłonie pod uda, żeby ukryć drżenie. – My także mamy świadka. Ella twierdzi, że Robyn sama wylała na siebie farbę. – Zmusiłam się, by spojrzeć jej w oczy. Pani Jameson pociągnęła za kołnierz wydekoltowanej bluzki, naszyjnik zakołysał się nad obfitym biustem. Nagle zdałam sobie sprawę, po co jej ten ostry makijaż, dekolt i biżuteria. Chciała przypodobać się dzieciakom, zyskać opinię „fajnej”. *Pani Jameson jest w porządku!* Dlaczego? Ponieważ kiedyś należała do tego samego plemienia co ja: była klasowym wyrzutkiem. Może nawet sama padła ofiarą nękania. Dlatego uwierzyła Robyn, a nie Callie. Dlatego nie lubiła ładnej dziewczynki, która umiała zjednywać sobie sympatię.

– Uznała pani Callie za winną bez uprzedniego przyjrzenia się wszystkim faktom – ciągnęłam. – Zakłada pani, że ta dziewczyna jest ofiarą, ponieważ ma słabszą pozycję wśród rówieśników. To staroświecki, mało konstruktywny sposób myślenia. – Początkowo sprawiała wrażenie zdezorientowanej, ale już po chwili odzyskała rezon i rozpoczęła przemowę, do której sama często się uciekałam: „Jesteśmy do siebie podobne”. Ona też miała córkę i wiedziała, że człowiek ma czasem ochotę przymknąć oko na niektóre rzeczy. Dziewczynki często mają problem z przyznaniem się do winy, ale jeśli nie będziemy reagować na ich złe zachowanie, czekają nas poważne problemy wychowawcze. – Pani Jameson – przerwałam jej ostro. – Callie straciła oboje rodziców. Proszę się postawić w jej sytuacji, proszę sobie wyobrazić, że ta dziewczyna wymyśla kłamstwa na pani temat i publicznie szarga pani reputację.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo ktoś zapukał do drzwi. Dostrzegłam na jej twarzy przelotny wyraz ulgi. Do gabinetu zajrzała szkolna sekretarka.

– Przepraszam, pani dyrektor, mogę panią na chwilę prosić?

Pani Jameson wyszła, a ja zacisnęłam palce i wzięłam głęboki, urywany oddech. Przypomniałam sobie poranną rozmowę z Callie, która wiedząc, że nie należę do najodważniejszych, postanowiła opowiedzieć mi przy śniadaniu – zapewne w celu dodania otuchy przed dzisiejszym spotkaniem – o licznych gafach popełnianych przez dyrektorkę na oczach uczniów. „Staje na środku klasy z megafonem”, mówiła. „Zaczyna i zapomina, co chciała powiedzieć”. Tutaj nastąpił opis długich,

niezręcznych pauz, chrząkania i przewracania oczami przy akompaniamencie głośnego śmiechu uczniów.

Za drzwiami dobiegał ściszy głos pani Jameson, a ja przypominałam sobie o raporcie. Czemu miałabym go nie przeczytać? Dlaczego mi go nie pokazała, skoro była taka pewna swego? Może wiedziała, że szczegóły są niespójne i pełne niejasności. Sięgnęłam po kartkę, oglądając się przez ramię. Napisany ołówkiem tekst pełen skreśleń i bazgrołów, w rogu rysunek sowy. Przeczytałam pobieżnie o Callie, Robyn, czerwonym atramencie i pani Dimmock. Mój wzrok przykuło nazwisko, którego nie znałam. Lucinda Berry. Świadek, pomyślałam, ale musiałam przerwać lekturę.

Pani Jameson wróciła do gabinetu, wyraźnie zaaferowana. Podziękowała mi za przybycie i posłała spięty uśmiech. Unikała mojego spojrzenia. Powiedziała, że przeprowadzi dalsze dochodzenie i zadzwoni do mnie później. Następnie stanęła obok krzesła, jakby gotowa mnie wyprowadzić. Inny rodzic mógłby odmówić opuszczenia gabinetu, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona. Mógłby lodowatym tonem zagrozić prawnikiem i sądem. Nie przeżyłam takiej transformacji w ciągu jednego dnia. Zdusiłam protesty i posłusznie wstałam.

– Chyba mam dreszcze – poskarżyła się wieczorem Callie, siadając na kanapie owinięta kocem.

Obiecałam, że jej nie ukarzę, nawet jeśli zostanie zawieszona w prawach ucznia. Potraktujemy to jak farsę i nieporozumienie, spędzimy ten czas na dobrej zabawie. Mogłybyśmy zrobić sobie jednodniową wycieczkę do Nowego Jorku lub Bostonu; wstąpić na pokaz starych traktorów i najeść się jagodowego placka.

– Nie pojmuję, dlaczego to się dzieje – powiedziała drżąc. – Chyba ciąży na mnie jakaś klątwa.

– Nie mów tak. Wszystko będzie dobrze.

– Nie chcę jej więcej widzieć. Pewnie planuje morderstwo.

– Robyn nie zrobi ci krzywdy. – Otuliłam ją szczerzej pledem.

– Co jeszcze mówiła pani Jameson?

– Twierdzi, że był jakiś świadek.

– Tak twierdzi? Niby kto?

– Nie... nie wiem.

– Świetnie. Teraz nienawidzą mnie dwie osoby.

– Callie, dziewczyny bywają zazdrosne.

– Powiedziała, że to dziewczyna?

– Niezupełnie.

Callie spojrzała mi w oczy.

– Lucinda? – zapytała. Pokręciłam głową, jednak Callie już wiedziała. Potrafiła mnie przejrzeć. – Jestem przeklęta... – jęknęła. – Nie będzie lepiej. Ona szykuje coś jeszcze gorszego, jestem tego pewna.

– Co ci może zrobić? – zapytałam, masując jej ramiona, żeby ją rozgrzać.

– Nie wiem. – Callie szczykała zębami. – Coś złego.

*

Callie urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Tak utrzymywała Joyce, mimo że ojciec jej dziecka był już żonaty i nalegał na aborcję. Joyce zaszła w ciążę, mając dziewiętnaście lat, właśnie zaczynała studiować prawo, ale dowiedziawszy się o ciąży, zrezygnowała z nauki.

Początkowo nie dostrzegałam w tej małej istotce nic poza kruchością i bezbronnością. Łuszcząca się skóra na główce, maleńkie stulone stópki. Z tygodnia na tydzień stawała się coraz silniejsza, miała bystre spojrzenie i rosła jak na drożdżach. Śmiała się i uśmiechała. Jednego tygodnia nie potrafiła jeszcze sama się przewracać na brzusek, a następnego już tak. Nie umiała chwycić grzechotki, a zaraz mocno trzymała ją w zaciśniętej piąstce. Rozwijała się na naszych oczach każdego dnia.

Joyce wprowadziła się z powrotem do rodziców, a ja odwiedzałam je w weekendy. Pomimo zapewnień o szczęściu Joyce wpadała w coraz większe przygnębienie.

– Jeśli jeszcze raz powie coś na temat środka odkażającego, zabiję się – mruzczała po wyjściu matki z pokoju.

– Nie zabijaj się. Zawsze możesz zamieszkać ze mną.

– Jasne. Dziecko w akademiku. Rozwrzeszczane niemowlę na beczce piwa.

– Wynajmiemy coś razem, kiedy zacznę pracować. Zgoda?

Nie odpowiedziała. Zawsze zakładałam, że zechce skorzystać z mojej pomocy, chociaż nigdy nie omawiałyśmy szczegółów. Porzuciłam temat, ale Joyce wróciła do niego podczas kolejnej rozmowy telefonicznej.

– Myślę, że powinnyśmy udekorować nasze wspólne mieszkanie jak dżunglę – oznajmiła. – Kanapa w panterkę i ściany w kolorze fuksji.

Na wszelki wypadek posłużyła się żartem, z obawy, że moja propozycja też nie była poważna. Nie musiała się martwić, wiedziałam, co robić.

– Kupimy pościel w zebry i poduszki imitujące skórę węża – powiedziałam natychmiast.

– Zawiesimy moskitierę?

– A w rogu postawimy słonia!

Stopniowo poczyniłyśmy bardziej realistyczne plany. Dom niedaleko parku,

pływanie latem w basenie. Zbieranie dyń na Halloween, wycieczki na farmę, gdzie Callie po raz pierwszy spróbuje jabłkowego cydru. Nauczymy ją zjeżdżać na sankach, jeździć na łyżwach i skakać przez skakankę, narysujemy kredą na podjeździe figury do gry w klasy. Oczywiście będę musiała poświęcić niektóre rzeczy – wiedziałam o tym, ale tylko się z tego cieszyłam. Z Joyce u boku nie były mi straszne żadne wyrzeczenia.

Po skończeniu studiów wróciłam do domu, do Cansdown, podjęłam pracę w klinice dentystycznej i oszczędzałam pieniądze na wynajęcie mieszkania dla nas trzech. Po kilku miesiącach znalazłyśmy nieduże, trzypokojowe lokum w Honey Hill, centrum naszego miasteczka. Joyce i Callie zajęły większą z dwóch sypialni. W łazience stanął nocnik, w salonie powstał kącik do zabawy, lodówkę wypełniły soki, przekąski i ser w plasterkach, które Callie rolowała przed zjedzeniem. Rankiem były piski, śpiewanie przed telewizorem, wkładanie skarpetek na małe stópki, zapach soku jabłkowego, elementy układanek wpychane pod kanapę. Mimo młodego wieku poczułam się dorosła, odpowiedzialna i usatkwana. Obserwowałam, jak Joyce opiekuje się córeczką, i próbowałam ją naśladować. Jej ciepłą stanowczość i nieskrępowaną radość zabawy. Nauczyłam się imion maskotek, panowania nad atakami dziecięcej hysterii, wieczornych rytuałów. Codziennie wieczorem Callie siadała na krawędzi umywalki w łazience, Joyce nakładała pastę na szczoteczkę, a ja śpiewałam piosenkę o myciu zębów. W wieku trzech lat Callie miała już swoje własne małe dziwactwa i zwyczaje, własną wrażliwą, wspaniałą osobowość. Patrzyłam, jak chichocze, klepie się po ramionach albo mamrocze głupotki pod nosem, i przyznawałam rację Joyce: Callie urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą, a naszym obowiązkiem było dopilnowanie, aby pozostała szczęśliwa.

*

Przypaliłam suflet, który próbowałam upiec tamtej nocy. Z serem i brokułami. Zapach unosił się w całym domu. Czułam go na włosach, kiedy następnego dnia odebrałam telefon ze szkoły Callie. Trzymałam słuchawkę w spoconej ze zdenerwowania dłoni i czekałam na złe wieści, tymczasem pani Jameson mnie zaskoczyła. Nieoczekiwanie zgłosiła się do niej grupa uczniów z klasy Callie. Wszyscy przysięgali, że Robyn sama oblała sobie bluzkę farbą.

Farbą, triumfowałam w duchu, nie żadnym tuszem czy atramentem.

Pani Jameson bardzo przepraszała.

– Co ciekawe – mówiła – uczennica, która twierdziła wcześniej, że widziała całe zdarzenie, przyszła do mnie dziś i odwołała swoje wcześniejsze zeznania. Mówi, że się pomyliła. Pomyślałam, że to dość duży zbieg okoliczności: tyle osób jednego dnia

postanowiło potwierdzić pani wersję.

Ostatnie słowa zabrzmiały sceptycznie, jakby nadal uważała, że wszyscy poza jej pupilką, Robyn, kłamią.

– Cieszę się, że ich pani wysłuchała – odrzekłam cierpko. – Mam również nadzieję, że dziewczynki, które kłamały, poniosą konsekwencje.

– Tak. Dziękuję pani za pomoc.

Uczciłyśmy to we dwie. Po kolacji zabrałam Callie na lody. Lizałyśmy je, siedząc na drewnianej ławce. Callie robiła językiem dziurki w truskawkowej kulce i prychała, ocierając nos z różowej śmietanki.

– Mam nadzieję, że o tym napiszesz – powiedziałam. – Cóż za niewiarygodna i dramatyczna historia. – Pokręciłam głową i ugryzłam kawałek waflowego rożka. – Czarny charakter, który udaje ofiarę. Mało rozgarnięta królowa, która o mały włos dopuściła do wielkiej niesprawiedliwości. I wreszcie prześladowana heroina ocalona w ostatniej chwili przez praworządny tłum. Niesamowite, nie sądzisz?

– Prawdziwa bajka – przyznała radośnie. – Och, marzenia się spełniają.

Objęłam jej piegowate ramiona.

Słodki nastrój trwał aż do wieczora, kiedy znów zadzwonił telefon. Leżałam już w łóżku i oglądałam program kulinarny.

– Możemy porozmawiać? – spytała Cerise Doblak, mama Robyn. – Postanowiłam zabrać Robyn ze szkoły – powiedziała prosto z mostu. – Nie wiem, czy jest pani świadoma, co przeszła w ostatnich miesiącach. Dłużej tego nie zniesiemy. – Czym prędzej wyłączyłam dźwięk w telewizorze. Czułam się niesprawiedliwie zaatakowana. – Robyn miała kiedyś przyjaciół. Była szczęśliwym dzieckiem. Do czasu, gdy kilka dziewcząt wpadło na uroczy pomysł wyśmiewania jej biustu. Teraz, kiedy wchodzi do klasy, wszyscy zaczynają szczekać. To oburzające. Zachowanie Callie sprzed paru dni przelało czarę goryczy – sapnęła z irytacją i na linii zapadła cisza. Usiłowałam zachować spokój. – Była szczęśliwym dzieckiem... – powtórzyła.

– Przykro mi, że jest nieszczęśliwa. – Odetchnęłam głęboko i oparłam się o wezłowie łóżka. – Nie wiem, co córka powiedziała pani na temat Callie, ale to nieprawda. Callie nie skrzywdziłaby nawet muchy. Nie możemy zrozumieć, czemu Robyn wymyśla różne rzeczy na jej temat.

Cerise parsknęła przerażającym śmiechem.

– Wymyśla? Nie przyszło pani do głowy, że to Callie może kłamać?

– Cała klasa stanęła w jej obronie po tym, jak Robyn skłamała.

– To był niezły wyczyn. Nakłonić wszystkich do kłamstwa. Nakłonić wszystkich, żeby zrzucili winę na Robyn.

Wyobraziłam sobie ślinę na oplutej słuchawce po stronie Cerise. Zastanawiałam się,

czy przypadkiem nie jest odrobinę niezrównoważona.

– To nie jest żaden spisek – ściszyłam głos. – Klasa zareagowała, ponieważ Callie mówi prawdę.

– Wszyscy zwrócili się przeciwko niej – głos jej się załamał. – Nienawidzą...

– Dokuczała Callie już wcześniej – przerwałam. – Powiedziała coś okropnego o jej mamie – że wolą umrzeć, niż na nią patrzeć.

– Ona by nigdy... Robyn by tak nie powiedziała.

– Może potrzebuje pomocy.

– Nie powiedziałyby tak – protestowała Cerise. – Sama straciła ojca.

– Może jakaś terapia?

– Robyn bywa dziecinna. Czasem nie zdaje sobie sprawy, że irytuje innych. Powinnam też przykładać większą wagę do tego, jak się ubiera. Ale nie kłamie. Kiedy przychodzi zapłakana do domu i opowiada, co jej zrobili... – Głos Cerise się zmienił, zaczęła mówić szybko, ze złością. – Prawda jest taka, że Callie obrała ją sobie za cel. Pod maską idealnej dziewczynki jest okrutną osobą. Upokarza moją córkę i obawiam się o jej przyszłość. Osoba tego pokroju, taki typ...

Nie pamiętam momentu odkładania słuchawki, po prostu nagle przestałam słyszeć jej głos. Włączyłam dźwięk i wpatrywałam się w ekran. Jaka matka, taka córka. Obie potrzebowały pomocy. Dwubiegunowe, schizofreniczne, pokręcone osoby. Nie odwiesiłam słuchawki na widełki, żeby nie mogła zadzwonić ponownie. Przycisnęłam rękę do bolącego brzucha.

Callie była w kuchni. Stała boso pod małą, żółtą żarówką i wpatrywała się w otwarte szafki. Otworzyła wszystkie. Na blacie leżała paczka precli.

– Cal? Wszystko dobrze?

Odwróciła się w moją stronę, mrużąc oczy z zaskoczenia. Jej rozpuszczone włosy luźno opadały na ramiona.

– Zapomniałam, że mam przynieść przekąski na fizykę. Przypada moja kolej.

– Nie zgadniesz, kto do mnie zadzwonił – powiedziałam, trzymając się za brzuch. Callie rozchyliła usta, jakby potrzebowała więcej powietrza. Oparła się o kuchenny blat i zaczęła nerwowo machać nogą. Machanie przybrało na sile na wiadomość o odejściu Robyn ze szkoły.

Lekko pozieleniała na twarzy i splotła rękę na brzuchu.

– Powiedzą, że to przeze mnie.

– Nie powiedzą. Bronili cię.

– Ale to zaszło za daleko. Nie mogę uwierzyć, że zmienia szkołę.

Uważnie ją obserwowałam. Czy miałam jakieś podejrzenia? Przez sekundę.

– Jej mama twierdzi, że naśmiewaliście się z piersi Robyn.

– Z jej piersi! – Niespokojna noga nagle znieruchomiała. Callie uniosła podbródek, na jej rzęsach skropiły się łzy. Pochwyciła paczkę precli i przycisnęła ją do siebie. –

Mówili na nią Sterczące Sutki – wyznała i wbiła wzrok w podłogę.

– Ale nie ty?

– Przezywali ją – wyjąkała. – Mówili różne rzeczy.

– Ale nie ty?

– Nie, ja bym tak nie mogła.

– Próbowalaś jej pomóc?

– Chciałam. Wiedziałam, że powinnam, ale nie umiałam. Nie wiedziałam jak.

Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak #2
Dla Rebekki/Od Callie

Uwzględniam rozmowy na czacie, dobrze? Wydrukuję ci je.

Czat z 23 grudnia 2008, 20:03:16

19:54:21

robynroarxo: Callie? Jesteś tam?

19:54:54

LithoCALpus: Taaaak?

19:55:12

robynroarxo: Robyn. Znamy się ze szkoły



19:55:27

LithoCALpus: Cześć, Robyn.

19:55:59

robynroarxo: Od piątku czytam o pitbullach i powtarzam wszystkim, że pitbull to nie morderca!!!

19:56:20

LithoCALpus: Mega. Dzięki!

19:56:48

robynroarxo: To, że kilku odbiło, nie znaczy, że wszystkie są psychiczne.

19:56:59

robynroarxo: To wina właścicieli, jeśli pies jest agresywny.

19:57:46

LithoCALpus: No, niektórzy ludzie STANOWCZO nie powinni mieć POZWOLENIA na posiadanie zwierząt.

19:58:07

robynroarxo: Właśnie, kotów też. Moja ciotka ma kota psychopatę.

19:58:27

robynroarxo: Chciałam zapytać, gdzie kupiłaś swoją bransoletkę.

19:59:02

LithoCALpus: Poczekaj chwilę, prześlę Ci link.

19:59:14

robynroarxo: Też taką chcę.

19:59:40

LithoCALpus: Pitbulllove.com

19:59:55

robynroarxo: Dzięki i przepraszam za piątek, zazwyczaj nie jestem takim mazgajem!!!

20:00:35

LithoCALpus: Nie przejmuj się, rozumiem.

20:00:47

robynroarxo: Święta bez taty to PORAŻKA.

20:01:01

LithoCALpus:   WIEM.

20:01:13

robynroarxo: Twoja mama nie żyje, prawda?

20:01:50

robynroarxo: Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

20:02:06

LithoCALpus: Nie, w porządku... Mama i tata.

20:02:50

robynroarxo: Ojej  Przepraszam, przykro mi.

20:02:58

LithoCALpus: Nie przejmuj się.

20:03:10

robynroarxo: Mimo wszystko Wesołych Parszywych Świąt.

20:03:16

LithoCALpus: Dzięki, wzajemnie.

3

Wbrew obawom Callie nikt jej nie obwiniął o odejście Robyn ze szkoły. Zniknęła z dnia na dzień, bez fanfar, łez i grupowych uścisków. Jak twierdziły Syjamskie Trojaczki – prawie nikt tego nie zauważył. Jednego dnia była, pochłapana czerwoną farbą, a następnego już nie. Nie pozostawało im nic innego, jak tylko wrócić do swoich spraw.

Callie skończyła ósmą klasę z wzorowymi ocenami i wyróżnieniem z fizyki. Zakończenie roku odbyło się w szkolnej auli, był wzruszający pokaz slajdów, który doprowadził wszystkich do łez. Dostrzegłam Callie na wielu zdjęciach – roześmiana w tłumie dzieci, pozująca na boisku, obejmująca przyjaciółki. Z głośników płynęła muzyka, na ekranie migały slajdy, wspomnienia, które trzeba zachować, zanim umkną. Niektóre dzieci zaczęły szlochać i tulić się do siebie. Nasz ostatni dzień w gimnazjum. Ostatni raz w tym budynku. Nasze szafki, nasza stołówka! O mój Boże, będziemy tak strasznie tęsknić!

Kupiłam jednakowe naszyjniki dla Dallas i Elli. Kosztowały więcej, niż normalnie byłabym skłonna wydać, ale nie żałowałam. Dallas mieszkała w ogromnej rezydencji z greckimi kolumnami, oddzielonej od ulicy szerokim trawnikiem porośniętym drzewami i wysokimi żółto-fioletowymi kwiatami, poprzecinanym kamiennymi ścieżkami. Nie znalazłyśmy miejsca na zatłoczonym, okrągłym parkingu na podjeździe, choć była dopiero czwarta. Musiałyśmy zaparkować na trawniku graniczącym z posesją sąsiada. Z ogrodu za domem dobiegała muzyka. Callie pewnym krokiem podeszła do drewnianej bramy, ukwieconej pnączami róż i kapryfolium. Na jednym ze stołów piętrzyły się prezenty, kolaż ze zdjęć przedstawiał różne wcielenia Dallas. Dallas w stroju do jazdy konnej. Dallas na tle wieży Eiffla. Dallas obejmująca dwie najlepsze przyjaciółki. Callie położyła na stole prezent od nas i ruszyła w kierunku różanych krzewów, altanki i grilla.

O tym przyjęciu plotkowano od miesięcy. Mama Dallas kupiła lampiony do rozświetlenia basenu. Zatrudniła kogoś do pomalowania kabiny plażowej i odświeżenia pomostu. Zamówiła maszynę do lodów (mimo protestów Dallas, która uważała, że lody są dla małych dzieci). Ojciec Dallas był znanym prezenterem radiowym. Dallas drażniła się z nami, sugerując, że pojawią się jakieś znane osoby, ale nie chciała powiedzieć kto. Nigdy wcześniej nie uczestniczyłam w żadnym

z przyjęć organizowanych przez Editę. Callie zapewniała, że odświętny ubiór obowiązuje tylko dzieci, rodzice przychodzą w codziennych strojach. Wybrała dla mnie prostą czarną bluzkę i sandały na płaskiej podeszwie. Odetchnęłam z ulgą, rozejrzawszy się wokół – miała rację. Dorośli mężczyźni przypominali niezgrabne niemowlęta – w szortach odsłaniających grube łydki i jaskrawych opiętych na brzuchu koszulkach. Ich wystrojone córki rozmawiały ze sobą w małych grupkach, dumnie paradowały na obcasach i prezentowały złote kolczyki. Od czasu do czasu któraś zamierała w bezruchu, jakby z przerażenia na widok gigantycznych niemowląt, po chwili błyskał flesz telefonu komórkowego – okazywało się, że pozuje do zdjęcia. Obserwowałam Callie ubraną w jaskrawoniebieską obcisłą sukienkę do kolan, obejmowała Ellę i Dallas. Poprosiła wcześniej panią Romero o białą różę z ogrodu, teraz zrozumiałam dlaczego. Trojaczki Syjamskie wyróżniały się na tle skomplikowanych fryzur ozdobionych diademami. Dallas włożyła sobie za ucho dorodną gardenię, Ella białą orchideę, a Callie wplotła w koronę z warkocza swoją białą różę.

Dostrzegłam na tarasie mamę Dallas i skierowałam się w jej stronę. Editta energicznie machała rękami – albo próbowała odpędzić osę, albo miała właśnie uderzenie gorąca. Nie przerwała, kiedy wchodziłam do niej po schodach, jej mina jasno świadczyła o irytacji.

– Editto – zawołałam – jakie piękne przyjęcie!

Wyraz irytacji ustąpił miejsca pustce, a po chwili pojawił się wymuszony uśmiech. Ręce znieruchomiały.

– Witaj, kochana. Cieszę się, że znalazłaś czas i przyszłaś.

Nachyliła się do imitacji pocałunku. Miała opaloną twarz o zmysłowym wyrazie, nieco tylko przypominała Świnę Piggy. W latach dziewięćdziesiątych (w innym życiu, jak mówiła) pracowała jako modelka reklamująca kostiumy kąpielowe. Nie mogłam sobie wyobrazić Editty jako roześmianej, baraszkującej w piasku młodej dziewczyny. Zapewne była jedną z tych melancholijnych modelek, które wsparte na skale w uwodzicielskiej pozie, spoglądały w obiektyw, wydymając pogardliwie usta. Dziś była matką trójki dzieci i nosiła się z godnością gwiazdy operowej.

– Cudownie przystrojone krzesła! – zachwyciłam się, patrząc na fałdy materiału udekorowane kwiatami. Na pobliskim stoliku stały zapalone grube, białe świece.

– Tak – przyznała Editta, jakby dopiero je zauważyła. – Jak... Jak tam w pracy?

– Po staremu. Dużo wybielania przed sezonem wakacyjnym. – Przywykłam do rozkojarzonych spojrzeń i zdawkowych odpowiedzi Editty, dlatego nie zdziwiłam się, kiedy odpowiedziała mi cisza. Miała problem ze skupieniem uwagi. Patrzyła w bok rozbieganym wzrokiem. Przez kilka lat znajomości nauczyłam się z nią postępować. Zazwyczaj zadawałam dużo pytań przyjaznym tonem i nieco podniesionym głosem. Reagowałam entuzjastycznie na wszystko, co mówiła, a w chwilach największej

desperacji pytałam o konie. – Pewnie nie spałaś całą noc, żeby to wszystko przygotować?

– Tak – odpowiedziała po chwili milczenia. – Nie masz pojęcia. – Skinęłam głową. Nawet sobie nie wyobrażam. – To jakiś koszmar. Od początku do końca – wycodziła przez zęby.

Firma cateringowa przywiozła *ciastka ze sklepu*. A tarty, które upiekli, były tak rozmoczone, że nie dało się ich zjeść.

Usiłowałam sprawiać wrażenie poruszonej i pełnej współczucia.

– Jakie tarty?

– Rabarbarowe. Myśleli, że nie zauważymy. – Editta popatrzyła z odrazą na pięknie podane jedzenie: nadziewane figi, szaszłyki z arbuza, truskawki w czekoladzie. Przywiązywała ogromną wagę do każdego detalu. Dlatego żyła, tak jak żyła. Ja na jej miejscu nie miałabym za złe dostawcom tanich ciastek, zbyt zajęta podpatrywaniem przygotowania takiej wspaniałej uczyty. Tymczasem Editta zachowywała nieustanną czujność – oddawała do sklepu dywany z niewłaściwych włókien, karnisze z niewłaściwą aplikacją, baterie łazienkowe ze złym wykończeniem – aby zapewnić rodzinie nienagannie eleganckie życie. – Wyobraź sobie tylko – sądzili, że będzie mi wszystko jedno!

Przeprosiła mnie nagle i ruszyła przez trawnik w stronę drzewa porośniętego pnącymi różami, mamrocząc pod nosem coś o zapiekance.

Dziewczęta stały w grupkach, wyglądały jak girlandy w promieniach słońca. Podziwiały nawzajem swoje buty, niedbale poprawiały kolczyki, opierały się o siebie poufale.

Alison! Alison!

Pościelówa.

Głupoty na blogu.

Wyglądasz bombowo!

Nie rozumiałam, o czym mówią. Obserwowałam, jak oglądają telefony, podjadają sobie nawzajem z talerzy, tańczą, piszczą i dotykają włosów koleżanek. Przyjemność kontaktu z drugim człowiekiem, swoboda i bliskość – wyglądały na bardzo szczęśliwe. Chciałabym się poczuć podobnie. Callie uniosła złoty wisiołek w kształcie serca. Stojąca obok niej dziewczynka nagle podskoczyła, po czym bezpiecznie wylądowała, przytrzymując się ramienia Callie.

Chłopcy pławili się w przejrzystej wodzie basenu, wśród dmuchanych materacy i zjeżdżalni, pod czujnym okiem stojących z boku dziewcząt. Wyglądały na dziesięć lat starsze od chuderlawych chłopaków. Podchodząc do basenu, zachowywały pełną godności postawę, świadome swoich ciał. Zalotnie trzepotały rzęsami. Chłopcy udawali, że ich nie widzą – zaczęli grać w piłkę. Jakaś nieświadoma seksualnego napięcia matka biegała wokół krawędzi basenu, pokrzykując i robiąc zdjęcia. Jeden

z młokosów pływał leniwie na żółtym materacu z napojem w ręku, w ciemnych okularach; uśmiechał się, kiedy piłka ze świstem przelatowała nad jego głową.

– Futbol dotykowy! – zawołała jedna z dziewcząt, a inna odskoczyła, jakby bojąc się ochlapania wodą. Piłka przelatowała coraz bliżej chłopca na dmuchanej tratwie, mama robiła zdjęcia, dziewczynki sączyły napoje. Przewidziałam, co się za chwilę wydarzy. Puszka z napojem poszybowała do góry, gdy piłka trafiła chłopca w rękę. Koledzy wiwatowali, gdy brązowy napój połączył się z niebieską wodą basenu.

– Mamy to, Jimmy! – zawołała mama, uwieczniając pamiętny moment.

Wtedy ujrzałam mamę Elli, szła w moim kierunku. Ali Brooks była agentką największych filmowców w kraju. Zabrała kiedyś Callie na plan zdjęciowy, gdzie zjadły pizzę w towarzystwie Steve’a Buscemiego.

– Pracowałam jak wariatka – sapnęła, unosząc wielkie okulary przeciwsłoneczne. Miała na sobie jedną ze swoich idealnie skrojonych sukienek, ściągniętą w pasie oryginalnym paskiem. Zapraǳnęłam – nie po raz pierwszy zresztą – żebyśmy zostały prawdziwymi przyjaciółkami. Usadowiłyśmy się na najbliższych leżakach i Ali opowiedziała mi o produkcji filmu dokumentalnego jednego ze swoich klientów.

– A co u ciebie? – zapytała. – Marzyłam o okazji, żeby z tobą pogadać o tej strasznej dziewczynie z ich klasy. – Przysunęła się do mnie poufale, jakbyśmy naprawdę były najlepszymi przyjaciółkami, i nie zdołałam się powstrzymać przed opowiedzeniem jej wszystkiego.

– Masz na myśli Robyn? – rzuciłam z fałszywą powściągliwością. – Och, straszne dziewczysko.

– Słyszałam, że jej matka do ciebie dzwoniła.

– Cerise – powiedziałam złowieszczym tonem, przeciągając samogłoski. – Zapraǳnęła mnie poinformować, że Callie jest wcielonym złem.

– Coś podobnego! – Długie kolczyki Ali zakołysały się, dotykając policzków. – Co za tupet!

– Wiadomo, w kogo wdała się Robyn. Prawdę mówiąc, zrobiło mi się jej szkoda, że ma taką matkę.

– Nie powinna była dzwonić. To nie do przyjęcia!

– Zachowywała się, jakby robiła mi przysługę, ostrzegając przed Callie.

– Kim ona jest, żeby mówić komukolwiek, jak ma wychowywać swoje dziecko? Nie robi się takich rzeczy.

Nastała chwila niezręcznego milczenia, gdy obie pomyślałyśmy o tym, że Callie nie jest moim dzieckiem. Uśmiechnęłam się i odchrząknęłam, pozornie nie zwracając uwagi na drobne potknięcie w rozmowie.

– No właśnie, poza tym to jej córka potrzebuje pomocy.

Ali energicznie pokiwała głową.

– Nawrzeszczałabym na nią, gdyby mnie tak potraktowała. Nie wytrzymałabym.

– Cóż, ja po prostu odłożyłam słuchawkę, nie mogąc znieść jej głosu.

Zgodnie i w przyjaźni obrażałyśmy matkę Robyn, dopóki nie spostrzegłam, że Ella zbliża się ku nam od strony basenu. Miała na sobie białą sukienkę podkreślającą wąską talię i umięśnione ramiona pływaczki.

– Mamo, potrzebuję spinek. – Stała przed nami. Jej buzia błyszczała perłową poświatą, a rzęsy migotały fioletowymi refleksami.

– Ledwie cię poznałam, Ello. Wyglądasz bardzo dorośle – powiedziałam.

Ali uśmiechnęła się do córki.

– Prawda? Jaka elegancka! – Ella machnęła energicznie nogą, chwając się srebrnymi pantofelkami. Ali wyjęła z torebki paczkę spinek do włosów i podała ją córce. – Właśnie rozmawiałyśmy o twojej dobrej koleżance, Robyn.

– Brr – wzdrygnęła się Ella. – Mówiłaś, że to wszystko przypominało jakiś film.

– Ach, rzeczywiście. *Współlokatorka*. Miejmy nadzieję, że Robyn nie zabiła żadnego szczeniaka.

– Wcale bym się nie zdziwiła – stwierdziła Ella. – Fuj, obrzydliwość. Była żałosna, naśladowała Callie sposobem ubierania. – Nie słyszałam o tym wcześniej, więc zapytałam ją, o co dokładnie chodziło. – Początkowo o drobiazgi. Kupiła sobie taką samą bransoletkę, jaką nosi Callie, a potem zrobiła się z niej prawdziwa stalkerka i zaczęła nosić takie same ciuchy.

Ali zauważyła moją reakcję i poklepała mnie po ramieniu.

– Było, minęło. Przeżyła małe zauroczenie i tyle. Już po wszystkim – powiedziała, po czym zwróciła się do Elli. – Dobrze, że Callie miała was jako świadków.

Dziewczynka zacisnęła usta.

– Nie mogłyśmy pozwolić, żeby jakaś świruska zrujnowała jej życie.

Mówiła z taką odrazą, że poczułam się niezręcznie. Dopóki sobie nie przypomniałam, czym jest lojalność, gdy człowiek ma czternaście lat. Każdy problem, każdy wróg staje się wspólny dla idealnie zespolonych umysłów. Czasem nawet śni się o tym samym.

Zaczęłam myśleć o Joyce i o naszych telepatycznych wysiłkach, kiedy przesyłałyśmy sobie nawzajem myśli jak strzały. Miałyśmy po trzynaście lat, siedziałyśmy skoncentrowane, z zamkniętymi oczami, kolano przy kolanie, na dzinsowej narzucie łóżka Joyce. Musiało się udać – jeśli tylko obie będziemy tego pragnąć wystarczająco mocno. Jeżeli nasza wiara będzie wystarczająco silna.

– Skupiasz się na nienawiści – oświadczyłam. – Nienawidzisz Phila Collinsa.

– Prawda – szepnęła Joyce. – Ale nie o tym teraz myślę.

To było nasze hiacyntowe lato.

– „Dałeś mi hiacenty rok temu pierwszy raz. Nazywano mnie hiacyntową dziewczyną. Ale gdy wracaliśmy późno z Hiacyntowego Ogrodu i miałaś pełne ręce, mokre włosy, ja nie mogłem już mówić i ćmiło mi się w oczach, i nie byłem żywy ni

umarły. Nie wiedziałem nic”, czytała melancholijnie Joyce.

Przy słowach „nie mogłem już mówić” chwyciła się za gardło. Próbowaliśmy analizować każdy wers. Nie wiedziałyśmy, kim była hiacyntowa dziewczyna ani co dokładnie jej się przytrafiło. Niemniej było coś nieodparcie romantycznego i przejmującego w obrazach, które powstawały w naszej wyobraźni. Chodziłyśmy po ogrodzie Joyce z ociekającymi wodą włosami, zrywałyśmy chwasty i mlecze, udawałyśmy, że płaczymy za rzeczami, których jeszcze nie straciłyśmy. Byłyśmy hiacyntowymi dziewczynami z naręczami kwiatów i sercami pękającymi z bólu. Wkrótce znudziła nam się ta zabawa. Potrzebowałyśmy więcej akcji, więcej przemocy, postanowiłyśmy zatem, że hiacyntowe dziewczyny z ofiar zamienią się w bohaterki.

– Wykorzystamy nasze zdolności telepatyczne – zaproponowała Joyce i od razu zrobiło się ciekawiej.

Zaczęłyśmy sobie wymyślać osoby potrzebujące naszej pomocy: porwane niemowlęta w brudnych pieluchach, małe dziewczynki uwięzione w studniach. Stworzyłyśmy sobie całą armię ofiar do wybawienia i wrogów do pokonania, zjednoczone przeciwko nim zbliżyłyśmy się do siebie. Strzelali do nas, dusili, zamykali w ciasnych skrzyniach, zrzucali z klifów. Zawsze ratowałyśmy się nawzajem.

Nie myślałyśmy o tym, że głupio wyglądamy, biegając z wrzaskiem po ogrodzie, za bardzo pochłonęła nas zabawa. Nie byłyśmy świadome obecności Curtisa, który pokładał się ze śmiechu, wsparty o metalową siatkę ogrodzenia. Co gorsza – nie był sam. Lara trzymała go pod rękę.

Nie musiałam patrzeć na Joyce, żeby wiedzieć, że najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Zamarłam z rękami nad głową.

– Kurde – rzekł z przejęciem Curtis. – Dziewczyny, ktoś was atakuje!

Joyce mruknęła coś pod nosem za moimi plecami. Opuściłam ręce i zawstydzona swoją dziecinnością, kopałam stopą w ziemi. Wreszcie Lara zlitowała się nad nami i uderzyła Curtisa w ramię. Z poważną miną zapytała, czy idziemy z nimi na plażę.

Później pozwoliła mi ćwiczyć na sobie telepatię. Była doskonałą kandydatką. Wyobrażałam sobie jej myśli jako puszyste białe chmurki, które mogę dosięgnąć i pochwycić.

– Jesteś głodna... Zjadłabyś frytki. Chcesz sobie zrobić tatuaż w kształcie motyla.

– Bingo! – przyklaskiwała mi, niezależnie od tego, co powiedziałam.

Lara, tak samo jak mój kuzyn, skończyła tamtego roku piętnaście lat. Była wysoka i wyglądała jak bogini w swoich czarnych oficerkach, z długimi ciemnorudymi włosami. Czasami, kiedy ktoś próbował nawiązać z nią rozmowę, odpowiadała jedynie wzruszeniem ramion lub ruchem głowy. Odkryłam, że usiłuje w ten sposób ukryć jękanie. Zaczynała się niekiedy w połowie zdania, na początku jakiegoś słowa,

i zamiast próbować dopowiedzieć je do końca, zakrywała usta dłonią i patrzyła rozmówcy w oczy przez długą, pełną napięcia chwilę. Zazwyczaj w takich momentach sytuację ratował Curtis, nigdy nie dał po sobie poznać zawstydzenia czy zmieszania. Jeżeli wiedział, o czym mówiła – na przykład jak wydobyć z gitary dźwięki zbliżone do warkotu silnika motocyklowego – po prostu kończył zdanie za nią.

Czasami jednak, gdy byliśmy sami, tylko we czwórkę, próbował ją nakłonić, żeby spróbowała się przełamać. Gładził ją po włosach i przekonywał:

– No, Laro, dasz radę. Nie spiesz się.

Podejmowała wówczas kolejną próbę. Mówiła bardzo cicho, a jeśli zająknęła się w tym samym miejscu, śmiała się nerwowym, urywanym „ha”. Jej frustracja była dla mnie bolesna. Pragnęłam pomóc, dopowiedzieć, ale wiedziałam, że to zadanie Curtisa, który niezmiennie trwał na posterunku. Pozostawał czujny, nawet gdy był w innym pomieszczeniu. Przysłuchiwał się temu, co mówiła, gotów pospieszyć z pomocą.

Lara nosiła bluzy Curtisa, za duże na nią o kilka numerów, i pachniała jego wodą kolońską. Gdziekolwiek szła, zabierała ze sobą jego ciepłą, dodającą otuchy obecność. Pewnego razu przytuliła twarz do rękawa i wdychała jego zapach. Wyobraziłam sobie te motylki w żołądku i żar w sercu – i zapragnęłam przeżyć kiedyś coś podobnego.

– Widziałaś, jak dotknął jej twarzy? – zapytała Joyce.

– Ma zamiar kupić pierścionek przedzaręczynowy.

– Myślisz, że gdybym zaczęła się jąkać...

– Joyce – upomniałam ją. – Przestań.

Doskonale wiedziałam, co myśli, chociaż wolałabym, żeby było inaczej. Joyce zmieniała się w obecności Curtisa, zwłaszcza gdy był sam. Na przykład zabierała mu lustrzane okulary przeciwsłoneczne, które nosił jak opaskę na gęstych, czarnych włosach, albo wpatrywała się w jego odkryte łydki, kiedy siadał na piasku w szortach. Curtis także zachowywał się dziwnie przy Joyce. Drażnił się z nią, doprowadzając do wściekłości, lub obejmował za szyję.

Pewnego dnia znaleźliśmy się na plaży tylko we trójkę, bez Lary. Curtis zapukał do moich drzwi, przerywając nam sekretną zabawę w hiacyntowe dziewczyny. Właśnie usiłowałyśmy przywołać myśli zamordowanej kobiety, aby namierzyć mordercę. Joyce przyjęła propozycję pójścia na plażę, nie pytając mnie o zdanie.

Patrzyłam, jak Curtis wyjmuje Joyce z wody i bierze ją na ręce, a ona pozwala się nieść, obejmując go za szyję. We dwie byłyśmy hiacyntowymi dziewczynami, ale gdy siedziałam wtedy sama na ręczniku kąpielowym, czułam się nikim. Nagły dreszcz pożądania jeszcze bardziej skomplikował moją sytuację. Chciałam, żeby to mnie Curtis nosił na rękach i ratował z opresji, chciałam dotykać jego ciepłej, mokrej skóry. Jednocześnie pragnęłam tulić w ramionach Joyce, bronić ją przed zamachowcami i zabójcami. Miałyśmy być sobie bliższe niż ktokolwiek inny, połączyć nasze umysły na zawsze. Jeżeli polubi Curtisa bardziej ode mnie, wszystko się zmieni.

Gdybym miała prawdziwe zdolności telepatyczne, ten moment byłby najważniejszy, by ich użyć. Patrzyłam na Joyce, która rzucała piaskiem w mojego kuzyna, i próbowałam przesłać jej sygnał SOS. *Pomóż mi, potrzebuję pomocy! Wróć do mnie w tej chwili.* Nie zadziało – utkwiałam wzrok w błękitnej wodzie. Czy gdybym wyszła na głębinę i pozwoliła się porwać fali, czy wtedy Joyce by mnie usłyszała i zdążyła uratować? Wyobraziłam ją sobie płaczącą nad moim martwym ciałem i znoszącą naręcza kwiatów. Hiacyntowa dziewczyna umrze z braku miłości. Miałam trzynaście lat i podejrzewałam, że moje życie dobiegło kresu. W tamtej chwili Joyce przybiegła i położyła mi na ramieniu chłodną, moką dłoń. Cóż to była za ulga. Wróciła i należała do mnie.

– Usłyszałaś mnie?

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

Ojciec Dallas zapalał lampiony wokół basenu, muzyka grała coraz głośniej, ktoś zaśpiewał *Sto lat*. Dziewczęta pozdejmowały buty i tańczyły dziko pod oświetlonymi drzewami. Callie swobodnie krążyła między grupkami, śmiała się, żartowała. Mnie nie przeszkadzało, że siedzę samotnie i podsłuchuję fragmenty toczących się wokół mnie rozmów.

Uśmiechałam się do rodziców, których twarze kojarzyłam z gabinetu dentystycznego. Odpowiadali, połyskując bielą uzębienia, i nie przerywali swoich konwersacji. Czułam się nie na miejscu. Nie miałam nic do powiedzenia na temat korków na trasie z przylądka, nauki mandaryńskiego czy turniejów golfowych. Odwróciłam się, usłyszawszy za sobą chrapliwy śmiech. Zobaczyłam mężczyznę z butelką piwa, stojącego samotnie obok grilla. Obserwował dziewczęta, które biegły przez trawnik i usiłowały pochwycić świetliki. Nigdy wcześniej go nie spotkałam – pamiętałabym. W odróżnieniu od innych ojców miał na sobie obcisłe, czarne dzinsy. Był całkowicie zaabsorbowany obserwowaniem dzieci. Przyglądałam mu się przez chwilę, by się upewnić. Przebiegł mnie zimny dreszcz – to się działo naprawdę. Patrzył na nie jak na potencjalne ofiary i nikt tego nie zauważał. Inni rodzice zanosili się śmiechem, zupełnie nieświadomi niebezpieczeństwa grożącego ich córkom. Uniósł butelkę do ust, nie odrywając wzroku od upatrzonej grupki. Doskonale znałam jego myśli. Wiedziałam, że muszę działać.

Przechylił głowę, kiedy zasłoniłam mu widok, by chronić nasze dziewczynki. Prychnął lekceważąco. Posłałam mu spojrzenie spod zmrużonych powiek, ale zupełnie się tym nie przejął. Wtedy klepnęłam go w ramię i spytałam:

– Czyim tatą pan jest?

Nawet nie spojrzał mi w oczy. Kobieta po trzydziestce nie była dla niego atrakcyjna. Nie kiedy wokół było tyle młodych, świeżych ciał. Postanowiłam ustalić jego

nazwisko, upokorzyć go, jeśli będzie trzeba, dopilnować, by Callie nigdy nie miała z nim kontaktu.

Pokręcił głową.

– Niczym. Przyszedłem do Dougiego.

Doug Price był tatą Dallas. Nigdzie jednak go nie widziałam. Mężczyzna przecesał dłonią falujące włosy. Nie przedstawił się. Ja także nie miałam zamiaru się przedstawiać, chciałam jedynie zablokować mu drogę. W razie konieczności będę za nim chodzić krok w krok i pilnować, żeby trzymał ręce przy sobie. Źle znosiłam świadomość, że nasze dziewczynki stają się obiektem zainteresowania takich typów. Że się na nich gapią pod każdym kątem, śliniąc się przy tym obficie. W wieku czternastu lat dopiero poznawały siebie, próbowały poczuć się swobodnie we własnej skórze, męskie spojrzenie mogło to wszystko zmienić. Ich naturalna siła pod nim zwiędnie.

– Skąd zna pan Douga? – zapytałam. Zignorował pytanie, zaabsorbowany przebiegającą obok Dallas. Odwrócił za nią głowę, po czym wykonał gest, jakby chciał ją złapać. – Przepraszam! – zawołałam, ale zagłuszył mnie, krzycząc:

– Majtki ci się palą!!!

Dallas zrobiła obrót wokół własnej osi i pochyliła się, kładąc rękę na klatce piersiowej. Rozważałam kopnięcie intruza w łydkę i głośne wyproszenie go z przyjęcia. To, co zrobiłam w zamian, było impulsywne i mogło wprowadzić w błąd postronnego obserwatora. Jedna z osób, która nas widziała, myślała ponoć, że się całujemy. Później któraś z mam wspomniała zaczepnie, że wyglądałam na mocno spoufaloną ze sławnym gościem, uświadamiając mi, iż groziłam gwiazdzie wieczoru zaproszonej przez Douga. Nie miałam wyboru – arogancję trzeba czasem utemperować.

Chwyciłam go za ramię i zmusiłam, żeby się schylił.

– Wiem, co ci chodzi po głowie – szepnęłam mu do ucha. – Zostaw ją w spokoju.

Odskoczył ode mnie z wściekłością. Słowa hiacyntowych dziewczyn rozbrzmiewały sykiem w jego głowie. Poczułam przepływającą moc, gdy patrzyłam, jak odchodzi. Niczym trzynastoletnia dziewczynka, która właśnie zdała sobie sprawę z własnej siły.

Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak #3
Dla Rebekki/Od Callie

Od: R.Doblak@sparkon.com
Do: C.Mckenzie@chronomail.com
Temat: Śpisz?
Data: Czwartek, 25 grudnia 2008, 23:18:02

Heeej, Callie!

Wiesz co? Zamówiłam sobie bransoletkę z pitbulllove. Próbowałam cię złapać na czacie, ale NIGDY cię nie ma. Chciałam sprawdzić, czy miałaś wesołe parszywe święta. Moje były parszywe i niezbyt wesołe. Nie dostałam psa, wszyscy byli sztucznie zadowoleni, a ja miałam ochotę ZABIĆ ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA I SPALIĆ CHOINKĘ!!! Miałam wrażenie, że wszyscy udają na wypadek, gdyby mój tato nas widział. Musieliśmy być słodcy i promienni, totalnie fałszywi! A ja nawet nie potrafię ukryć, kiedy coś mnie gryzie. Jak mamy być szczęśliwi, kiedy wszyscy myślimy tylko o tacie?

Moi znajomi tego nie rozumieją. Uważają, że powinnam była sobie już z tym poradzić i że domagam się dodatkowej uwagi. Pani Barańska zapewnia, że z czasem będzie łatwiej, ale ja NIE CHCĘ, żeby było łatwiej. Nie chcę z niczego się cieszyć i mam DOŚĆ smutku. Czy ty czujesz podobnie? Zawsze wyglądasz na zadowoloną. Mam nadzieję, że Twoje święta nie były tak straszne jak moje.

xoRobyn

Od: C.Mckenzie@chronomail.com
Do: R.Doblak@sparkon.com
Temat: Re: Śpisz?
Data: Piątek, 26 grudnia 2008, 8:42:47

Robyn, przykro mi, że Twoje święta były do bani – trochę Cię rozumiem. Czułam się podobnie, kiedy wszyscy mnie obserwowali. Litowali się nade mną, myśleli, że WSZYSTKO o mnie wiedzą. Jakby już przesądziło o całym moim życiu i wcale ich nie obchodziło, czy mają rację. Pewnego roku po prostu ześwirowałam. Zaczekałam, aż zajmą się otwieraniem prezentów. Poszłam w tym czasie do kuchni po MNÓSTWO keczupu. Wylałam go sobie na

włosy i twarz, żeby wyglądać, jakbym ociekała krwią, i zaczęłam biegać wokół choinki, wykrzykując „Ave Szatan!”. Chciałam, żeby wzięli mnie za satanistkę, więc także śpiewałam i mówiłam jakieś zmyślane zaklęcia. Poinformowałam wszystkich, że nazywam się Demon McFrenzy, i narysowałam wielki pentagram obok świątecznego drzewka!!! Zatkalo ich z przerażenia, tak że zapomnieli o przeszłości. A ja pomyślałam: NARESZCIE!!!

-C

4

Mniej więcej w połowie czerwca odbierałam Callie spod domu Elli. Zauważyłam, że ma mokre włosy i wilgotną bluzkę.

– Wreszcie dałaś się namówić na kąpiel! – zawołałam i poklepałam ją po mokrym ramieniu. Wyobrażałam sobie, jak radośnie baraszkuje w basenie Elli, pokonując swoją fobię.

– Nie pływałam – sprostowała Callie. – Ochlapali mnie.

Każde dziecko ma jakieś dziwactwa. Callie twierdziła, że nienawidzi wody. Basenów, oceanów, niegroźnych strumyków. Nie umiała pływać, wydawała się o tym przekonana, choć – jak wiedziałam – Joyce ją nauczyła. Setki razy proponowałam jej lekcje, ale ona zawsze stanowczo odmawiała.

– Prywatne lekcje pływania mogłyby być świetną zabawą – spróbowałam po raz kolejny, odjeżdżając spod domu Elli. – Mogłabyś potem zaimponować koleżankom.

– Nie będę pływać. – Zrobiła balona z gumy do żucia. – Nie zapisuj mnie. Nie pójdę.

– Powinnaś się nauczyć przynajmniej podstaw, dla własnego bezpieczeństwa. Co będzie, jeśli wypadniesz z kajaka? Nie możesz polegać tylko na koleżankach.

Szarpnęła pas bezpieczeństwa. Przestraszyłam się, że chce wysiąść w czasie jazdy.

– Nie pływam kajakiem. Nie robiłam tego od lat.

– Ale powinnaś. Nie chcę, żeby coś cię w życiu omijało.

– Dlaczego ci na tym tak bardzo zależy? To głupie.

Przycisnęła czoło do szyby i zostawiła na niej plamę skroplonej wilgoci. Wiedziałam, że powinnam dać spokój, zanim wybuchnie awantura. Dopiero niedawno przeszliśmy do porządku dziennego nad incydentem podczas przyjęcia u Dallas. Callie miała mi za złe, że obraziłam wielką gwiazdę rocka. Oskarżyła mnie o napad hysterii, a ja przekonywałam ją o swojej racji, opisując ze szczegółami obleśne zachowanie gościa honorowego. Nie zmieniła zdania – nadal twierdziła, że zareagowałam histerycznie, przynosząc wstyd sobie i jej.

– Nikt cię nie zmusza – stwierdziłam. – Po prostu lato nieodmiennie kojarzy się z pływaniem. Codziennie chodziliśmy na plażę z twoją mamą, pływaaliśmy, stawaaliśmy na rękach w wodzie.

– To obrzydliwe – oświadczyła. – Ponieważ *wiedziałyście*, co było w tej wodzie. – Sądziłam, że ma na myśli szlam, zwykłe zanieczyszczenia cieśniny Long Island, ale

szybko mnie uświadomiła: – Ta dziewczyna, która – jak podejrzewaliście – została porwana. Jak ona się nazywała?

Autumn Sanger była ostatnią osobą, którą próbowały uratować hiacyntowe dziewczyny. Miałyśmy po trzynaście lat, gdy zaginęła przyjaciółka Lary.

– Stąd twój lęk przed wodą? – Żałowałam, że opowiedziałam jej tę historię. Czasem Callie zwracała uwagę na niewłaściwe szczegóły, a umykał jej sens tego, co chciałam przekazać.

– Ja się nie boję, ale ludzie umierają w wodzie. – Energicznie żuła gumę, w samochodzie pachniało miętą.

– Ludzie umierają wszędzie – rzekłam ostrożnie. – Nie możesz unikać wszystkiego.

– Nie muszę pływać tylko dlatego, że ty to uwielbiałaś. Twoje dzieciństwo wcale nie było idealne. Zapominasz o złych rzeczach, które się zdarzyły.

– Posłuchaj, panno mądralińska. O niczym nie zapominam. Te złe rzeczy wcale nie były takie straszne. Byłyśmy beztroskie, wszystko wydawało się możliwe.

– Dlatego oskarżyłyście jakiegoś staruszka o porwanie i włamałyście się do jego piwnicy.

Zwolniłam i zahamowałam gwałtownie. Co ją dziś ugryzło?, pomyślałam. Uroki dojrzewania.

– Źle zrozumiałaś. Nie byłyśmy w niczyjej piwnicy. Nie spędziłyśmy w jego domu nawet pięciu minut.

– Włamałyście się i pewnie śmiertelnie wystraszyłyście faceta.

– Chciałyśmy dobrze. Miałyśmy tylko trzynaście lat.

– Byłyście bezmyślne, nękałyście kogoś bez powodu – stwierdziła surowo. Wtedy wydawało nam się, że miałyśmy ważny powód. Lara bez przerwy płakała. Autumn była jej przyjaciółką. Nasze pobudki były szlachetne, bez zarzutu. W samochodzie zapanowała lodowata cisza. Po kilku minutach Callie spróbowała na nowo podjąć rozmowę: – Pamiętasz, jak się nazywała? – zapytała cicho. – Mimo że jej nie znałaś?

– Tak, nazywała się Autumn Sanger.

Lara przysłała do nas tamtego dnia z płaczem. Nawet nie zauważyła, że zanim weszła, Curtis bawił się warkoczem Joyce. Na jej widok gwałtownie go puścił. Joyce aż się zatoczyła, wygładziła włosy, ukrywając niezadowolenie.

– Słyszeliście? – spytała roztrzęsiona Lara. – Autumn Sanger zaginęła.

Curtis wstał z kanapy, na której siedział wciśnięty między nas dwie. Joyce pogładziła jeszcze ciepłą poduszkę. Flirtowali od samego rana, a ja próbowałam im przeszkadzać. Joyce pozostawała jednak głucha na moje telepatyczne upomnienia.

– Jak to zaginęła? Uciekła z domu? – Curtis objął Larę. Choć nigdy wcześniej nie słyszałam o Autumn Sanger, serce zaczęło mi szybciej bić w przeczuciu czegoś

straszego.

– Podejrzewają porwanie. – Lara z trudem chwyciła powietrze, jak po szybkim biegu. Wiatrak nad naszymi głowami nie zaprzestał swoich powolnych obrotów, życie toczyło się dalej, tylko kolana Joyce zaczęły podrygiwać, jakby próbowała przed czymś uciec.

– Dziewczyny, idźcie do pokoju Rebekki – rozkazał Curtis.

– Co? Dlaczego?

Pozostałyśmy na swoich miejscach. Curtis wyprowadził Larę, żeby z nią porozmawiać na osobności. Podśluchiwałyśmy na korytarzu, przysuwając uszy do cienkich drzwi. Curtis uważał, że Autumn uciekła z domu. Tak powiedział Larze. Nie wierzył w teorię o porwaniu – Autumn wspominała o podróży autostopem do Kalifornii. Lara twierdziła, że pożegnałaby się z nią przed wyjazdem, gdyby rzeczywiście była na gigancie.

Potem wymieniła nazwisko pana Horta.

– Nie. Nie ma mowy – zaprotestował Curtis. Pan Hort był naszym sąsiadem, mężczyzną w podeszłym wieku, o którym krążyły różne plotki. Podobno zamawiał prostytutki przebrane za dzieci. Jedna z moich koleżanek ze szkoły widziała je tańczące na jego podwórku, tak przynajmniej twierdziła. Ssały smoczki i miały włosy ułożone w loki jak małe dziewczynki. – Jest już za stary i zbyt słaby, żeby zrobić coś takiego – mówił Curtis.

Nagle ktoś klepnął mnie w ramię. Za nami, z rozbawioną miną, stała ciocia Bea. Miała na sobie sięgający połowy ud podkoszulek, w którym spała. Poczułam jej papierosowy oddech, kiedy przysuwała ucho do drzwi.

– Nie mówcie, że to robią. – Zapukała pięścią w drzwi. – Hej, macie tu małych szpiegów!

Joyce oblała się rumieńcem, a ja usiłowałam opowiedzieć ciotce o zaginięciu Autumn. Kazała nam iść do mojego pokoju. Nie zapytała o szczegóły.

– Musimy nawiązać z nią kontakt – zakomunikowała Joyce. Leżałyśmy razem na moim łóżku. Wyłączyłam światło, aby zachęcić duchy do przybycia. Joyce ścisnęła moją dłoń i zapytała: – Myślisz, że pan Hort ją porwał?

– Wezwijmy ją i spytajmy.

– Autumn Sanger – szeptałyśmy raz po raz, aż słowa zlały się w jedno i rozboleły nas gardła.

W mojej głowie rozległ się cichutki głosik. „Piwnica”, usłyszałam.

Dostałam gęsiej skórki.

– Piwnica! – poinformowałam przyjaciółkę.

– Czyja piwnica?

Zastanowiłam się.

– Pana Horta!

Nagle znalazłam się na miejscu Autumn, zamknięta w piwnicy. Drżałam z zimna we wszechogarniającej ciemności, oparta o twardą, zimną, cementową ścianę. Palilo mnie w gardle i słyszałam skrzypienie kroków nad głową. Ktoś zapukał do sypialni.

Lara włączyła światło.

– Rebecca, mam do ciebie prośbę: mogłabyś mi pożyczyć swój zestaw z klubu sprzedawców? – Joyce i ja zapisałyśmy się tamtego lata do klubu sprzedawców. Przesyłał nam pocztą kartki okolicznościowe, a my chodziłyśmy od drzwi do drzwi i prezentowałyśmy ciężki katalog z próbkami. Spędzałyśmy w ten sposób większość popołudni. Poderwałam się, żeby podać Larze katalog, szczęśliwa, że mogę jej w czymś pomóc. Pomyślałam, że zamierza wysłać kartkę z wyrazami współczucia do rodziców Autumn, ale Joyce była podejrzliwa. Lara zignorowała pytanie, po co jej katalog. – Jak to zwykle robicie? Dzwonicie do drzwi i prezentujecie broszurę?

– To jest katalog, a nie broszura – pouczyła ją Joyce.

– Przedstawiamy się, mówimy, że reprezentujemy Słoneczny Klub Sprzedawców – tłumaczyłam. – Pytamy, czy nie potrzebują kartek okolicznościowych albo papieru do pakowania prezentów. – Właściwie nie musiałam się odzywać, Joyce miała przygotowane bardzo przekonujące przemówienie.

– Nie dostaniesz katalogu, jeśli nas ze sobą nie zabierzesz – oświadczyła.

– Zaraz wam oddam.

– Musimy iść z tobą – nalegała Joyce.

I tak trafiłyśmy do domu pana Horta.

Lara wymusiła na nas obietnicę zachowania tajemnicy przed Curtisem. Kazała nam milczeć i nie wchodzić do środka – cokolwiek się stanie. Doszłyśmy do skrzyżowania, skręciłyśmy w lewo i przeszłyśmy na drugą stronę ulicy do schludnego, białego domku z niebieską skrzynką na listy. Na podwórku obok domu stała świeżo pomalowana krata do pnączy ozdobnych, a pod oknami rosły przycięte krzewy. Trawa była skoszona, nie leżały na niej żadne połamane dachówki. Nasz mały gang podszedł do drzwi. Gang hiacyntowych dziewczyn przybyłych na ratunek siostrze.

Lara opowiadała nam po drodze o Autumn. Lubiła mocno podkreślać oczy czarną kredką. Przyjaźniła się z Larą od ponad dwóch lat, obie słuchały metalu i wymieniały się kasetami. Lara potarła oczy, żeby powstrzymać napływające łzy. Jej rozpacz przejmowała mnie do szpiku kości.

Zadzwoiła do drzwi i po chwili stanął w nich pan Hort.

Był niski i szczupły. Mówił piskliwie i niewyraźnie.

– Tak? Dzień... dobry? – Przenikliwe oczy pod gęstymi, czarnymi brwiami. Lara

trzymała katalog i stała bez słowa, choć Joyce nauczyła ją wszystkich handlowych formułek. Patrzyła na pana Horta bez cienia uśmiechu. Dotknęłam jej ramienia, nie wiedziałam, co robić. Myślałam, że powodem milczenia jest problem z jękaniem. Joyce przejęła kontrolę nad sytuacją.

– Dzień dobry – powiedziała przyjaźnie. – Jesteśmy przedstawicielkami Słonecznego Klubu Sprzedawców. Czy nie zechciałby pan...

Lara wciągnęła ze świstem powietrze, jakby ktoś ją dusił. To był okropny, świszczący dźwięk – przestraszyłam się, że umiera.

– Wody – wychrypiała, mocno ściskając moje ramię. Pochyliła się, wbijając mi paznokcie w skórę.

Przerażony pan Hort poszedł do kuchni po wodę. Lara przestała się dusić natychmiast po jego odejściu. Udawała.

– Zostańcie tu – syknęła i podała Joyce katalog. Zostawiła nas na ganku, a sama zniknęła we wnętrzu domu.

– Co my mu teraz powiemy? – zapytała cicho Joyce. – Nie uprzedziła nas.

– Nie wiem. Musimy go jakoś zagadać. – Mijały jednak minuty i żadne z nich nie wracało. Zaczęłyśmy się pocić ze strachu. Joyce dotknęła metalowej zasuwki. – Nie, zostaw – prosiłam.

Na próżno. Joyce już otwierała drzwi.

Pierwsze, co nas uderzyło, to zapach. W domu pana Horta pachniało lekami: syropem od kaszlu i środkiem bakteriobójczym. Tak zapewne pachną prostytutki, pomyślałam. Rozglądałam się wokół w oczekiwaniu, że za chwilę zobaczę jakąś dorosłą kobietę w obcisłych dziecięcych spodenkach i koszulce z aplikacją.

– Joyce – syknęłam. – Joyce!

Niczym pod wpływem jakiegoś przedziwnego zaklęcia szłyśmy coraz dalej w głąb domu. Wkrótce miało być za późno na odwrót. Przeszłyśmy przez korytarz do salonu z oknem zasłoniętym granatową zasłoną. Usłyszałam szmer za plecami. On. Zrobiło mi się słabo.

– Gdzie jest ta chora? Co tu robicie? – Jego głos przestał być piskliwy. Trzymał w ręku kubek i wlepił w nas spojrzenie ciemnych, strasznych oczu.

Rozejrzałam się. Szklana lampa, drewniana lalka ze spiczastą głową, która kojarzyła mi się z czarami i voodoo. Rozprostowałam palce. Mogłam coś pochwycić i uderzyć go w skroń albo między oczy.

Trzaśnięcie drzwi odwróciło na moment uwagę pana Horta, a ja postanowiłam skorzystać z okazji.

– Autumn! Autumn! Autumn! – krzyczałam, a Joyce razem ze mną. Obserwował nas z przerażeniem, nienawiścią lub lękiem – nie potrafiłam tego stwierdzić.

Nie musiał nas wypędzać za drzwi – same wybiegłyśmy.

– Uśmiechnij się! – Skierowałam na Callie obiektyw aparatu fotograficznego. Leniwie skrzyżowała ramiona nad głową, bez uśmiechu. Siedziałyśmy w ogrodzie pani Romero, było późne lipcowe popołudnie. Świeciło słońce, pszczoły obsiadły kwiaty lawendy, jakiś wróbel przysiadł w krzakach i świergotał. Zrobiłam osiem lub dziewięć zdjęć, Callie milcząco wpatrywała się w obiektyw. Nie chciała wiedzieć, czy dobrze wyszła, wołała porozmawiać o Autumn.

– Myślisz, że zrobiła to, żeby zwrócić na siebie uwagę?

Już kilka razy wracała do tego tematu. Podejrzywałam ją o stosowanie przemyślanej strategii w celu uniknięcia nauki pływania.

– Nie sądzę. – Wyłączyłam aparat. – Podobno była pijana i podjęła decyzję pod wpływem impulsu.

– Ale nie zostawiła żadnych wskazówek. Na pewno chciała, żeby jej szukali.

– Może zostawiła, tylko nikt ich nie rozpoznał we właściwym czasie.

Callie muskała trawę gołymi stopami, kołysała nimi powoli w tę i z powrotem.

– Nawet przyjaciele?

– Przyjaciele myśleli, że została porwana. Nic im nie powiedziała. Ludzie zbierali się i szukali jej po okolicznych lasach, wszędzie.

– Ale Autumn potrafiła pływać, tak?

Popatrzyłam na jej obsypaną słonecznymi piegami buzię, złote włosy połyskiwały w promieniach słońca. Zmarszczyła jasne brwi. Nie chciałam zdradzać faktów, których mogła potem użyć przeciwko mnie w kłótni, ale pokiwałam głową. Tak, Autumn potrafiła pływać.

Kiedy Callie nie zadawała pytań na temat Autumn, rozmawiałyśmy o jej zainteresowaniach. Ochrona środowiska. Groźba globalnego ocieplenia. Trzy razy w tygodniu pracowała jako wolontariuszka w rezerwacie przyrody, każdego wieczoru – zeskrobując błoto z butów – zdawała mi sprawozdanie na temat żółwi błotnych i żab leśnych, które policzyła. Lipcowa fala upałów nie minęła z początkiem sierpnia, Callie mówiła o ginących gatunkach ryb, alg i innych stworzeń. Brałyśmy trzyminutowe prysznic, postawiłyśmy pojemnik na kompost, przestałam ją odwozić do koleżanek – jeździła na rowerze, żeby nie marnować benzyny. Czekałam, aż się złamie i włączy klimatyzację na pełny regulator, tymczasem ona nic sobie nie robiła z upałów. Jak zwykle zbierała liście w ogrodzie. Właśnie starannie mierzyła obwód drzewa. Obserwowałam ją przez okno w kuchni w osłupieniu i podziwieniu, zastanawiając się, ile czasu to potrwa.

Ostatni tydzień wakacji miała spędzić u mojej ciotki, Bei. Nie mogła się tego doczekać od miesięcy. Przed odjazdem wydrukowała znalezione w internecie przepisy na potrawy z jagód, buraków i jabłek, które podobno pomagały ludziom chorym na płuca. U Bei kilka lat temu zdiagnozowano rozedmę płuc. Nie byłyśmy sobie szczególnie bliskie, nawet niespecjalnie się lubiłyśmy, ale uważałam, że wspieranie jej

relacji z Callie należy do moich obowiązków.

Ciotka nie zachowała w domu żadnych zdjęć Curtisa, a przynajmniej ja ich nie widziałam, od lat nie wspominała o swoim synu. Wyrzuciła wszystkie jego rzeczy oprócz wąskiego łóżka pod oknem. Callie będzie na nim sypiać, w starym pokoju mojego kuzyna. Z westchnieniem upuściła torby na podłogę – nie przejmowała się tym. Kazała mi jechać do domu i przestać się zamartwiać.

– Lubię się zamartwiać – zażartowałam.

– Do widzenia! – Pomachała mi na pożegnanie. – Cześć! – zawołała śpiewnie.

Niechętnie ją zostawiałam, nawet na tydzień.

Pod jej nieobecność dom stał się zbyt cichy. Włączyłam radio, a potem jeszcze telewizor, żeby coś mi grało podczas gotowania. Ubijałam białka na makaroniki, wykwentne francuskie ciasteczka, uczyłam się je piec w tym miesiącu. Nic mi nie wychodziło, mimo starań. Sparzyłam się gorącym karmelem, próbując jednocześnie ubijać i polewać. Pracowałam w pocie czoła każdej nocy, a kolejne partie wychodziły coraz bardziej nieudane. Popękane, z grudkami albo zakalcem. Przypominały brzydkie, brązowe kamienie. Wstydząc się własnego marnotrawstwa, postanowiłam je wszystkie zjeść. Przez nieuwagę stłukłam miskę pełną zastygłego karmelu i zamiast od razu pozbierać odłamki, zjadłam kolejne ciastko.

Wyjście z domu stało się koniecznością, musiałam uciec od zapachu przypalonego cukru. Pojechałam do centrum pochodzić po sklepach. Wchodziłam do butików i sklepów z podarunkami, wdychałam zapach drogich, sojowych świec. Zajrzałam do galerii sztuki nowoczesnej, zaintrygowana rzeźbą z czerwonych lampek. Mieszkanie wśród bogatych ludzi miało to do siebie, że człowiek nabierał upodobania do ładnych przedmiotów. Chciałam pomalować ściany na taki sam odcień szarości i kupić jedną z tych rzeźb, a także jedwabną bluzkę z wystawy butiku, która kosztowała więcej niż mój laptop. Trochę mnie dziwiło, że wszystkie te sklepy jeszcze funkcjonują przy tak wygórowanych cenach. Doktor Rick zawsze nam przypominał o zamożności tutejszych mieszkańców. Od maja przychodziło mniej pacjentów, uprzedzono nas na zebraniu, że będziemy pracować po mniej godzin, tymczasem w przerwach między przyjmowaniem pacjentów miałyśmy przypominać telefonicznie o rutynowych kontrolach. Najbogatsi pacjenci najgłośniej narzekali na ceny. Cmokali z niezadowoleniem, widząc wysokość rachunku, i twierdzili, że są spłukani po remoncie. Nie znałyśmy planów doktora Ricka i obawiałyśmy się zwolnienia jednej z nas.

Stałam przed wystawą francuskiej piekarni i podziwiałam kunsztowne, pastelowe makaroniki. Jakiś pyzaty mężczyzna w półbutach wyszedł z zadowoloną miną i dużą, białą torbą. Dotknęłam śladu po oparzeniu i posłałam mu przelotny uśmiech. Wielbiciel makaroników? Przepustka do lepszego życia? Minął mnie bez zainteresowania. Wtem jakiś dziewczęcy głos zawołał moje imię.

Dallas, wymijając ludzi, szła z uśmiechem w moją stronę. W obu rękach niosła torby z zakupami. Bluzka bez rękawów podwinęła się, odsłaniając jej brzuch. Włosy ściągnęła w niedbały węzeł. Nie widziałam jej, odkąd Callie zaczęła wszędzie jeździć rowerem. Rzadko nas odwiedzała w naszym ciasnym mieszkanku.

– Dallas, wyglądasz pięknie! Co u ciebie słychać?

Robiła zakupy na nowy rok szkolny, Ella przymierzała dzinsy w jednym z butików. Uniosła torby i zaczęła wymieniać, co kupiła: naszyjnik, kolczyki, sweter... Jej uśmiech nagle zbladł.

– Czy u Callie wszystko w porządku?

Nie odpowiada na wiadomości, wyjaśniła.

– Wyjechała na tydzień do cioci. Może nie ma zasięgu.

Rozmawiałam z nią zaledwie kilka godzin wcześniej, odebrała bez problemu, ale wyjaśnienie było wiarygodne i uspokoiło Dallas.

– Bałam się, że mnie unika. – Uśmiechnęła się, dając do zrozumienia, że to nedorzeczne. Popatrzyła z rozbawieniem na swoje torby z zakupami. Miała masywniejszą sylwetkę niż Callie czy Ella, silną i wysportowaną, ale gdy pochylała głowę, pod brodą pojawiała się fałdka tłuszczu.

– Na pewno nie. Powiem, żeby do ciebie zadzwoniła.

– I że za nią tęsknimy – dodała. – Nie możemy się doczekać, kiedy do nas wróci. – Zapytałam ją o plany na weekend. – Wybieramy się na żagle. Zaprosiłabym Callie, gdyby nie ten jej lęk przed wodą.

Dostrzegłam w oczach Dallas współczucie, miałam nadzieję, że to nie litość. Callie traciła tyle bezcennych doświadczeń.

– Ona potrafi pływać – zapewniłam, nieco zirytowana. – Po prostu nie chce. Nie potrafię tego zrozumieć.

– Pewnie jej głupio. Praktycznie wszystko inne robi idealnie. A pływa... – Zagryzła dolną wargę. – Spektakularnie źle.

– Musi poćwiczyć, ale nie chce lekcji z instruktorem.

– Próbowałyśmy ją z Ellą nauczyć. Wyglądała jak kot wrzucony do basenu.

– Udało się wam ją namówić, żeby weszła do wody? – Przypomniałam sobie mokry kostium kąpielowy pod wilgotną bluzką.

– Tylko raz, w zeszłym miesiącu. Wyglądała dość kiepsko, ale my jej przecież nie oceniamy ani nie robimy zdjęć.

– Przynajmniej zdołałyście ją nakłonić, żeby spróbowała. To więcej, niż ja mogę powiedzieć.

– Nie pozwoliłybyśmy, żeby coś jej się stało, ale nie chce nam zaufać.

Pewność siebie, z jaką wypowiadała się Dallas, sprawiała, że można było zapomnieć o jej bardzo młodym wieku. Z taką charyzmą nadawałaby się do telewizji.

– Callie ma do was zaufanie – zapewniłam. – Wie, że o nią dbacie. Pomogłyście jej

przecież z tą okropną dziewczyną w szkole.

- Robyn. – Dallas dotknęła kolczyka. – Ona to dopiero była dziwna.
- Nie widziałas jej od tamtego czasu?
- Uciekłabym, gdybym ją przypadkiem spotkała.
- Ale potrafiłaś się jej przeciwstawić w obronie Callie. To jest najważniejsze.
- Nie było trudno. – Dallas potrząsnęła głową. – Nikt nie lubił Robyn.
- Nic dziwnego. Jak można lubić kogoś, kto się zachowuje w taki sposób.
- Tak też powiedziałam Callie. – Dziewczynka wdzięcznie zmarszczyła nos. – Ona po prostu nie rozumie, do czego ludzie potrafią być zdolni z nienawiści.
- Mam wrażenie, że się tego uczy – odparłam z wdzięcznością.

Następnego dnia w pracy odebrałam telefon od ciotki Bei.

- Nie daję sobie rady – powiedziała. – Przyjedź po nią.
- Czym prędzej pojechałam do Cansdown, do dzielnicy, w której się wychowałam, wyobrażając sobie najgorsze. Bałam się, że otworzę drzwi i ujrzę Beę w otoczeniu sanitariuszy i płaczącą w kącie Callie. Tymczasem Callie nie było, a Bea spokojnie jadła chipsy, siedząc w fotelu, podłączona – jak zwykle – do butli z tlenem.

– Wyszła na rower – rzuciła opryskliwie.

Zwolniłam się z pracy po tym, jak do mnie zadzwoniła, w przekonaniu, że stało się coś poważnego. Zapomniałam, iż moja ciotka nie rozumie, czym jest praca i obowiązki z nią związane.

- Co się stało? – zapytałam.
- Mówiłam już. – Wydeła usta. – Nie radzę sobie z nią. Biorę szesnaście rodzajów leków. Spróbuj brać tyle leków i poradzić sobie z nastolatką.

Miała zapadnięte policzki i nadąsaną minę, przypominała skrzyżowanie dziecka ze szkieletem. Zaniedbana, z potarganymi włosami – wyglądała na siedemdziesiąt lat, chociaż była dopiero po pięćdziesiątce. Mimo metryki i wyglądu przestałam o niej myśleć jako o dorosłej osobie. Przypominała nieszczęśliwego trolla, z którym nie było sensu dyskutować. Usiłowałam przybrać współczujący wyraz twarzy.

- Pokłóciłyście się?
- Nie spodobało jej się, że chcę ją odesłać. Nie powinnaś była jej zostawiać na tak długo.
- Tak – powiedziałam powoli. – Ale ona naprawdę chciała spędzić z tobą ten czas, bardzo się na to cieszyła.
- Cóż, to nie był dobry czas. Nie zapraszałam jej.

To nie była prawda, ale postanowiłam nie wdawać się w żadną polemikę. Zadzwoniłam do Callie, lecz nie odbierała telefonu komórkowego. Bea włączyła telewizor, demonstrując obojętność. Bea i Curtis mieszkali ze mną i z mamą, dopóki

nie skończyłam czternastu lat. Zanim się wyprowadziła, zdążyłam ją trochę poznać – była nieodpowiedzialna i małostkowa. Kiedy wreszcie zdołała utrzymać jakąś posiadłość wystarczająco długo, żeby wynająć dom, wprowadziła się tutaj, ale od sześciu lat stan zdrowia nie pozwalał jej na pracę – żerowała więc na mojej matce i opiece społecznej.

– Dawno wyszła?

– Nie wiem. Jakąś godzinę temu.

Wymusiłam na niej obietnicę, że zadzwoni do mnie, jeśli Callie wróci do domu przede mną, i wsiadłam do samochodu, powstrzymując panikę. Przejadę się wolno po okolicy, może ją znajdę. Nie będę jej prawić kazań, oskarżać ani płakać. Miała czternaście lat, mogła zniknąć na godzinę w środku dnia. Mogła nawet nie odbierać telefonu – choć była to jedyna rzecz, o jaką ją zawsze prosiłam. Cansdown to stosunkowo bezpieczne miasteczko, chociaż nie tak jak Pembury. Telefon mógł się przecież rozładować albo nie słyszała dzwonka. Pojechałam krętymi uliczkami południowego przedmieścia, a potem skręciłam w stronę plaży. Nie znalazłam Callie. Mocno zacisnęłam dłonie na kierownicy.

Niedaleko domu pana Horta dostrzegłam budynek, którego nie znałam. Wielki, piętrowy dom, wybudowany na opuszczonej za moich czasów działce. Dwadzieścia lat temu były tam tylko dzika trawa i potłuczone szkło, dokładnie tam dogoniłyśmy Larę po ucieczce od pana Horta.

– Już myślałam, że będę musiała po was wracać, głupole – zawołała i przytuliła nas, zdyszane po biegu. Byłyśmy zarumienione i przejęte, dumne ze swojego wyczynu. Przysunęłam się do Lary. Zapomniałam, że Autumn nadal z nami nie ma, że powinno nas być cztery. Szurałyśmy nogami, nasze łydki się dotykały. Lara zapaliła papierosa i zaciągnęła się gwałtownie.

– Wszystko sprawdziłam, piwnicę też. – Odgarnęła za uszy spocone, rude włosy. – Autumn tam nie ma.

– Może przewiózł ją w inne miejsce – podsunęła Joyce.

Może ją zabił, pomyślałam i popatrzyłam na Larę. Czyżbym właśnie usłyszała jej myśl?

Podawała mi papierosa, mojego pierwszego w życiu. Zaciągnęłam się z dumą i poczuciem przynależności. Byłam częścią tej potwornej tragedii. Cóż za idiotka! Dzieci są okropnie niemądre w swej tęsknocie za emocjami, które nie powinny być ich udziałem: za rozpaczą i smutkiem. W przekonaniu, że papieros lub łyk wina uczyni je bardziej dorosłymi.

Piętnaście minut po moim powrocie do domu ciotki rozległo się trzaśnięcie drzwi. Bea nie przerwała oglądania, zupełnie obojętna, podczas gdy ja nerwowo obgryzałam

skórki przy paznokciach. Klapki Callie głośno uderzały o podłogę, kiedy szła przez korytarz. Stała w progu salonu. Patrzyła na nas jasnym spojrzeniem. Była spocona i zaróżowiona od jazdy na rowerze w upale. Patrzyłam na znajomą buzię, za którą tak tęskniłam. Uniesione nad czołem włosy, blizna na kolanie – pamiątka po upadku z trampoliny w szkolnej sali gimnastycznej, pomalowane na błękitny kolor paznokcie u stóp i szerokie piegowate ramiona, które tak lubiłam obejmować.

– Gdzie byłaś, do cholery? No gdzie?

Callie skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała mi w oczy.

– Wyszłam na rower.

– Za dużo z tobą kłopotu – wypaliła obcesowo ciotka Bea. – Jestem już zbyt chora, żeby opiekować się dziećmi.

Callie wzdrygnęła się i odwróciła głowę, jakby szykując się na kolejny cios. Zakryła policzek włosami, a ja popatrzyłam na Beę. Nawet nie zauważyła, zajęta swoimi chipsami. Lepiej, żeby zamilkła.

– Strasznie się za tobą stęskniłam – powiedziałam i zamknęłam Callie w uścisku. – Nie możesz znikać w ten sposób. – Sztywno poklepała mnie po plecach, jej szczupłe ciało było rozgrzane od upału i wysiłku. Szybko się odsunęła.

– Przyjechałaś zabrać mnie do domu?

– Bea źle się poczuła i zadzwoniła do mnie – wyjaśniłam. – Jeździłam po okolicy, szukając cię. Czemu nie odbierałaś telefonu?

– Nie słyszałam. – Posłała Bei pełne frustracji spojrzenie. Gdy ciotka włożyła do ust kolejnego chipsa, Callie wyszła z pokoju.

– Nie powiedziałaś jej, że ją odsyłasz? – zapytałam, usłyszawszy trzaśnięcie drzwi do sypialni na górze.

– Powiedziałam.

– Wyglądała na zaskoczoną. – Poczułam wzbierającą złość. – Ile pieniędzy ci zostało? – Zostawiłam jej kopertę z pieniędzmi na utrzymanie Callie przez tydzień. Powinna oddać resztę, skoro odsyła ją wcześniej do domu.

– Nic mi nie zostało – odparła cierpko.

Wyszłam bez pożegnania. Objęłam Callie, kiedy tylko wyszła na podwórko, powłócząc nogami.

– W porządku, Callie? – Nie odpowiedziała. – Wiem, że to trudne, ale nie powinnaś brać do siebie zachowania babci – rzekłam z całą wspaniałomyślnością, na jaką było mnie stać. – Ona jest nieszczęśliwą, chorą osobą.

Callie popatrzyła na mnie, mrugając w ostrym słońcu. Pokręciła głową, jakby uznała temat za zamknięty.

Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak #4 Dla Rebekki/Od Callie

Pamiętasz, Rebecca, że kiedy miałam pięć lat, przestałam na jakiś czas spać? Mieszkałam wtedy z babcią Susanną i dziadkiem Patem, a nocami czekałam na mamę. Najpierw nasłuchiwałam odgłosu klucza obracanego w zamku, potem drzwi mojej sypialni się otwierały i stawała w mroku sypialni. Pachniała chłodnym powietrzem.

– Nie śpisz jeszcze? – pytała szeptem.

Czasem pozwalała mi usiąść na łóżku. Pokazywałałam jej, że dziadek Pat nauczył mnie gwizdać, albo demonstrowałałam strup na ręku. Kiedy indziej ona opowiadała mi o sobie. Mówiła o żukach, robakach, podziemnych tunelach, a ja się wcale nie bałam. Chciałam, żeby wiedziała, że się nie boję. Każdej nocy czekałam w napięciu na odgłos klucza obracającego się w zamku, mrużąc oczy w ciemności. Kiedy go usłyszałam, mogłam się odprężyć. Chciałam pójść tam, gdzie ona.

Dziadek i babcia słyszeli przez ścianę mój głos i pytali, z kim rozmawiam. Myśleli, że zmyślam, że sobie z nich żartuję. Zaczęłam krzyczeć, więc odesłali mnie do pokoju. Mama już więcej nie przyjdzie, pomyślałam. Ale czekałam cierpliwie i wreszcie przyszła. Potem babcia zachorowała i ty się wprowadziłaś.

Pamiętasz, poprosiłaś mnie o rozmowę, kiedy dowiedzielaś się o wizytach mamy. Popatrzyłaś mi prosto w oczy i zapytałaś, co mama mówiła i jak wyglądała. Widząc twoje podekscytowanie, nie powiedziałam, że była ubrana w zwykłą kurtkę. Wymyśliłam długą, błyszczącą suknię, srebrne buty i welon. Zapytałaś, czy możesz u mnie spać.

Wyczyściłaś mi zęby nitką, przeczytałaś ulubioną bajkę o królikach i położyłaś się na rozkładanym łóżku. Kiedy mieszkaliśmy w starym domu i mama chodziła do szkoły wieczorowej, zostawałaś ze mną w pokoju, jeśli miałam zły sen. Słyszałam twój oddech, tak jak wtedy, i straciłam orientację, gdzie jestem. Myślałam, że zobaczę niebieski regał z naklejkami, a obok niego komodę z złotym psem. Popatrzyłam, a ich nie było. Przypomniałam sobie, że to nie ten pokój – nawet okno było w złym miejscu. Pokręciłam się niespokojnie i usłyszałam, jak ktoś przewraca się na drugi bok.

– Wszystko w porządku?

Usiadłam.

– Mama?

– Rebecca.

Opadłam na materac, łóżko zaskrzypiało. Wpatrzona w smugę światła wpadającą przez

szparę między drzwiami a podłogą, czekałam na odgłos jej kroków i klucza. Ty także czekałaś, wiedziałam o tym.

– Czasami się spóźnia.

– Czy jest szczęśliwa?

– Tak, śmieje się: ha, ha, ha.

– Ja też lubię sobie czasem wyobrazać różne rzeczy – powiedziałaś. Zaczęłaś opowiadać, że jest inny rok, a ty i mama nadal chodzicie do liceum. Siedziałyście w tym samym pokoju i słuchałyście muzyki. Mama leżała na moim miejscu, a ty na rozkładanym łóżku. Mama zasypiała, a ty wyglądałaś przez okno i widziałaś dokładnie ten sam kawałek nieba. – Tęsknię za nią – wyznałaś.

– Musisz nasłuchiwać klucza w zamku – przypomniałam.

– Dobrze.

Pamiętam, że wyglądałam przez okno i zaczynałam się czuć nieciekawie. Pociągnęłam za kołnierz pizamy, koc zsunął się na podłogę. Mama nadal nie przychodziła. Wiedziałam, jak bardzo chcesz ją zobaczyć i jak mocno się starasz. Uwierzyłaś mi. Kiedy zadawałaś mi pytania o mamę, czułam się ważna. Miałam wrażenie, że uważasz mnie za starszą i mądrzejszą od wszystkich, których w życiu spotkałaś. Moje odpowiedzi były dla ciebie ważne, czułam to. Ale mama nie przyszła i poczułam się nieswojo, jak zawsze wtedy, kiedy kłamałam albo próbowałam kogoś podejść. Chciałam cię wyrzucić ze swojego pokoju, jakby to była twoja wina, że mama nie przyszła. Włączyłam lampkę nocną.

– Co się stało? – Zamrugowałaś.

– Ona nie przyjdzie.

– Och, kochanie. – Przez chwilę ciężko oddychałaś, potem przemówiłaś zduszonym głosem: – Może odwiedzi nas w snach, a rano opowiemy sobie nawzajem, co mówiła.

Już wtedy, w wieku pięciu lat, zdałam sobie sprawę, że nie mogę spełnić twoich oczekiwań. Chciałaś, żebyśmy kłamały i udawały. Zrozumiałam, że oszukiwałam sama siebie – mama nie przyjdzie. Nigdy jej tu nie było. Śmierć to koniec wszystkiego, mama umarła i nie wróci. Długo nie wyłączałam światła, a ty nie zwracałaś mi uwagi. Obiecałam sobie nigdy więcej nie oszukiwać siebie ani nikogo innego.

Zmieniłam zdanie w ubiegłe święta, kiedy dostałam wiadomość od Robyn.

Od: R.Doblak@2sparkon.com

Do: C.Mckenzie@chronomail.com

Temat: Re:Re: Śpisz?

Data: Niedziela, 28 grudnia 2008, 23:18:02

Nie wychodziłam z łóżka od osiemnastu godzin. Moja mama: CO ROBISZ? SUFIT CIĘ TAK ZAFASCYNOWAŁ? A ja na to: PODDAJĘ SIĘ!!! NIE MAM SIŁY MIERZYĆ SIĘ

ZE ŚWIATEM!!! Przypomniałam sobie Twoją historię o keczupie, poprawiła mi trochę humor. Ludzie rzeczywiście zachowują się, jakby nas znali, jakby jeszcze przed spotkaniem mieli dostęp do wszystkich naszych sekretów. Blee (zwymiotowała). Bieedna Robyn. Wolałabym być Demonem, jak Ty, albo pitbullem. Wszystko byłoby lepsze niż ten żalony stan, w którym jestem teraz. Jestem żalona.

Powiedziałam mamie, że gdybym miała psa, nie czułabym się tak beznadziejnie, a ona na to: „Robyn, wiesz chyba, że tata wtedy żartował?”. Wiedziałam, ale mimo wszystko... Mój tata miał plan. Gdy był już bardzo chory, postanowił, że znajdzie sposób, żeby wrócić. Chciał się odrodzić w psim ciele albo wstąpić w jakiegoś psa, wszystko jedno. Powiedział, że mamy po niego pojechać do sklepu zoologicznego, nazywać „Tatuś”, karmić stekami i pozwolić oglądać mecze Metsów w telewizji. Miał leżeć w domu przez cały dzień i nas pilnować. Chociaż wtedy żartował, ja przysięgłam, że to zrobię.

xoRobyn

5

12 września 2009

W dziewiątą rocznicę śmierci Joyce, która w tym roku wypadła w sobotę, zapakowałam do bagażnika różany krzew, hiacyntowe bulwy i małą łopatę, po czym wróciłam do domu, żeby usmażyć francuskie tosty.

Nasze ulubione śniadanie przyrządzałam na maśle, tak jak nauczyła mnie Joyce. Pachniały cynamonem i leniwym niedzielnym popołudniem. Joyce stała przy kuchence ubrana w domowy podkoszulek i kroїła na małe kawałki chleb dla Callie. Nadal wolałam tani, sztuczny syrop klonowy od prawdziwego. Polałam kromkę strumieniem lepkiego, brązowego płynu. Zdołałam przełknąć kilka kęsów, nie byłam głodna.

O ósmej zapukałam do sypialni Callie. Jeszcze spała, z kołdrą naciągniętą po same uszy. Włączyłam światło i stałam niezdecydowana w progu, podczas gdy ona patrzyła na mnie zaspanym wzrokiem.

– Cześć, skarbie. Zrobiłam francuskie tosty.

– Nie mogę się ruszyć – jęknęła.

– Ze zmęczenia?

– Chyba jestem chora.

Podeszłam i dotknęłam jej czoła. Miała chłodną, lekko chropowatą skórę, jakby pod powierzchnią był piasek.

– Co cię boli?

– Wszystko. Brzuch. Nie mogę wstać.

Zamknęła oczy i skrzywiła się, jakby odgrywała osobę umierającą w potwornych męczarniach. Na jakąś zarazę, może ospę. Kiedy była mała, czasem udawała chorobę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Bolał ją paluszek, ucho, łokieć. Raz nawet włosy ją bolały. Joyce zawsze głaskała ją wtedy po głowie i udawała, że się przejmuje. Karmiła ją cukierkami, mówiąc, że to lekarstwa.

– Matko jedyna. Bardzo cię boli?

– Mmmhmmm.

– Pokaż, w którym miejscu boli cię brzuch? – Machnęła ręką, nie odkrywając kołdry. – Na dole po prawej stronie? To może być wyrostek.

– Neeee.

– Przyniosę termometr.

Callie trzymała termometr pod językiem, a ja rozglądałam się po jej pokoju. Szyszki, torebki nasienne, gałązki i kawałki kory na półkach nad biurkiem. Na najwyższej półce otwarty pojemnik pełen prażkowanych piór i innych bliżej niezidentyfikowanych przedmiotów znalezionych w rezerwacie. Coś przypominającego plaster miodu, coś szarego, podobnego do kości. Wszystko było dokładnie wyselekcjonowane, ułożone i opisane. Zorganizowane według jakiegoś naukowego klucza, którego nie znałam.

Termometr pisnął, Callie nie miała gorączki.

– Zmierzę ci puls – powiedziałam pocieszająco.

Trzymałam jej bezwładną rękę w nadgarstku, patrzyłam na zegarek i liczyłam uderzenia.

– Trochę przyspieszony. Czujesz? – zapytałam.

– Tak.

– Spróbuj się odprężyć. Przyniosę ci herbatę, pomoże na żołądek.

Przygotowałam tacę: talerz z ciepłymi grzankami, dwie tabletki tylenolu i kubek herbaty imbirowej. Chciałam ją rozbawić, kładąc kilka tych biało-różowych lukrecjowych cukierków, które Joyce podawała jako lekarstwa, ale ich nie miałam, więc wrzuciłam do herbaty dodatkową kostkę cukru. Wciąż miałam nadzieję, że jeśli okaże jej wystarczająco dużo współczucia, jeszcze przed dziesiątą będziemy w drodze do Cansdown.

Usiadła na łóżku, żeby przejąć ode mnie tacę. Miała na sobie pogniecioną koszulkę z poprzedniego dnia, z aplikacją przedstawiającą Jimiego Hendrixa na snowboardzie. Kupiła ją za trzy dolary w sklepie z używaną odzieżą i nie pozwoliła uprać. Dwa tygodnie temu poszła do liceum i usiłowała wyglądać intrygująco. Zbyt wyluzowana, cyniczna lub zblazowana, żeby ubrać się w szkolne barwy na zawody sportowe. „To tylko kolory”, skwitowała moją wzmiankę o tradycji i duchu szkoły. „Bez żadnego znaczenia. Wszystko jedno, co włożę”.

Teraz popatrzyła na grzanki i zmarszczyła brwi.

– Nie mogę tego zjeść.

– Och, w takim razie zostaw. Może zadzwonić po lekarza? – Wzruszyła ramionami i siorbnęła łyk herbaty. – Dobra?

– Może być.

– Co wczoraj jadłaś? Może to zatrucie pokarmowe?

– Prawdopodobnie przeziębienie. Potrzebuję dużo snu.

– Nigdzie nie pojedę, skoro jesteś chora i nie możesz jechać ze mną. Zostanę z tobą w domu.

– Mam czternaście lat, mogę zostać sama. Przecież zawsze zostaję.

– A jeśli ci się pogorszy? Muszę być w pobliżu, żeby cię zawieźć do lekarza... albo do szpitala – dodałam dramatycznie.

– Nie jest aż tak źle, Rebecca.

– Dobrze wiem, że nie rezygnowałabyś z dzisiejszego dnia, gdybyś nie czuła się bardzo źle. Zawieziemy kwiaty na cmentarz kiedy indziej.

– Może poczuje się lepiej po wypiciu herbaty.

– Dobrze, ale nigdzie nie pojedziemy, jeśli nadal będziesz się tak okropnie czuła. Świat się nie zawali, jeśli ten jeden raz zostaniemy w domu, prawda?

Dwadzieścia minut później z łazienki dobiegał szum wody, Callie brała prysznic. Wyjechałyśmy do Cansdown tuż przed dziesiątą. Nie wspomniałam ani słowem o brudnej koszulce, którą wciąż miała na sobie.

*

Moja matka nie pochwałała naszych wizyt na cmentarzu dwa razy w roku. Uważała je za ekwiwalent oglądania melodramatów i zdjęć głodujących sierot: niezdrowy sentymentalizm, który źle się skończy. Nie rozumiała, że i bez tych wizyt myślimy o Joyce codziennie. Nie mamy wyboru. Poza tym wspomnienia nie zawsze są smutne. To był nasz sposób na poradzenie sobie z żałobą i zachowanie pamięci o Joyce.

Poprzednia psycholożka jako pierwsza doradziła nam pisanie listów do Joyce. Dziadkowie Callie nie zabrali jej na pogrzeb, zdecydowali, że jest za mała i nie zrozumie. Rok później, kiedy to ja zostałam jej prawną opiekunką, dostrzegłam, iż ukrywanie prawdy nie chroni jej przed bólem. Według terapeutki pisanie listów miało pomóc Callie wreszcie przeżyć żałobę i stworzyć nową relację z Joyce. Odzywała w słowach naszych listów do niej. Była przy nas, gdy o niej rozmawiałyśmy lub myślałyśmy. Nadal odczuwałyśmy dojmujący brak, ale pojawiła się nadzieja na zachowanie przy życiu jakiejś jej części.

Położyłyśmy na grobie kamień w kształcie serca i wsuwałyśmy pod niego listy. Poczułam się lepiej, widząc, że wokół płyty nagrobnej nie ma już tak wielu rupieci.

W pierwszych miesiącach po śmierci Joyce ludzie zostawiali na cmentarzu pamiątki, co bardzo mnie denerwowało. Grób był zaśmiecony tanimi bukietami kupionymi na stacji benzynowej, brudnymi, żółtymi świecami, figurkami Świętego Mikołaja, ktoś zostawił szmacianą lalkę, która zamokła na deszczu, i paczkę orzeszków w polewie pomarańczowej, jakich Joyce nigdy w życiu nie jadła. Kompletnie pozbawione sensu, przypadkowe przedmioty, mogące wprowadzić w błąd przypadkowego przechodnia. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że Joyce była jakąś sentymentalną idiotką. Tymczasem ona pewnie przewróciłaby oczami na widok tych śmieci i umarła ze śmiechu z powodu tanich kwiatów.

W lokalnej gazecie opublikowano kilka artykułów na jej temat. Zapewne jakieś nieznajome osoby po ich przeczytaniu postanowiły w porywie wzruszenia podrzucić na grób te rupiecie. Bo nikt, kto chociaż odrobinę znał Joyce, nie obrażałby jej w ten sposób. Pewnego dnia pozbierałam wszystkie brudne bibeloty i wyniosłam je na parking, do kosza na śmieci. Następnie wróciłam po plastikowe kwiaty i zdjęcia nieznajomych dzieci. One także trafiły do śmietnika. Czysty grób bardziej do niej pasował.

W czasie, kiedy położyłyśmy na płycie kamień w kształcie serca, różowe wstążki i pluszowe maskotki już mnie nie irytowały tak bardzo jak wcześniej. Mogłam je po prostu posprzątać i wyrzucić. Z biegiem lat było ich coraz mniej, aż wreszcie całkiem przestały się pojawiać. Tylko my nadal przyjeżdżałyśmy regularnie i zostawiałyśmy swoje listy.

Za zjazdem do Cansdown pojechałam na cmentarz tą samą drogą, co zawsze. Minęłam podupadły motel z jedną ciężarówką na parkingu, niskie budynki hal, przydrożne stragany i pusty zaśmiecony parking. Miasteczko nie wyglądało gorzej niż zwykle, ale po latach spędzonych w Pembury wyraźniej widziałam jego niedostatki. Mnóstwo sklepów z częściami samochodowymi, chwasty wyrastające przez szpary w asfalcie, ponure agencje bankowe. Recesja nie pomagała, ale na przykład ta niebieska płachta, którą załatano dziurę w ogrodzeniu parkingu starego sklepu z używanymi samochodami, wisiała tam od lat.

Brama cmentarna stała otworem. Callie zaczęła się wiercić, kiedy przez nią przejeżdżałam. Przespała większość podróży, na policzku, którym opierała się o drzwi, miała czerwony ślad. Przechyliła głowę i potrząsnęła nią, żeby odrzucić włosy, następnie energicznie poruszyła ramionami i rozciągnęła długie nogi. Niekiedy zapierało mi dech w piersi, gdy na nią patrzyłam: pod niektórymi względami bardzo przypominała swoją matkę i często powieliała jej gesty. Cieszyłam się, że jest ze mną, nie chciałam być dziś sama.

– Dobrze, Cal, teraz damy mamie kwiaty – obwieściłam.

Krzew przywiadł podczas podróży w bagażniku, białe płatki opadły na podłogę. Callie wybrała go poprzedniego dnia. Powiedziałam, że może wybrać, co tylko zechce. Zniknęła we wnętrzu sklepu ogrodniczego, a ja napełniłam torbę bulwami hiacyntów. Potem przeszukałam alejki i wreszcie odnalazłam ją przycupniętą obok róż. „Róże to świetny pomysł”, pochwaliłam. Dopiero po chwili zwróciłam uwagę na kolor, który wybrała. Głęboki odcień fioletości wpadający w brąz, prawie czarny. Były okropne, kojarzyły się ze śmiercią. „Myślisz, że spodobałyby się jej takie?”, zapytałam ostrożnie. Callie ściągnęła usta. „Jej jest już wszystko jedno”. Wyglądała, jakby powstrzymywała się od uśmiechu. Najwyraźniej stroiła sobie żarty ze mnie albo

z Joyce. Tak czy inaczej, był to brak szacunku. Zreflektowała się i próbowała zatuszować złe wrażenie. Podeszła do białych róż i popatrzyła pytająco, a ja zaaprobowałam wybór. Dopiero teraz, kiedy niosłam w ramionach rozłożystą roślinę, zdałam sobie sprawę, że administracja cmentarza może się nie zgodzić na posadzenie krzewu tej wielkości.

Callie niosła łopatę, pozwalając, by obijała jej łydkę. Joyce została pochowana na największym cmentarzu w Cansdown, gdzie bogaci spoczywali obok biednych, mieszkańcy północy obok mieszkańców południa. Jej matka, która zmarła na udar niecały rok po swojej córce, też miała tutaj grób. I Autumn Sanger – odwiedziłam ją kiedyś. Przechodząc obok nagrobka Autumn, wspominałam moment, gdy dowiedziałam się o jej śmierci.

Od jej zniknięcia minęło kilkanaście dni. Joyce i ja ponawiałyśmy próby nawiązania kontaktu. „Autumn” – szeptałyśmy do trawy, nasłuchiwałyśmy jej głosu w syku spryskiwaczy. Gdyby tylko zechciała nam powiedzieć, w czyjej jest piwnicy – mogłybyśmy tam pójść i ją uratować. Ciotka Bea wyszła do nas na podwórko. Skrzyżowała ręce na piersi i oznajmiła: „Znaleźli ją. Utopiła się. Dziś rano wypłynęła w dokach”.

Przyspieszyłam, żeby dogonić Callie. Postawiłam różany krzew u stóp nagrobka Joyce. Kamienie rozmazywały mi się przed oczami w pełnym słońcu, więc zamrugałam szybko. Callie zaczęła kopać dołek u góry po prawej stronie pomnika. Nie uzgodniła ze mną miejsca, po prostu zabrała się do pracy. Wyjęłam plik swoich listów i patrzyłam, jak podważa ziemię łopatą. Spocone włosy przylegały jej do szyi, wyglądała, jakby było jej niewygodnie w zbyt dużej koszulce.

– Pozwól mi się wyręczyć – zaproponowałam, ale nie zareagowała, zajęta odrzucaniem ziemi. Robiła to dość szybko. Przyklękłam obok kamienia, trzymając w ręku nasze listy do Joyce. Wyjęłam spod niego plastikową teczkę. Wtedy dostrzegłam czerwony atrament. – Co, u licha?

Czerwone słowa na kartce w różową linię: *Twoja córka krzywdzi ludzi. Wylała farbę i wysłała zdjęcie. Callie zasługuje na śmierć. Powinna umrzeć, tak jak Ty.*

Gdybym nie była tak oszołomiona, schowałabym kartkę, ale nie zdążyłam pomyśleć. Zapomniałam już o Robyn Doblak.

Callie przerwała kopanie, słysząc, jak ze świstem wciągam powietrze. Purpurowe, nachylone w lewą stronę słowa wyglądały złowieszczo. Upuściłam papier na ziemię, jakby był skażony węglikiem, ale potem próbowałam go podnieść, widząc, że Callie też wyciąga rękę.

– Cal! – zawołałam, lecz było już za późno.

Stała nieruchomo jak posąg w pełnym słońcu. Była blada i pokryta grubą warstwą

kurzu. Wyrwałam jej list, a ona się zatoczyła. Nie krzyknęła, po prostu opadła na ziemię. Potem usiadła z podniesionymi kolanami i przewiesiła przez nie nadgarstki.

– Opuść głowę między nogi – pouczyłam, przypominając sobie własne omdlenia. Opuściła głowę, a ja gładziłam ją po plecach. – Zgłoszę to na policję – oznajmiłam. – Nie pozwolę, żeby była bezkarna. Oddychaj. Oddychaj powoli, skarbie.

Odezwała się, nie podnosząc głowy.

– Mówiłam ci, że jestem chora. Nie powinno mnie tu w ogóle być.

Moje palce ześlizgiwały się z mokrych włosów Callie. Jej plecy unosiły się i opadały przy każdym oddechu. Wiadomość, że ktoś nienawidzi człowieka do tego stopnia, żeby mu grozić, żeby odszukać grób jego matki, musi być szokiem.

– Przepraszam – powiedziałam. – Nie rozumiem, co się dzieje.

– Nie chciałyby, żebym przyjeżdżała, kiedy źle się czuję!

– Callie, czy Robyn zrobiła już kiedyś coś podobnego? – Z głową między kolanami przypominała małe dziecko bawiące się w chowanego. Jakby liczyła do stu i czekała, aż się schowam. Pokręciła głową, nie pokazując twarzy. – Nie kontaktowała się z tobą aż do tej chwili?

– Nie.

– Zawiozę cię do domu. Dasz radę wstać?

– A róże? – mruknęła niewyraźnie.

– Nieważne. – Zerknęłam na krzak.

– Nie – powiedziała słabo. – To nie w porządku.

Wsunęłam wiadomość do kieszeni i podniosłam łopatę. Kopiając, wyobrażałam sobie Robyn w tym miejscu, plującą na grób Joyce. Odrzuciłam ziemię. Jakie dziecko robi coś takiego? Coś jej *zrobię*, jeśli tknie Callie choćby palcem. Przyspieszyłam pracę, a po chwili przyłożyłam korzeń do dołka. Nie zmieścił się i musiałam kopać dalej. Spociłam się z wysiłku. Callie nadal trzymała głowę między nogami. **JEDŹCIE DO DOMU!**, krzyknęłyby Joyce, gdyby nas teraz widziała. Chyba nawet nie lubiła róż. Zaczynały mnie piec ręce. Po raz kolejny spróbowałam włożyć krzew w ziemię, tym razem się udało. Popatrzyłam na swoje dzieło: gałęzie wyglądały niechlujnie i były za cienkie, a kwiaty brudne. Po prostu wyrwij, pomyślałam, ale nie mogłam tego zrobić przy Callie. Musiałam ją zawieźć do domu. Nie było czasu na zasadzenie hiacyntów.

Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak #5
Dla Rebekki/Od Callie

Rozmowa na czacie z dnia 29 grudnia 2008, 12:45:52

12:36:21

LithoCALpus: Robyn? Żyjesz?


12:36:40

robynroarxo: #nigdyniewyjdeżłóżka

12:37:10

LithoCALpus: OK, jaki masz plan?!!!!! Zapuścisz dredy i zostaniesz pustelnicą?

12:38:09

robynroarxo: Czuję się  bleeee

12:38:33

LithoCALpus: Blee? DLACZEGO?

12:38:54

robynroarxo: Całe moje ciało krzyczy nieeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee!

12:39:16

LithoCALpus: Możesz wstać na 5 minut? Mogłoby pomóc.

12:40:12

LithoCALpus: Zjedz trochę płatków i pooglądaj kreskówki. Pomyśl nad nowymi sposobami

zabicia Świętego Mikołaja!



12:40:33

robynroarxo: Nie chodzi o święta.

12:41:06

robynroarxo: Po prostu chcę, żeby wszystko się już skończyło.



12:41:29

LithoCALpus: Robyn, czy Ty coś zrobiłaś?

12:41:35

robynroarxo: ??????

12:41:45

LithoCALpus: ((sobie krzywdę))

12:41:51

robynroarxo: obchodzi Cię to w ogóle?

12:41:58

LithoCALpus: Ma się rozumieć, że tak!!!

12:42:09

robynroarxo: Nie . . . nic.

12:42:15

LithoCALpus: I tak trzymaj!!!

12:42:27

robynroarxo: OK. Zapomnij o tym.

12:42:40

LithoCALpus: OMG!!! Zapomnieć?!!!!!!!

12:42:50

robynroarxo: Nic sobie nie zrobię.

12:43:07

LithoCALpus: Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

12:43:53

robynroarxo: Przysięgam na swoje życie.

12:44:18

LithoCALpus: Przysięgnij na życie pani Barańskiej.

12:44:32

robynroarxo: Przysięgam na życie pani Barańskiej.

12:44:40

LithoCALpus: Teraz musisz wyjść z łóżka.

12:44:45

robynroarxo: Już niedługo.

12:45:22

LithoCALpus: TERAZ ROBYN NIE ŻARTUJĘ.

12:45:36

robynroarxo: Co za różnica?

12:45:43

LithoCALpus: W TEJ CHWILI

12:45:52

LithoCALpus: Nie zmuszaj mnie, żebym tam pojechała!!!!

12:46:13

robynroarxo: 😊😊😊

12:46:45

LithoCALpus: Bo Cię poszczuję nawiedzonym psem. 😈

12:47:10

robynroarxo: 🤫 Hej – nie mów nikomu o moim tacie.

12:47:24

LithoCALpus: Wiem. Nie powiem.

12:47:35

LithoCALpus: JEŚLI WSTANIESZ!!!!

12:47:53

robynroarxo: OK, dobra. Wstałam.

12:48:26

LithoCALpus: Serio? Udowodnij.

12:48:55

robynroarxo: Wkładam skarpetki.

12:49:11

LithoCALpus: Widzisz, to nie takie trudne. Po prostu nie myśl tyle.

12:49:19

robynroarxo: To Twój sposób?

12:49:38

LithoCALpus: Tak, o niczym nie myślę. 😎

6

Ma pani jakieś SMS-y, e-maile lub wiadomości telefoniczne od tej dziewczyny? – zapytał detektyw Serrano, unosząc końcem długopisu krawędź kartki.

Westchnął, kiedy pokręciłam głową. Zapisywał bez przekonania moją relację z incydentu z farbą.

– To oczywista groźba – upierałam się. – Nie mógł jej napisać nikt inny.

– O jakim zdjęciu pisze? Pani córka coś wysyłała?

– Słucham?

– Wylała farbę i wysłała zdjęcie – przeczytał.

– Zmyśla, Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze wymyśliła. Callie nic nie zrobiła, ale Robyn za nic w świecie się do tego nie przyzna. Za wszelką cenę próbuje znaleźć winnego.

– Cóż, nie dostanie pani zakazu zbliżania się bez żadnego dowodu. Proszę rejestrować wszystko, co się da. Każdy kontakt. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto dzieciaki tylko się straszą nawzajem.

Pojechałam do domu, przekonując sama siebie, że ma rację. Groźby Robyn były bez pokrycia, wygłupiała się tylko. Nastolatki są pełne sprzeczności. Ten ich głód dramatyizmu, przekonanie o własnej wyjątkowości, brak świadomości konsekwencji. Joyce i ja byłyśmy takie same w dniu pogrzebu Autumn.

Nie pozwolono nam pójść, ale obserwowaliśmy przygotowania Curtisa. Wyszedł z domu przed czasem, miał na sobie granatowy blezer i pachniał mydłem. Wydawał mi się starszy niż zwykle, wyprostowany, z podniesioną głową, wybierał się w podróż w obszary dla mnie niedostępne. Wyobrażałam sobie żalobę jako wielką, białą salę z powiewającymi zasłonami, w której ludzie walczą z bólem, zaciskając zęby.

Pobiegłam po gazetę z nowym zdjęciem Autumn, ponieważ Joyce jeszcze go nie widziała. Autumn miała na nim podwiniętą grzywkę, zmrużone oczy i wydęte usta. Miało się wrażenie, że lada chwila wybuchnie śmiechem.

– Ładna – stwierdziła Joyce. – Podoba mi się jej makijaż. Mogłybyśmy spróbować też tak pomalować oczy.

Poszłyśmy do łazienki. Wyjęłam kredkę do oczu z zielonej kosmetyczki ciotki Bei. Joyce usiadła na toalecie, a ja malowałam czarne kreski wokół jej jasnych rzęs. Jedną ręką dotykałam jej skroni. Widziałam pory na jej twarzy i cienkie włoski na brodzie.

Delikatnie przesuwalam kredke w te i z powrotem, a kiedy spojrzalam z bliska w oczy Joyce, zauwazyłam, ze mienia sie roznymi kolorami. Zolte i orzechowe plamki na tle szarości i niebieskiego.

– Twoje oczy wygladaja jak jeziora w Afryce – powiedzialam. Woda, ziemia, slonce i kamienie.

– Co to znaczy? – rozesmiala sie.

– Nie wiem – zachichotalam i odwrócilam wzrok.

Wziewla ode mnie kredke i zajela sie moja twarza. Kiedy skonczyła, pochylylismy sie nad zlewem, zeby dokladnie obejrzeć efekt w lustrze. Był piorunujacy, ale nie krzywilysmy sie na widok naszych odbic. Oczy wygladaly jak zrobione ze szkła. Czarny kolor podkreślal bladość skóry. Wydymalymy usta i mruzylysmy oczy, nie przypominaly smie. Moglysmy uchodzic za przyjaciółki Autumn, placzace w pokoju z zaslonami. Moglysmy zaginac tak jak ona.

Bylysmy same w domu, wiec nie musialymy sie hamowac. Poszlysmy do ogrodu po stokrotki dla Autumn. Chodilysmy w zwolnionym tempie, ze smutno zwieszonymi glowami, pragnac poczuć jej tragedie. Bylysmy glodne przezyć i uczuć. Joyce upadla na kolana w cieniu, ja przystanalam obok.

– A jesli byla zakochana? – odezwala sie do mnie dziwnym glosem. Popatrzyłam na blyszczaca w sloncu siatke. Nie bylo slychac nic poza przejezdzajacymi samochodami, cykadami i warkotem kosiarki w oddali. – Moze zrobila to z powodu nieszczesliwej miłości. Byla zakochana w Curtisie, a nie mogla go miec. I weszla do morza. – Spojrzalam na Joyce i zadrzalam mimo upalu. Jej oczy sie zmienily. – Ja bede Autumn, a ty Lare – zadecydowala.

Brodzila w trawie jak w wodzie. Stracila rownowage, walczac z wirem. Gdy odwrócila sie i pomachala do mnie, poczulam uderzenie zalu.

– Zaczekaj, nie odchodz! – krzyknelam, chwytajac sie za gardlo. Niemal slyszalam ryk fal i widzialam czarne, puste niebo.

– Kocham cie, na razie – zawolala przez ramie. Zarzucila rece w przod i w tyl, miotana falami, wierzgala nogami, walczac z silnym pradem. Wciaz trzymalam kwiaty i patrzyłam, jak tonie.

– Nie! – krzyknelam, lecz ona juz konala. Podbieglam i zaczalam nia potrzasc, rozsypujac wokol kwiaty. Przytulilam jej glowę do piersi i kołysalam.

– Autumn! Autumn! Obudz sie! Proszę!

Wydawalo mi sie to wtedy tak realne, ze zaczalam plakac. Ona umarla, zostalam sama. Calowalam ja po twarzy, gladzilam po wlosach, kladlam na niej kwiaty. Zaczalam sie jakac, nasladujac Lare – to nie byla swiadoma decyzja, lecz impuls, wpływ emocji.

– J-j-jak moglas? – czkalam zalosnie. – Ch-ch-chcialam cie u-uratowac!

Nie otworzyła oczu, ale i ona plakala. Umarla. Wszystko sie skonczylo.

Piętnastoletnia dziewczyna. Nasza rozpacz była potężna i zaraźliwa. Chwyciłam się za gardło – hiacyntowa dziewczyna na zawsze straciła głos, już nigdy nie przemówi.

Nie zauważyłyśmy, że jesteśmy obserwowane. Wszyscy mieli być na pogrzebie, ale nagle usłyszałam za plecami hałas i zobaczyłam ich. Stali ramie przy ramieniu.

– Wredne dziewczuchy! – wrzasnęła Lara.

Joyce usiadła i wytarła rozmazane oczy. Lara krzyczała, żebyśmy wstały.

Przestałam ckać, skurczyłam się w sobie, chciałam być małeńka i lekka jak nasionko dmuchawca, chciałam stamtąd odlecieć.

– To nie zabawa – skarcił nas Curtis. – Wstańcie!

Puścił Larę, którą wcześniej przytrzymał, jakby obawiał się, że coś nam zrobi.

– Zwierzęta – syknęła z pogardą. Tego dnia głos jej nie zawiódł, był wyraźny i pełen nienawiści. Odwróciła się i odeszła. Nie miałyśmy czasu się wytłumaczyć, wyjaśnić jej, jak prawdziwe były nasze lzy. Chciałyśmy, żeby wiedziała, że nie naśmiewałyśmy się z niej – po prostu pragnęłyśmy być na jej miejscu. Patrzyłyśmy, jak odchodzi, rude włosy połyskiwały w słońcu. Było już za późno. Wyimaginowana strata stała się realna.

Curtis popatrzył na Joyce i jego wzrok złagodniał.

– Nie do twarzy ci w tym makijażu – stwierdził. – Powinnaś go zmyć.

Wciąż siedziałam na trawie. Było mi gorąco i bolały mnie ścięgna. Czułam się, tak jakbym cała była zrobiona z ciężkiego jak ołów wstydu. Przytrzymałam się Joyce. Nigdy więcej nie bawiłyśmy się w hiacyntowe dziewczyny. Tamtego dnia przestałam być porządnym człowiekiem.

– Miałaś dziś absolutną rację – powiedziałam. – Przepraszam, że zabrałam cię na cmentarz w takim stanie. – Siedziała na łóżku, wsparta o poduszki, i popijała napój imbirowy. Zza zaciągniętych zasłon dobiegały odgłosy sobotniego popołudnia. Szczekanie psa. Brzęk naczyń w czyjejs kuchni. Byłam pewna, że Callie jest zdrowa jak ryba, ale zasługiwała na odrobinę miłości. – Czasem nie potrafię się zachować. Zwracaj mi uwagę, dobrze?

Odstawiła szklanę.

– Nie słuchasz.

– Wtedy mów: „Obudź się! Ziemia do Rebekki!”. I zacznę słuchać. Zgoda?

– Nie powiem tak do ciebie.

– To może jakieś specjalne hasło? Na przykład banan. Za każdym razem, kiedy przestanę słuchać, zawołaj: Banan! – Przewróciła oczami i poprawiła się na łóżku, cienki koc zaszeleścił. Zaczęłam przedrzeźniać detektywa Serrano w nadziei, że zdołam ją rozweselić. Nie chciałam, żeby się martwiła. Wysunęłam dolną wargę, robiąc ważną minę, i udałam, że poleruję wyimaginowaną odznakę. Mówiłam grubym

głosem: – Aha, i zapytał mnie o zdjęcie. Wiesz, bo w liście było napisane, że wysłałaś zdjęcie.

– Nic jej nie wysyłałam. – Callie spoważniała.

– A może chodziło o jej zdjęcie wysłane komuś innemu?

– Nie, wykluczone. Banan, Rebecca, banan.

– Wiedziałam – zapewniłam. – Czy tę notkę mógł napisać ktokolwiek inny?

– Nie wiem. – Potarła usta.

– Ja widzę to tak: Robyn nadal za wszelką cenę usiłuje pozować na ofiarę. Może nawet zdołała przekonać samą siebie, że nią jest. Chce przerzucić winę na ciebie, żeby sama być czysta. Nie powinnaś się czuć winna. – Callie delikatnie pokiwała głową. Błada księżniczka w łóżku. – Nie chcę być wredna – ciągnęłam – ale powiem wprost. Nie zdziwiłabym się, gdyby dzieciaki w szkole dokuczały Robyn, ponieważ wyczuły, że coś z nią nie tak. Mogła roztaczać dziwną, złą energię. Ludzie podświadomie czują, gdy ktoś jest zdolny do takich rzeczy.

– Niektórzy są przekonani o swojej normalności, chociaż otoczenie widzi ich całkiem inaczej – dodała Callie.

– To nie jest łatwe dla takich osób – podsumowałam, widząc jej zasepioną minę. – Ale nie daję im prawa do krzywdzenia innych.

Źle spałam tamtej nocy. Oczy same mi się otwierały, a nie miałam ochoty gotować. Tamten miesiąc był miesiącem wszystkiego, co smażone w cieście. O trzeciej w nocy wyobraziłam sobie pustą, zimną autostradę pod czarnym, nocnym niebem i czerwono-białą komin tuż przed zjazdem na Cansdown. Chciałam jeszcze raz zajrzeć do plastikowej teczki. Pomyślałam, że mogłam coś przegapić. Poza tym niepokoiłam się o wszystkie stare listy, które zostawiłyśmy dla Joyce. Robyn mogła je ukraść i przeczytać słowa Callie skierowane tylko do matki. Bóg jeden wie, jak wykorzystałaby zdobytą wiedzę. Najprawdopodobniej opublikowałaby wszystko w internecie.

O szóstej rano byłam już na cmentarzu. Widząc zamkniętą bramę, zaparkowałam na poboczu i ruszyłam wzdłuż niskiego muru z kamienia. Gdy znalazłam wyrwę, przeszłam przez gruz i trawę w kierunku nagrobka Joyce. Popatrzyłam na przywiedły różany krzew, zastanawiając się, czy Cerise Doblak miała jakiś udział w dostarczeniu listu. Jak Robyn się tu dostała?

Wsunęłam dłoń pod kamień w kształcie serca. Na kilku starych kopertach widniało imię Joyce napisane moim charakterem pisma, wszystkie inne były podpisane „Mama”. Nie kradnę listów Joyce, przekonywałam samą siebie. Zrozumiałaby bez zbędnych słów, że chronię jej córkę.

Przyklękałam na ziemi, tak bardzo chciałam się jeszcze raz z nią spotkać.

„Chodźmy stąd”, powiedziałabym, a ona by zapytała: „Delirio’s jeszcze istnieje?”.

Istniało. Poszłybyśmy sobie na naleśniki, jak gdyby nigdy nic. Nie musiałybyśmy nawet wiele mówić, Joyce zaczęłaby stukać paznokciami o plastikową kartę i rozmowa szybko zesłaby na jakiś głupi temat. Na przykład z czym najlepiej smakują naleśniki. Z prażonymi migdałami? Z truskawkami? Tylko nie banany! Bitą śmietaną? Wiem, co zamówiłaby Joyce – trzy naleśniki na maślanecy i sok pomarańczowy. Przemilczałybyśmy udar jej matki, depresję ojca i wynikającą z niej decyzję o powierzeniu mi opieki nad Callie. Kelnerka przyniosłaby nasze zamówienie, Joyce polałaby swoje naleśniki syropem klonowym i wzięła do ust pierwszy kęs, a ja obserwowałabym ją zachłannie. Joyce z jej małym, brązowym znamieniem.

Nie zauważyłam momentu otwarcia bramy. Zorientowałam się, że nie jestem już sama, dopiero kiedy na poboczu pobliskiej ścieżki stanęła zielona ciężarówka. Wstałam, otrzepując kolana. Kierowca wysiadł z samochodu i zaczął mnie obserwować. Po chwili ruszył truchtem w moją stronę. Nie powinno mnie tu być. Ścisnęłam klucze, gotowa go nimi dźgnąć w razie konieczności. Będę musiała się bronić, niemogę dopuścić, żeby to się stało w tym miejscu. Przystanął gwałtownie w odległości kilku metrów. Nie jest duży, jeśli dobrze wymierzę pierwszy cios, raczej zdołam uciec.

– Wszystko w porządku? – zapytał chrapliwym głosem. Zmierzyłam go uważnym spojrzeniem. Niezbyt wysoki, średniej budowy, mężczyzna przed trzydziestką w niebieskiej czapce z daszkiem i rozpinanej bluzie. Miał jasnobrązowe włosy i lekki zarost.

– Ta-ak. – Zauważył kluczyki i cofnął się nieco. Ponownie zerknęłam na ciężarówkę i zdałam sobie sprawę z oczywistości sytuacji. On tu pracował, a ja weszłam bezprawnie na teren zamkniętego cmentarza i okradałam grób. W lewej ręce wciąż ścisnęłam listy do Joyce. – Chciałam tylko coś zostawić przyjaciółce – powiedziałam czym prędzej. – Wszystko jest jak najbardziej w porządku.

Popatrzył na listy – poźółkłe ze starości – i miałam wrażenie, że za chwilę wybuchnie śmiechem. Z płonącymi policzkami schowałam koperty pod kamień.

– Nie ma sprawy.

Zawrócił do swojego samochodu. Wjechał w zalesioną część cmentarza, a ja odprowadziłam go wzrokiem. Potem włożyłam listy do torebki. Powinnam była po prostu powiedzieć mu prawdę o prześladowczyni Callie. Może mógłby nam pomóc i od czasu do czasu zerknąć, czy Robyn nie kręci się gdzieś w pobliżu grobu Joyce. Ruszyłam za nim, bo nagle zapragnęłam wyjaśnić mu sytuację. Po krótkim spacerze między drzewami dotarłam do kamiennego budynku. Obok wielkiego garażu stała zaparkowana ciężarówka. Nacisnęłam dzwonek. Otworzył drzwi, oparł się o nie swobodnie i popatrzył na mnie zaspanymi, szarymi oczami.

– Hej.

– Cześć.

Czekał, a ja nie mogłam wydobyć z siebie nic więcej. Nie wiedziałam, od czego zacząć. Miałam w torebce zrabowane z grobu listy.

– Ja... chciałam wyjaśnić...

Przygryzłam dolną wargę i spuściłam wzrok. Gdybym tylko potrafiła znaleźć właściwe słowa, wszystko stałoby się jasne, ale umysł odmówił mi posłuszeństwa. Dopadła mnie potworna trema, chciałam uciec do samochodu.

Wtedy on zapytał:

– Napijesz się kawy?

Zaprowadził mnie do niewielkiego gabinetu ze starym metalowym biurkiem i pasującą do niego szafką na dokumenty. Usiadłam na skrzypiącym, obrotowym krześle, które mi wskazał, i obserwowałam jego krzątanie. Napełnił wodą czajnik elektryczny, przez chwilę szukał łyżeczki, wsypał do kubków kawę rozpuszczalną. Było w nim coś, co kojarzyło mi się z chłopakami ze studiów, którzy grali w zośkę. Miał zdecydowane ruchy kogoś, kto potrafi rozstawić namiot w lesie i rozpaść ognisko. Nawet milcząca kobieta rabująca groby nie wytrąciła go z równowagi.

Usiłowałam się odprężyć. Może okaże więcej sympatii, jeżeli trochę z nim poplirtuję i nieco zbagatelizuję problem. Niezręcznie skrzyżowałam nogi i odchyliłam się na krześle.

Zalał kawę wrzątkiem i zaczął mówić, jakby wszystko było w porządku:

– Codziennie rano wypijam dwie kawy, w niedzielę trzy. Jedną w domu i jedną tutaj. Cukier, odrobina mleka. Podzielimy się po połowie, dobrze? – Uniósł pojedynczą porcję śmietanki. – Moja sześciolatka je uwielbia. Bardziej niż mleko. „Mogę ją dla ciebie skremować?”, pyta mnie zawsze, kiedy robię kawę. Dobrze, skremuj moją kawę. Nie rozumie, z czego się śmieję. Powiem jej, kiedy będzie starsza. Co człowiek może poradzić w takiej sytuacji?

Zamieszał kawę i rzucił mi spojrzenie przez ramię. Uśmiechnęłam się z przymusem, biorąc od niego kubek. Ścisnęłam gorące naczynie i odetchnęłam.

– Moja najlepsza przyjaciółka jest tu pochowana. – Patrzyłam na brązowy płyn. – Pomyślisz, że jestem wariatką, ale ktoś nas prześladowuje – mnie i jej córkę. Bałam się, że ta osoba ukradnie nasze listy. – Nie ruszył swojej kawy. Siedział z założonymi rękami, patrzył mi w oczy i słuchał. Zauważyłam, że nie nosi obrączki. – Nie spałam dziś przez całą noc, ponieważ wczoraj znalazłam coś na grobie. – Gdy opowiadałam mu o wiadomości od Robyn, czułam na sobie jego spokojny, cierpliwy wzrok. Pozwalał mi mówić w takim tempie, w jakim chciałam, nie poganiał pytaniami. Od dawna nie miałam się komu zwierzyć i chyba zalałam go zbyt wieloma informacjami o Joyce. Mówiłam, że odwiedzamy ją często i jakie to dla nas ważne. Zaciśnął usta, kiedy wspomniałam o wczorajszym omdleniu Callie. Pokręcił z niedowierzaniem głową nad okrucieństwem niektórych ludzi. – Już i tak zbyt wiele wycierpiała, straciła

oboje rodziców. Wyobrażasz sobie, jak musiała się poczuć, czytając, że powinna dołączyć do matki na tamtym świecie?

Zapytał, jak umarła Joyce. Powiedziałam mu prawdę, chociaż od lat okłamywałam Callie, twierdząc, że to był wypadek. Nie wiem, czemu wtajemniczyłam we wszystko osobę, której imienia nawet nie znałam. Na chwilę straciłam kontakt z rzeczywistością i znalazłam się w Nibylandii, byłam lekka jak piórko, mogłam pić kawę z nieznanymi i używać słów takich jak *morderstwo*.

– O cholera, ojciec też?

– Nie. – Dotknęłam swoich włosów. – Curtis popełnił samobójstwo.

Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak #6 Dla Rebekki/Od Callie

Pamiętasz, Rebecco, jak wtedy, w styczniu, powiedziałam Ci, że idę pisać referat o Sojourner Truth, i wyszłam do biblioteki z dużą torbą wypchaną szalikami? Kupiłam mały prezent dla Robyn. Nikt nie wiedział o naszym spotkaniu. Mądrze wybrałyśmy miejsce – nikt nigdy nie schodził do piwnicy w bibliotece. Tam na dole pachniało zakurzonymi kaloryferami, starym papierem i mortadela. Miałam lekcje łaciny w tej piwnicy, więc wiedziałam, że jest bezpieczna. Mimo to czułam lekki niepokój, schodząc na dół, jakbym przeczuwała coś złego. Spotkanie było moim pomysłem. Chciałam pocieszyć Robyn.

Siedziała w jednej z ostatnich ławek, nie zdjęła płaszcza ani czapki. Usiłowałam się podkraść od tyłu, ale usłyszała moje kroki i szybki oddech.

– Bu – powiedziałam, ostrożnie kładąc torbę na ławce. Robyn popatrzyła ponad moim ramieniem, jakby czekała na kogoś innego. Albo jakby sądziła, że ktoś ze mną przyszedł i chowa się za regałami.

– Nie byłam pewna, czy przyjdiesz.

– Dlaczego miałabym nie przyjść? – zdziwiłam się. – Przecież to ja prosiłam o spotkanie.

Wspierała głowę kciukami i dwoma palcami, patrzyła w dół, na ławkę. Przypominała zaspanego niedźwiedzia, który marzy o powrocie do swojej gawry.

– Więc...

– Ta.

– Zimno.

– Bardzo.

– Nadal się trzęsę.

– Ja też.

Usiadłam w ławce, nie zdejmując kurtki. Pomyślałam, że za cztery sekundy obie stamtąd wyjdziemy, zapomnimy o wszystkim, to będzie nasza ostatnia rozmowa. Wydawała się obca, gorzej niż obca, ponieważ tyle o sobie wiedziałyśmy, a na spotkaniu twarzą w twarz nie umiałyśmy pokonać zmieszania.

– To dla mnie? – wskazała torbę, którą przyniosłam.

Wiesz, jaka jest najsmutniejsza rzecz, którą kiedykolwiek słyszałam? Ta historia o tacie Robyn. Nawet nie chodzi o to, że zmarł na białaczkę, ale o jego plan z reinkarnacją. Wyobraź sobie, co by było, gdyby mu się udało. Wraca w ciele psa, ale ponieważ mama Robyn nie zgadza się na psa, kupuje go jakiś inny świr. Rozmyślałam o tym, kiedy pojechałam do

galerii z Dallas i Ellą. Tata Robyn, w przeciwieństwie do mojego, chciał być ze swoją córką. Weszłam do sklepu zoologicznego i przyglądałam się szczeniętom. Wiedziałam, że nie mogę żadnego kupić, nie miałam nawet przy sobie tyle pieniędzy. Już zamierzałam wyjść, kiedy moją uwagę przykuło akwarium pełne ruchomych skorup.

Robyn stała przy mnie, patrząc, jak odpakowuję plastikowy transporter. Owinęłam go mnóstwem szalików, dla ochrony przed mrozem. Ścisnęło mnie w dołku. Jak ja jej to miałam powiedzieć? Powinnam była wysłać jej wcześniej jakąś wiadomość, obrócić wszystko w żart. *Mam dla Ciebie kraba pustelnika, lol. To Twój Tatuś!* Zbyt głupie, żeby powiedzieć to komuś w oczy. Zajrzałam do pojemnika.

– Ekhem, tak, prezent.

Robyn zamrugnęła. Jej rzęsy przypominały błyszczące pajęczki. Zapukała w plastikową obudowę i krab schował szczypce.

– Mogłabyś go nazwać Tatuś. – Przełknęłam ślinę. – Wiesz, zamiast psa.

Brzęknął kaloryfer. Wyglądało na to, że Robyn się zastanawia. Wreszcie z uśmiechem otworzyła rękę. Wyjęłam z klatki zwierzątko w kredowobiałej skorupie.

– Tatuś – powtórzyła.

– Tak, jeśli chcesz.

Odgięłam jej palce i położyłam kraba, wyjaśniając, jak należy go trzymać. Zachichotała, kiedy wyciągnął zakrzywione odnóża. Poruszył czarnymi czóstkami, jakby zastanawiał się, gdzie jest. Usiadłyśmy na podłodze, Robyn pozwoliła mu przejść po dywanie. Zdjęła płaszcz i położyła się na brzuchu. Nasze wcześniejsze zmieszanie minęło bez śladu, budowałyśmy tor przeszkód dla kraba. Rozłożyłyśmy wszędzie książki, które Tatuś obchodził dookoła. Komentowałyśmy każdy jego ruch, bawiąc się w komentatorki sportowe. Czy zdoła tego dokonać? Czy mu się uda? Proszę państwa, przeszedł na drugą stronę! Hurra! Tatuś! Złoto dla Tatusia.

Byłyśmy szczerze rozbawione. Robyn zdjęła kozaki, a ja imitowałam głos Tatusia. Brzmiał jak głos Świętego Mikołaja.

– Czy byłaś w tym roku grzeczną dziewczynką, Robyn?

– O tak, Tatusiu.

– Nie sikasz do wanny?

– Nigdy!

Zaczęłyśmy się śmiać jak niedorozwinięte. W końcu odłożyłyśmy zmęczonego Tatusia do jego klatki, a same zaczęłyśmy biegać między regałami. Na górze ludzie oglądali i wybierali książki, pisali na komputerach, a my szalałyśmy na dole: skakałyśmy po stołach i krzesłach, robiłyśmy salta w powietrzu. W pewnym momencie Robyn położyła ręce na biodrach, jakby podziwiała swoje królestwo. Chwilę wcześniej włożyła mi na głowę swoją czapkę, czułam jej zapach. Wdrapałam się na ławkę obok niej, ktoś kazał nam być cicho, ale nie zwróciliśmy na niego uwagi. Robyn wsparła głowę na moim ramieniu. Przytuliła się do mnie jak do poduszki, chociaż moje ramię nie było wcale miękkie.

– Ała, kości! – zawołała.

Coś w nas wstąpiło i nie mogłyśmy pozwolić temu odejść. Włożyła moje buty, a ja przewiązałam ją w pasie swoim szalikiem. Prychałyśmy ze śmiechu, ponieważ postanowiłyśmy zostać w tej piwnicy na zawsze. Nosiłobyśmy ubrania z papieru, jadły klej drukarski i resztki kanapek spod regałów. Kto potrzebował słońca albo śniegu? Byłyśmy królowymi piwnicy. Oczy Robyn błyszczały z podniecenia. Zeskoczyła na dół, żeby zajrzeć do Tatusia.

– Jak się masz? Dobrze?

Wyjęła go z klatki i pozwoliła pochodzić po swoim ramieniu.

– Robyn – przemówiłam w jego imieniu. – Już nie musisz za mną tęsknić.

Natychmiast pożałowałam swoich słów, nie chciałam doprowadzić Robyn do płaczu. Nie patrzyła na mnie. Dotknęłam jej ramienia.

– Ty za swoim nie tęsknisz? – spytała.

Potrząsnęłam przecząco głową, a potem powiedziałam coś, o czym już niemal zapomniałam:

– Kiedy byłam mała, szkolny autobus codziennie przejeżdżał obok cmentarza i wszystkie dzieciaki wstrzymywały oddech, żeby zmarli po nich nie przyszli. Jeśli kichnąłś i nikt nie powiedział „Na zdrowie”, zmarły miał przyjść po twoją duszę. Zbierałam odwagę, by to zrobić, bo chciałam spotkać tatę. Na początku kichałam cichutko, żeby nikt nie słyszał. Potem coraz głośniej. Ale nikt nie przychodził. – Odgarnęłam włosy z twarzy. – Dobrze, że nie zadziało. W ogóle go nie znałam.

Robyn patrzyła na mnie ze smutkiem. Jej oczy przypominały roztopioną czekoladę. Wolałam wrócić do wcześniejszych wygłupów, niż rozmawiać na takie poważne tematy. Próbowałam się wygłupiać, udawałam, że Tatuś puścił bąka. Potem zastanawiałam się głośno, jakie to uczucie, żyć zamkniętym w skorupie. Żartowałam, ale Robyn potraktowała poważnie moje pytanie. Usiadła za mną bez słowa, oplotła ramionami i oparła brodę na moim ramieniu. Nasze twarze były tuż obok siebie, nie odepchnęłam jej jednak.

– Takie – powiedziała i ścisnęła mocniej.

7

Śniła mi się Autumn – oświadczyła Callie zaspanym, dziecinnym głosem.

Kiedy wróciłam z cmentarza, leżała w łóżku w pozycji embrionalnej.

– Słucham?

– Widziałam, jak ją zabijali. – Położyłam rękę na jej czole – było ciepłe, ale nie gorące. Zauważyłam, że ma zaropiałe oczy. – Spotkała się z nimi na plaży. Utopili ją i upozorowali samobójstwo. Albo wypadek, wszystko jedno. To oni zabrali jej rzeczy.

Co ona wygaduje? Jeszcze się nie obudziła?, pomyślałam. Miałam świeżo w pamięci wydarzenia z poprzedniego dnia.

– Boisz się, że Robyn zrobi ci krzywdę? – Ściągnęła usta i pokręciła głową: Nie o to chodzi! Uznałam ponowne przywołanie dramatu z przeszłości za nieprzypadkowe. – Nie bój się. Chcesz mi coś powiedzieć?

– Myślę, że miała kłopoty w szkole. Dzieciaki jej dokuczały, a potem ją zabiły.

Przed moimi oczami pojawił się obraz dziewczyny ubrudzonej czerwoną farbą. „Sterczące Sutki!”, krzyczała klasa. „Sterczące Sutki!”.

– Mówisz o...

– Autumn. – Callie ze złością uderzyła ręką w ścianę. – Próbuję sobie przypomnieć.

Wpatrywałam się w miejsce, gdzie przed chwilą była jej ręka. Nie został żaden ślad. Ten wybuch złości był do niej zupełnie niepodobny.

– Kochanie, to niezdrowe. Przestań myśleć o Autumn. Czy mówisz o niej, ponieważ uważasz, że Robyn jest niebezpieczna?

Przewróciła oczami w doskonałym wyrazie lekceważenia.

– Każdy może być niebezpieczny. Nie sposób tego stwierdzić na pierwszy rzut oka. Ludzie są jak pitbulle.

Zacząłam zadawać bardziej szczegółowe pytania, ale niewiele się dowiedziałam.

– Czego mogła szukać na grobie mamy?

– Nie mam pojęcia.

– Skąd wiedziała, gdzie jest pochowana?

– Nie wiem!

– Często z nią rozmawiałaś w szkole?

– Prawie nigdy.

– Myślisz, że Dallas mogła mieć rację, podejrzewając, że się w tobie zakochała?

Callie skrzywiła się, jak zawsze, kiedy ktoś mówił o miłości.

– Chyba po prostu chciała mi zaimponować.

Sprawiała wrażenie zmęczonej odgadywaniem i tłumaczeniem powodów zachowania Robyn. Wypytywałam ją, tak jakbym jej nie ufała. Robyn osiągnęła swój cel. Zdałam sobie sprawę, że jest bardzo inteligentna. Wystarczająco przebiegła i zuchwała, żeby wprowadzić w błąd dyrektorkę szkoły. List, który zostawiła na nagrobku Joyce, zasiał we mnie wątpliwość co do prawdomówności Callie. Niebezpieczna czy nie, musiałam na nią uważać. Dzisiejszy sen o morderstwie i zaginionej dziewczynie świadczył o tym, że zaczyna się bać. Powiedziałam jej o spotkaniu z pracownikiem cmentarza, który obiecał pilnować grobu Joyce, i o tym, że zabrałam listy.

– Dlaczego? – Podskoczyła na łóżku. – To prywatna korespondencja!

– Wiem. Właśnie dlatego je zabrałam. Żeby nie mogła ich przeczytać, gdyby tam wróciła.

Pokręciła głową. Zdałam sobie sprawę, że popełniłam błąd. Nie powinnam jej była mówić. Chciała, żeby listy zostały przy mamie.

– Co z nimi teraz zrobisz? Wyrzucisz?

– Nie, kochanie. Są w schowku w samochodzie.

Callie opadła z powrotem na poduszki.

– Źle się czuję.

Pozwoliłam jej nie pójść do szkoły w poniedziałek. Nie wierzyłam w chorobę, ale uznałam, że po tak silnych przeżyciach lepiej, żeby została w domu. Tutaj była bezpieczniejsza. Postanowiłam trochę ją porzpieszczać, spróbować podnieść na duchu. Zatelefonowałam do mamy i powiedziałam jej o liście od Robyn. Była wstrząśnięta i oburzona.

– Straszne. Ta dziewczyna musi być szalona. – Wspomniałam też, że Callie bardzo się zdenerwowała na wieść o tym, że zabrałam jej listy do Joyce. – Co ona ukrywa? – zapytała podejrzliwie swoim wysokim, szorstkim głosem. – Na twoim miejscu przeczytałabym te listy. – Moja matka zawsze była nieco paranoiczna. Wiecznie dopatrywała się we wszystkim ukrytych motywów. Jeśli mężczyzna daje ci kwiaty, to znaczy, że zdradza. Twierdzi, że zgubił portfel? Na pewno hazardzista. Listy Callie do Joyce – zapewne wzruszająco szczere, pełne bólu i smutne – były jej prywatną sprawą, miała do tego prawo. Nie chciałabym, aby ktokolwiek czytał moje słowa do Joyce. – Ja zawsze czytałam twoje pamiętniki – oznajmiła chłodno mama.

– Nieprawda.

– Owszem, prawda. Skąd miałabym wiedzieć o twoich miłośkach? – rzuciła z pełnym triumfu rozbawieniem. Miałam ochotę odłożyć słuchawkę. Dławiła się ze

śmiechu na samo wspomnienie tego, że szpiegowała zakochaną nastolatkę. – Znałam kiedyś jedną babkę – ciągnęła – której szesnastoletnia córka była piątkową uczennicą, nie sprawiała żadnych problemów. Pewnego dnia dziewczyna zostawiła włączony komputer z otwartą wiadomością. Okazało się, że dorabia sobie jako prostytutka.

– To scena z serialu, mamó. – Byłam zdegustowana. – Właśnie dlatego nic ci nie mówię.

– Dlatego musiałam czytać twój pamiętnik. Nigdy nie chcesz mi o niczym powiedzieć.

Na kolację przyrządziłam ulubione danie Callie: makaron z serem. Weszła do kuchni i zaczęła obrywać liście zwiędłych chryzantem, które stały na stole w wazonie. Wygłupiała się przy jedzeniu. Oblizła rękaw szlafroka ubrudzony serem.

– Mniam! – Poszłam po papierowe ręczniki. – Serowe włosy! – zakomunikowała, ssąc końcówki włosów. – Wzięła ode mnie papierowy ręcznik, wytarła rękaw i oblizwała papier. – Mmm, pyszny serek.

Popatrzyła na mnie i zachichotała. Pewnie powinnam się zirytować, ale jej śmiech był zaraźliwy. Wypiła łyk wody, a potem omal nie wypluła wszystkiego na stół. Odłożyłam widelec i popłakałam się ze śmiechu, śmiałyśmy się po raz pierwszy od czasu znalezienia listu od Robyn. Wygłupy świadczyły o tym, że Callie ma się lepiej. Kiedy chichot przechodził w westchnienie, patrzyła mi w oczy i prychała zachęcająco.

– Tak naprawdę nie byłaś chora, co?

Godzinę później zwymiotowała w łazience.

Zapisałam ją do lekarza na wtorek po pracy. Zaczynałam się martwić, chociaż wiedziałam, że to prawdopodobnie niegroźny wirus.

– To tylko grypa – powiedziała słabo. – Muszę trochę poleżeć.

Ja także potrzebowałam odpoczynku, ale nie mogłam się pozbyć obsesyjnych myśli o Cerise i Robyn Doblak. Były jeszcze Autumn, Lara i Joyce. Zastanawiałam się, czy opowiadanie o śmierci Joyce obcemu mężczyźnie na cmentarzu nie było błędem. Podał mi rękę, zanim wyszłam. „Danny”, przedstawił się.

Zarumieniłam się, dając mu swój numer telefonu. Obiecał, że zadzwoni i zda sprawozdanie z sytuacji. Czekałam z niecierpliwością, chciałam usłyszeć jego głos. Oczywiście nie był żadną przepustką. Chyba że na cmentarz. Albo do jeszcze mniejszego mieszkanka pachnącego smażonymi hamburgerami. Zganiłam się za snobizm. Skąd mogłam wiedzieć, jakie potrawy preferował Danny? Chyba posmakowałyby mu moje różności smażone w cieście – pracowałam nad nimi przez cały wrzesień. Ziemniaki były doskonałe: puszyste i chrupiące, w ogóle się nie rozpadały.

Wpadłam na pomysł, żeby zawieźć mu coś do pracy. Mogłabym powiedzieć, że przyjechałam odwiedzić Joyce i przy okazji chciałam mu podziękować. Tylko nic słodkiego, żadne tam ananasy czy pomarańcze. Raczej coś pikantnego. Zabrałam się do ubijania ciasta, wyobrażając sobie, jak wchodzę z nim do kamiennego budynku i powoli rozpinam kurtkę. Wiedziałam, że nie mogę mieć chłopaka, musiałam się skupić na Callie, ale fantazja trwała dalej. Zaczęłam go karmić. Otwierał usta i patrzył na mnie poważnie sennymi oczami. Muskał ustami moją dłoń.

Następnego dnia w poczekalni u lekarza zadzwonił mój telefon. Callie była u doktora Bishopa, a ja siedziałam, skubiąc nerwowo włosy na rękach. Po raz pierwszy weszła sama do gabinetu. Stwierdziła, że ma już czternaście lat i poradzi sobie beze mnie. Czułam się jak kucharz, któremu zabroniono wstępu do *jego* kuchni, wyobrażający sobie kipiące garnki. Wszystkimi siłami walczyłam z pokusą wtargnięcia do gabinetu. Oczywiście, że Callie sobie poradzi, ale może nie powie wszystkiego, co trzeba, jeśli lekarz nie zada właściwych pytań. Gdybym tam była, mogłabym coś dopowiedzieć. Pozostanie na miejscu wymagało silnej woli, Callie nie potrzebowała mojej pomocy.

– Czy to Rebecca? – usłyszałam w słuchawce męski głos. Uśmiechnęłam się. Nagle nabrałam werwy. Dzieci bawiły się na podłodze staroświeckimi liczydłami. – Mówi Danny. Spotkaliśmy się na cmentarzu – powiedział, jakbym mogła zapomnieć. – Nie chcę cię denerwować, ale...

– Nie przejmuj się, mów – zachęciłam. Nie wiem, co sobie myślałam – że zaprosi mnie na randkę? Że chciał tylko usłyszeć mój głos?

– Znalazłem coś, co ci się nie spodoba.

Zabrałam ze sobą na cmentarz gumowe rękawiczki i zamykane foliowe torebki. Najpierw jednak podrzuciłam Callie do domu. Zakończyłam rozmowę z Dannym, gdy wyszła z gabinetu. Śmiała się z czegoś, co powiedział lekarz.

– Nic mi nie będzie – szepnęła.

– Wirusowe zakażenie przewodu pokarmowego – wyjaśnił doktor Bishop.

Nie wymiotowała tego dnia, więc następnego mogła wrócić do szkoły. Powiedziałam jej, że mam coś do załatwienia i niedługo wrócę, po czym popędziłam do Cansdown.

Danny czekał już na mnie. Po południu, kiedy oglądał grób Joyce, znalazł pod kamieniem list. Czerwone litery niemal przebijały papier, Robyn musiała mocno przyciskać długopis.

Na tej pieprzonej planecie nie ma ani jednej osoby, która by mnie rozumiała. Nikomu na mnie nie zależy. Może nie powinno mnie tu być? Może każdy widzi, że

jestem jakimś nieporozumieniem? Codziennie słyszę, jak się ze mnie śmieją. Wszyscy wiemy, że powinnam nie żyć. Jestem głównianą pomyłką i trzeba mnie wymazać – czekam na to. Chcę spojrzeć w górę i zobaczyć nad sobą ZIEMIĘ!

Danny przechylił głowę i patrzył na mnie spod daszka czapki. Miał plamy potu pod pachami, jego ciało promieniowało ciepłem. Do twarzy napłynęła mi krew, jakby ktoś nacisnął spust.

– Krążą plotki, że zakochała się w Callie – powiedziałam.

– Nawet jej tu nie widziałem.

– Desperacko próbuje zwrócić na siebie uwagę.

Danny podszedł, żeby zerknąć na list ponad moim ramieniem.

– Brzmi... autentycznie.

– Wiem. Postarała się, aby tak było.

– Może to wołanie o pomoc?

– Raczej próbuje wzbudzić w Callie poczucie winy. To manipulantka. Kto wie, co naprawdę czuje?

Cofnął się o krok. Pięknie. Wyszłam na nieczułą sukę, lekceważącą dziecko z myślami samobójczymi.

– Na wszelki wypadek trzeba to potraktować poważnie. Dzieciaki robią różne głupoty pod wpływem impulsu.

Zastanawiałam się, czy Robyn wie o ojcu Callie. Jeśli tak, była podwójnie okrutna. Uderzała tam, gdzie najbardziej zabol.

– Zadzwońię do jej matki – powiedziałam, kładąc mu rękę na ramieniu. – Powiem, że się martwimy. Chociaż odnoszę nieodparte wrażenie, że Robyn sobie z nami pogrywa. To część jakiejś gry.

Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak #7 Dla Rebekki/Od Callie

To było jak symbioza, nie umiem tego inaczej wyjaśnić. Uczyliśmy się na biologii o drobnoustrojach, które żyją na ludzkim ciele. Jest ich ze sto trylionów – na rękach, skórze, w ustach i żołądku – nosimy wszystkie te ukryte istnienia. Potrzebują nas, żeby przetrwać, a my potrzebujemy ich, chociaż nawet ich nie widzimy, nikt nie wie, że tam są. Podobnie było ze mną i z Robyn. Wcale nie zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać po powrocie do szkoły w styczniu. Nie siadałyśmy razem przy stoliku w kantine, nie czekałyśmy na siebie pod klasami. Robyn trzymała się swojej grupy, ja swojej. Czasem patrzyłyśmy sobie w oczy i wymieniałyśmy przelotne uśmiechy.

Wieczorami nadal opowiadałyśmy sobie o rzeczach, o których nikt inny nie wiedział. O jej tacie i mojej mamie. O planach na przyszłość. Ja chciałam zostać ekolożką, a Robyn słynną blogerką. Miałyśmy wynająć razem mieszkanie i przygarnąć mnóstwo psów, a na starość przenieść się do domu starców, gdzie siedziałybyśmy obok siebie na bujanych fotelach. Umarłybyśmy tego samego dnia.

Czat z 22 stycznia 2009, 15:16:21

15:06:41

robynroarxo: Nie mogę przestać dziś o tobie myśleć.




15:06:55

LithoCALpus: Ile razy?

15:07:28

robynroarxo: Chyba z 1000... kiedy zadzwonił budzik, kiedy odsuwałam żaluzje, kiedy patrzyłam w niebo, kiedy myłam zęby... calliecalliecallie

15:08:31

LithoCALpus:  Ja też o Tobie myślałam.

15:08:40

robynroarxo: ?

15:09:24

LithoCALpus: Śniłaś mi się wczoraj. Spałyśmy pod choinką, trzymałaś mnie za rękę, kiedy się obudziłam, moja dłoń była otwarta, jakbyś dopiero ją puściła.

15:13:18

robynroarxo: ❄️❄️ Nie puściłabym.

15:13:40

LithoCALpus: ((Ściska))

15:14:00

robynroarxo: Nie puszczaj.

15:14:25

robynroarxo: Chciałabym, żebyś tu teraz była.

15:14:30

LithoCALpus: Ja też.

15:14:49

robynroarxo: Nie uwierzyłabyś, jak szybko bije moje serce, gdybyś przyłożyła do niego rękę.

15:14:59

LithoCALpus: Wierzę. Słyszę je.

15:15:12

robynroarxo: Ono mówi:



15:15:45

robynroarxo: Naprawdę tak czuję, Callie.



15:15:58

LithoCALpus: Wiem. Ja też.

8

To jakiś żart? – zapytała Cerise Doblak, kiedy zadzwoniłam do niej wieczorem i przeczytałam list. – Robyn nie wysławia się w ten sposób.

– Niestaranne pismo na kartce w różową linię. *Czerwony atrament.*

– I co z tego?

– To nie jest pierwszy tego typu list, który zostawiła dla Callie.

Opowiedziałam jej o notce z pogrożkami.

– Proszę dać spokój. Teraz oskarża ją pani, że to ona grozi Callie?

– Kto inny miałby jej wciąż za złe incydent z czerwoną farbą?

– A jak Robyn miałaby się tam dostać? Skąd wiedziała, na jaki cmentarz jeździe?

– Być może ktoś jej powiedział. Nie w tym rzecz. Dzwonię, ponieważ martwię się o Robyn. Uważam, że potrzebuje pomocy. Co prawda nie jesteśmy przyjaciółkami, ale jestem szczerze zaniepokojona.

– Jasne, bardzo się pani przejmuję. Tak jak wtedy, gdy zadzwoniłam do pani z informacją o tym, co zrobiła Callie.

– Gdyby Callie była na miejscu Robyn, byłabym wdzięczna osobie, która by mi o tym powiedziała. Miałabym wtedy szansę poszukać dla niej pomocy.

– Jestem bardzo wdzięczna – odparła z przekąsem. – Bardzo. Dziękuję!

– Nie każdy dostaje ostrzeżenie. Nie każdy dowiaduje się na czas. Być może Robyn cierpi na depresję i woła o pomoc.

– Na pewno nie wołałaby do pani.

Może Cerise ma rację, rozmyślałam po zakończeniu rozmowy. Może Robyn nie ma samobójczych myśli. Może matka zna ją na tyle dobrze, że słusznie zlekceważyła ostrzeżenie. Niemniej jednak nie podobał mi się jej upór, powinna zachować minimum czujności. Jak się poczuje, jeśli – nie daj Boże – coś się stanie?

– Gdzie byłaś, Rebecca? – Callie weszła do sypialni bez pukania. Z jej mokrych włosów kapłała woda. Popatrzyła na foliową torebkę, przez którą prześwitywały czerwone litery. Za późno schowałam ją za plecami. – Wróciła?

– Kontaktowała się z tobą?

– Nie. Czy to...? – Postąpiła krok do przodu. Nie miałam zamiaru pokazywać jej listu.

– Dobra wiadomość jest taka, że przestała ci grozić – powiedziałam, wkładając

kartkę do szuflady. – Pisała tylko o swojej depresji.

– O depresji? – Callie wpatrywała się we mnie rozszerzonymi z ciekawości oczyma.
– Jak to?

– Nie wiem, czy to poważne. Możliwe, że próbuje jedynie zwrócić na siebie uwagę.
Tak czy inaczej, powiadomiłam jej mamę.

Oczy Callie rozbłysły.

– Co powiedziała?

– Była zaskoczona. Miejmy nadzieję, że porozmawia z Robyn dziś wieczorem.

Wycisnęła nadmiar wody z włosów i patrzyła na spływającą po ramieniu strużkę.

– A jeśli nie można jej pomóc?

– Myślę... – Zawahałam się. – Myślę, że każdemu można pomóc.

– Może jej życie jest beznadziejne i nie będzie lepsze.

Zastanawiałam się, czy Callie myśli teraz o swoim ojcu. Nigdy nie poznała szczegółów dotyczących jego śmierci. Wszyscy psychologowie doradzali, żebyśmy jej powiedzieli, że Curtis był „smutny”. Co nie było kłamstwem, tylko pominięciem niemal wszystkiego, co istotne. Z perspektywy czasu takie wyjaśnienie dziecku czyjegoś samobójstwa wydawało się niebezpieczne. Prawie tak, jakbyśmy jej powiedzieli, że smutek może być zabójczy.

– Mnóstwo ludzi uważa swoje życie za beznadziejne, chociaż ono wcale takie nie jest – tłumaczyłam. – A mówiąc tak, zazwyczaj proszą o pomoc.

– Może się utopi.

Popatrzyłam na nią uważnie. Miała na sobie piżamkę z krótkimi spodenkami. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Dlaczego tak mówisz?

– Jak Autumn. – Spojrzała mi w oczy. Naprawdę nie powinnam była o tym opowiadać. Rozmyślała o tragediach, które nie miały z nią nic wspólnego. Prawie nie znała Robyn, żadna z nas nie znała Autumn, ale historie obu dziewcząt miały w sobie jakąś nieodpartą moc przyciągania.

Posadziłam Callie na łóżku i zapewniłam, że życie nie jest aż tak złe, jak się czasem wydaje. Depresja zaburza ogląd świata.

– Jakby nosili okulary, przez które wszystko wygląda ponuro, niezależnie od tego, jakie naprawdę jest – powiedziałam.

Callie streściła mi film o depresji gangstera. Dopiero później dotarło do mnie, że zmieniła zdanie na temat Autumn. Przestała mówić o morderstwie i zaakceptowała fakt, że to było samobójstwo.

Krażyły pogłoski, że Autumn zrobiła to po zerwaniu z chłopakiem. Inni szeptali o poczuciu winy po usunięciu ciąży. Osobiście czasem podejrzewałam, że – podobnie

jak ja i Joyce – miała upodobanie do odgrywania dramatów i igrania ze smutkiem.

Dla mnie śmierć Autumn miała być na zawsze powiązana z Larą. Z melancholijną tęsknotą, którą odczuwałam, kiedy widziałam ją ze swoim kuzynem. Tęsknota była wpisana w moją osobowość. Pragnęłam cofnąć czas i ekshumować naszą dawną przyjaźń. Jednakże Lara pozostawała nieubłagana, przestała mi ufać. Traktowała mnie jak obcą, nielubianą osobę – z chłodnym dystansem. Za każdym razem, gdy ją przeproszałam, patrzyła na mnie jak na powietrze. Byłam nikim – pchłą, szczurem niegodnym jej czasu i uwagi. Wydawało mi się niemożliwe, aby nasza więź po prostu zniknęła, nie pozostawiając widocznych blizn na ciele, żadnych śladów dawnych uczuć.

– Co cię obchodzi Lara? – pytała Joyce. – Masz przecież mnie.

Joyce pozostała moją najlepszą przyjaciółką, nikt nie miał na mnie większego wpływu niż ona. Ani moja matka, ani ciotka, ani nawet kuzyn. Naszą relację najlepiej ilustruje jedna z zabaw z dzieciństwa. Kiedy miałyśmy po dwanaście lat, siadałyśmy naprzeciwko siebie i wykonywałyśmy synchroniczne ruchy, przewidując swoje kolejne gesty. Joyce odgarniała włosy lewą ręką, ja robiłam to samo prawą – jej lustrzane odbicie. Pocierałyśmy brwi, pokazywałyśmy języki, poruszałyśmy palcami, łączyłyśmy podeszwy stóp, dopóki nie poczułyśmy lekkiego mrowienia. Każda z nas była prawdziwszą wersją tej drugiej. Przechodziłyśmy te same zmiany w tym samym czasie. Obie spoważniałyśmy, kiedy poszłyśmy do liceum. Obie pilnie uczyłyśmy się do egzaminów na studia, planowałyśmy przyszłość, pisałyśmy prace i składałyśmy dokumenty na te same uczelnie. Ja podążałam za nią, a ona za mną. Czasem odczuwałam chwilowe zagubienie, widząc Joyce przytuloną do jakiegoś chłopaka albo wspartą na jego ramieniu. Patrzyła wtedy na mnie, unosząc jedną brew, jakby mówiła, że to kolejna z naszych gier, a ja rozluźniona zwracałam się w stronę mojego towarzysza. Muskałam dłonią jego ramię albo śmiałam się z jego dowcipu. Czułam się bezpieczna, wiedząc, że za nią nadążam – Joyce nie zostawi mnie w tyle.

Gdy wyjeżdżałam na studia, Curtis był już zaręczony z Larą. Kiedy wróciłam do domu po pierwszym roku, mieli ustaloną datę ślubu – za sześć miesięcy. Chociaż już dawno przestałam być hiacyntową dziewczyną i wydawało mi się, że zostawiłam za sobą dziecinne mrzonki, ni stąd, ni zowąd zaczęłam snuć fantazje o pojednaniu z Larą. Zgubi pierścioneł zaręczynowy, a ja go znajdę. Samochód zepsuje jej się na środku autostrady, a ja ją podwiozę. Albo ktoś wyceluje we mnie broń, a Lara wezwie policję i poczeka, aż mnie uratują. Nasze spojrzenia się spotkają – ofiara i wybawca – wszystko zostanie wybaczone, nasza przyjaźń odżyje.

Nie wydarzyło się jednak nic sensacyjnego. Odwiedziłam Curtisa w ich wspólnym mieszkaniu. Miał na sobie ciemny uniform, w którym wyglądał jak policjant: akryłowe spodnie, szeroki pasek, koszula z krótkim rękawem i przyszytą na piersi odznaką. Po skończeniu liceum podjął pracę w sądzie jako ochroniarz, był nim od

trzech lat. Opowiadał mi o człowieku, który próbował wnieść broń na salę sądową.

– To była sprawa o przyznanie opieki nad dziećmi – mówił. – Facet duży, stary – prawdopodobnie koło trzydziestki – z łysiną na czubku głowy. – Curtis z uśmiechem przeczesał dłonią gęstą czuprynę. – Czujnik metalu piszczy, a ja nawet nie zdążyłem gościa spytać, czy ma coś w kieszeni, zanim sięgnął ręką, o tak. – Zademonstrował błyskawiczny gest. – Patrzę, a on wyjmuje – przysięgam ci – dwunastocentymetrowe ostrze. Trzyma je, jakby się zastanawiał, co dalej. Może by mi je wbić w brzuch? A ja sobie myślę: O KURWA, bo mój partner, Andre, wyszedł do kibla i jestem sam. Trzymam jedną ręką pałkę, gotów go nią zdzielić, wytrącić mu nóż z ręki, ale nic nie daję po sobie poznać. „Proszę pana, proszę położyć broń na tacy”, mówię całkiem spokojnie, jakby wszystko było w najlepszym porządku. – W tym momencie jego opowieści do pokoju weszła Lara. Popijała mrożoną herbatę. – I gość posłuchał – kontynuował Curtis. – Rzucił kosę na tacę, jakby to były kluczyki. – Pokręcił głową. – Co za kretyn przynosi kosę na rozprawę o przyznanie opieki nad dziećmi? Co miał zamiar zrobić? Zadźgać mnie, żeby odzyskać dzieci?

– Nie przyznali mu opieki, prawda? – zapytałam bez tchu.

Curtis zapewnił, że nie.

Zrobiłam na Larze dobre wrażenie swoją troską, albo minęło już tyle czasu, że rany zdążyły się zagoić. Zaproponowała mi mrożoną herbatę i podała podkładkę pod szklankę. Tydzień później sama zaczęła mi opowiadać o przygotowaniach do ślubu. Uszczęśliwiona, zasypałam ją gradem pytań. Motywem przewodnim miały być święta, Lara miała wystąpić w białej futrzanej etoli.

– Cieszysz się jak dziecko – powiedziała Joyce, kiedy opowiedziałam jej o rozmowie z Larą. – Nie wiem, czego się spodziewasz.

Zdaniem Joyce Lara chciała mnie wykorzystać, żeby bardziej się zbliżyć do mojej rodziny. Nie miała racji: ciotka od dawna darzyła ją większą sympatią niż mnie. Usiłowałam wyjaśnić Joyce, dlaczego przyjaźń Lary tak wiele dla mnie znaczy, ale zaczęłam mówić o Autumn i się zaplątałam. Gdyby Autumn nie popełniła samobójstwa, lecz została porwana, nie odgrywałybyśmy tych scenek i nie skrzywdziłabym Lary. Nie byłoby żadnego pogrzebu i nie słyszałaby, jak przedrzeźniam jej jąkanie. Nie odkryłabym, że jestem okrutną osobą, a nasza piątka nadal by się przyjaźniła. Joyce, Lara, Curtis, ja i – być może – Autumn.

– To trochę naciągane – stwierdziła Joyce.

– Nie żałujesz tego, co się stało?

– Jedyne, czego żałuję, to że wychodzi za twojego kuzyna.

Zauroczenie Joyce Curtisem stało się dla nas tematem do żartów. W lipcu wpadłyśmy na niego przypadkiem nad morzem. Joyce udawała, że zamierza popełnić przestępstwo, żeby dać się aresztować i widywać go w sądzie. „Przystojny panie władzo”, mówiła, a on się śmiał i mrużył oczy, jakby wyteżał wzrok. W końcu

powiedział jednak, że musi wracać do domu, bo Lara na niego czeka.

Dlatego nie uwierzyłam jej, kiedy przyszła do sklepu, w którym pracowałam na popołudniową zmianę, i mi to powiedziała. Sądziłam, że żartuje.

– Jest afera. – Wsparła się łokciami o ladę. – Ja i Curtis. – Ekspres do kawy zabulgotał, z ulicy dochodził hałas samochodowych silników. – Przespaliśmy się ze sobą.

Utkwiłam wzrok w małym, brązowym znamieniu pod jej rzęsami.

– Nie wierzę ci. – Joyce uniosła jedną brew. Zadzwoiła do niego, pojechali na przejażdżkę jego samochodem, on wyjął z bagażnika koc i położył na tylnym siedzeniu. Wymierzyłam jej kuksańca w ramię. – Ściemniasz.

Zadzwieczał dzwonek nad drzwiami, Joyce wzięła batonik i odeszła na bok, podczas gdy ja drukowałam klientowi kupony na loterię. Byłam pewna, że kłamie – tak jak wtedy, kiedy twierdziła, że paliła kokę i było cudownie. Osoba, którą znałam jako Joyce, nie zrobiłaby czegoś podobnego. Zapewne chciała zobaczyć, jak zareaguję.

Powiedziała, że zrobili to na tylnym siedzeniu. Dwa razy. Powiedział Larze, że wychodzi z kolegami.

– Potem zabrał mnie na dach sklepiku na plaży. Pomógł mi wejść na górę i oglądaliśmy razem gwiazdy.

Poczułam nagły, przeszywający ból, nieprzyjemne gorąco promieniujące od ud. Miałam ochotę tupać nogami. Joyce odłożyła batonik na półkę. Zrozumiałam, że nie żartuje. Szurałam rozpalonymi stopami po linoleum. Zmusiłam się, żeby na nią spojrzeć. Musiałam się powstrzymać, by jej nie uderzyć.

– Jesteś potworną egoistką.

Wyglądała na wstrząśniętą, jakby sądziła, że się przesłyszała. Miałam wrażenie, że widzę tę dziewczynę o mocno zaróżowionej twarzy po raz pierwszy w życiu. Zastanawiałam się, czy poczerwienieje jeszcze bardziej, jeśli wymierzę jej policzek.

– Myślałam, że ucieszysz się z mojego szczęścia.

– Tak nie można, Joyce! – Sięgnęłam po stojący na ladzie płyn do mycia szyb i zaczęłam go rozpylać. Poprzedni wieczór spędziłam w towarzystwie Lary, pokazywała mi kwiaty, które wybrała: białe róże i ostrokrzew, bardzo zimowo i elegancko. Bałam się momentu, w którym zacznie się jąkać, nie wiedziałam, jak obie na to zareagujemy, czy przypadkiem nie wróci wspomnienie tamtego dnia sprzed sześciu lat. Lara nagle zamilkła w środku zdania o gałęziach jałowca. Wiedziałam, co to oznacza, ale nie okazałam najmniejszego śladu zmieszania. Po prostu dopowiedziałam jej myśl. *Przybrany czerwonymi wstążkami będzie wyglądał szalenie dekoracyjnie i świątecznie.* Lara pokiwała głową. – Pomyślałaś chociaż przez chwilę o Larze? – syknęłam.

– Nie wygłupiaj się. Ona nie jest twoją prawdziwą przyjaciółką. – Wzdrygnęłam się, zaczęłam drzeć na całym ciele. Zimny powiew klimatyzacji mroził moją rozpaloną

skórę. Rozważałam zdjęcie tramppek i skarpetek. Czekałam, aż Joyce sobie pójdzie. Kiedy byłam z Larą, czułam się jak nawrócona grzesznica. Pochlebiali mi, że chce mi się zwierzać. Była taka dojrzała, a jednocześnie delikatna. Może gdybym zdołała wytłumaczyć to Joyce, nie zrobiłaby tego, co zrobiła. Rwałam papierowe ręczniki i zapamiętała czyściłam ladę. Musiała mi powiedzieć? Po co mnie w to wszystko mieszała? Ponieważ doskonale wiedziała, że będę musiała wybrać między lojalnością wobec Lary a nią – będę musiała dołączyć do jej zdrady. A jeżeli Curtis i Joyce się w sobie zakochają – co ze mną? Zostanę całkiem sama, porzucona. Stracę całą trójkę, już się ode mnie oddalili. Obawiałam się spojrzeć na Joyce. Jasne włosy związane w koński ogon z kilkoma luźnymi kosmykami wokół twarzy, profil, który mogłam narysować z pamięci na szklanym kontuarze. Gdybym ją straciła – jeśli ją traciłam – to było gorsze, niż mogłam sobie wyobrazić. Bardziej bolesne od użądleń osy i bardziej samotne niż pogrzebanie żywcem. Nie przeżyję. Przestaną oddychać. Bez niej stracę wszystko. Umrę, jeżeli ona i Curtis są w sobie zakochani. Umrę. – Jesteś zazdrosna czy co? – zapytała podniesionym głosem.

Zacisnęłam zęby, żeby powstrzymać szcęknięcie. Otworzyłam usta tylko po to, żeby kazać jej się wynosić.

Nie odzywałyśmy się do siebie przez cztery tygodnie. Strasznie tęskniłam, nie miałam wątpliwości, co muszę zrobić. Kochałam Larę, ale Joyce była częścią mnie. Nie okłamałam Lary, postanowiłam jednak, że jej nie powiem. Będę jej unikać, spisując w ten sposób naszą przyjaźń na straty. Nie napisałam do niej, niczego nie wyjaśniłam. Po prostu zniknęłam z jej życia. Nie spodziewałam się, że będzie aż tak boleć. Jak utrata ważnego kawałka osobowości, niedawno odzyskanego i cennego. Nie miałam pojęcia, czy Lara jest smutna, wściekła czy też obojętna. Odeszłam bez pożegnania. Jak Autumn.

– Może powinnam zadzwonić na policję?

– Nie wiem. To chyba jednak przesada...

Zadzwoiłam do Danny'ego po rozmowie z mamą Robyn. Chciałam, żeby wiedział, że traktuję tę sprawę poważnie. Miał rację, martwiąc się o dziewczynę – każdy porządny człowiek by się zaniepokoił. Chciałam być w jego oczach porządnym człowiekiem.

– Cerise umarłaby ze strachu, gdyby zapukała do niej policja.

– Tak. Nic przyjemnego.

– Ale ona chyba nie do końca zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Może nie pamięta, jakie to uczucie, kiedy człowiek się zagubi w tym wieku. Świat mu się wali.

Przez chwilę dyskutowaliśmy o zakresie odpowiedzialności. Powiedziałam mu, że

gdyby płonął dom sąsiada, wezwałabym straż pożarną, nawet gdyby sąsiad nie widział takiej potrzeby. Dla własnego bezpieczeństwa, żeby mieć pewność, że ogień się nie rozprzestrzeni. To zupełnie inna sytuacja, uważał Danny, pożar jeszcze nie wybuchł. Na widok dziecka bawiącego się zapalkami należy zawiadomić jego rodziców, zawiadomienie policji byłoby nieadekwatną reakcją. Jego zdaniem powinnam dać Cerise szansę na rozwiązanie problemu. Gdyby Robyn była jego córką, już by z nią rozmawiał, oświadczył, przypominając mi, że przecież sam ma dzieci. Zapewne musiał położyć je do łóżek.

– Mieszkają z moją eks. – Opowiedział mi o rozstaniu. Pewnego dnia, zeszłej wiosny, wrócił po pracy do pustego domu. Spakowała się i zabrała dzieci. Jego życie legło w gruzach. Zostawiła go bez słowa wyjaśnienia i wyprowadziła się prawie dwieście kilometrów dalej, zabierając syna i córkę. Widywał ich dwa razy w miesiącu, o wiele za rzadko. Wyobraziłam sobie, jak siedzi w ponurej kuchni, przy pustym stole. – Próbuję rozmawiać z nimi przez telefon, ale są jeszcze mali – mówił posepnie. – Po dwóch sekundach chcą odkładać słuchawkę.

– Ja nie chcę – oznajmiłam. Rozmawialiśmy prawie godzinę.

Następnego ranka Callie wstała do szkoły na czas, nie musiałam jej ponaglać. Wzięła prysznic, wysuszyła włosy i przyszła do kuchni. Wyglądała tak jak zawsze: makijaż, obcisłe, czerwone dżinsy, koszula, którą wybrałyśmy razem podczas letnich zakupów. Zjadła płatki bez uskarżania się na mdłości i wypłukała miskę przed wyjściem. Wszystko wskazywało na to, że miewa się całkiem dobrze. Odsunęłam na bok sprawę Robyn.

Dopiero w pracy zaczęłam rozmyślać o Cerise Doblak. W kwietniu, kiedy do mnie zadzwoniła, twierdziła, że Robyn codziennie wraca do domu z płaczem. *Wiedziała*, że przeżywa trudne chwile. Zabrała ją z tego powodu ze szkoły. Robyn zwierzała się matce. Opowiadała o tym, że koledzy i koleżanki jej dokuczają, przezywają ją, wysmiewają się z jej ciała. Czy to możliwe, żeby nie wiedziała o depresji? Nie szukała pomocy dla córki? Jałowe rozmyślenia wprawiły mnie w zły humor.

Na fotelu usiadła mała dziewczynka z zaawansowaną próchnicą. Czterolatka miała na sobie koszulkę z Dorą. Matka oderwała na chwilę wzrok od telefonu komórkowego.

– Ups! To tylko mleczaki!

Tłumaczyłam, że obecna próchnica może się rozszerzyć na zęby stałe lub spowodować ropne zapalenie dziąseł. Kobieta rzuciła mi obojętne spojrzenie. Znów pomyślałam o Cerise Doblak i ogarnęła mnie niespodziewana złość.

– Powinna pani pilnować, żeby dokładnie myła zęby!

– Pilnuję!

– To pani obowiązek! Nikt tego za panią nie zrobi!

Na szyi kobiety pojawiły się plamy czerwieni. Dziewczynka siedziała z otwartą buzią. Wyobraziłam ją sobie za dziesięć lat – z krzywymi zębami, zapaleniem dziąseł, grubym nalotem na języku. I matką wciąż powtarzającą: „Ups! Ups!”.

Nie chciałam nikogo oceniać, ale niektórzy rodzice *nie potrafili* zajmować się własnymi dziećmi. A Joyce i Danny? Cóż oni by dali, żeby móc przypominać swoim dzieciom o myciu zębów codziennie wieczorem? Żeby przy nich być? Powinnam była zachować spokój i okazać więcej wyrozumiałości: taktownie zasugerować ograniczenie łakoci i słodkich napojów. Jej obojętność doprowadzała mnie do szału. Wtedy jeszcze nie widziałam, że wcale nie jestem od niej lepsza.

Doktor Rick musiał usłyszeć mój gniewny wybuch, gdyż wparował do gabinetu uśmiechnięty jak jowialny wujaszek.

– Wszystko w porządku, Rebecca? – zapytał. Doktor Rick miał ponad pięćdziesiąt lat i opaleniznę utrzymującą się przez cały rok. Pod koniec każdego badania z głośnym pstryknięciem zdejmował gumowe rękawiczki. Zawsze zachwycał się urodą kobiet, czasem nadstawiał policzek do pocałunku. Mężczyzn traktował z humorem i poufałością – od pierwszej wizyty. Starał się, jak mógł, żeby przyciągnąć pacjentów w tych trudnych czasach. – Rebecca jest dla ciebie miła? – Poglądził loki dziewczynki.

Zostałam wyproszona z gabinetu, incydent miał zostać odnotowany w moich aktach.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – mamrotałam, wychodząc. Jakbym to ja była beznadziejnym rodzicem. Jakbym nie rozumiała, że takie rzeczy się zdarzają.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powtarzałam po południu, kiedy zadzwonili ze szkoły Callie.

Callie została zawieszona na dwa dni. Zamknęłam się z telefonem w łazience dla personelu i słuchałam relacji dyrektora szkoły. Callie obraziła nauczycielkę wiedzy o społeczeństwie i wybiegła z klasy.

– Użyła słowa na „s” – mówił pan Wattis. Następnie wybiegła z budynku i usiłowała opuścić teren szkoły. Zatrzymał ją nauczyciel gimnastyki. Wcześniej wysmarowała czekoladą ławkę, przy której siedziała. Rozsmarowała na niej całego czekoladowego batona.

– Czekoladowego?

– Tak – potwierdził pan Wattis. – Narobiła okropnego bałaganu.

Twierdził, że wybuch nie został niczym sprowokowany. Tak jakby moja Callie była chuliganem, który regularnie przeklina i rzuca jajkami w sąsiadów. Tym razem nie spierałam się z nim, nie twierdziłam, że to musi być pomyłka. Nie przypominałam o sukcesach i nagrodach Callie. Zależało mi na poznaniu faktów, interesował mnie

każdy szczegół. Pragnęłam zrozumieć, co się dzieje. Potrzebowałam dowodów, że ktoś ją wrabia.

Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak #8 Dla Rebekki/Od Callie

Pewnego dnia na lekcji plastyki Robyn uniosła rękę i poruszyła brwiami, patrząc mi w oczy. Pokazywała mi bransoletkę z fundacji pomagającej pitbullom, taką samą jak moja. Innym razem wypowiedziała głośno moje imię, kiedy oddawała prace plastyczne. Popatrzyła na mnie wyczekująco, zanim podała kartkę. Przez internet było mi łatwiej, czułam się lekka i nieskrępowana. Mogłam fruwać w chmurach i przeskakiwać góry. Kiedy Ella siedziała obok mnie, nic nie mogłam zrobić. Znieruchomiałam. Myślałam, że umrę. Spuściłam głowę, Robyn położyła kartkę.

– Co za dziwadło – powiedziała Ella.

Rozmowa na czacie z dnia 28 stycznia, 19:40:28

19:34:02

robynroarxo: To przez Twoje koleżanki, prawda?



19:35:12

LithoCALpus: Nie tylko. Nie chcę, żeby wszystko się zmieniło.

19:36:16

robynroarxo: Ale się ZMIENIŁO i głupio tak udawać, że się nie znamy. Wolałabym, żebyśmy były szczerze. Chcę być Z TOBĄ w szkole.

19:36:31

LithoCALpus: Wcześniej było lepiej.

19:37:39

robynroarxo: Co?  Zanim się poznałyśmy?!

19:37:58

LithoCALpus: Nie to miałam na myśli...

19:38:13

robynroarxo: A co?

19:38:54

LithoCALpus: 😊 Wolę, żebyśmy nadal rozmawiały tak jak teraz.

19:39:19

robynroarxo: Ale w szkole jesteś inną osobą. Nawet nie mówisz mi cześć.

19:39:24

LithoCALpus: Nie mogę. OK?

19:39:49

robynroarxo: Jeśli ktoś ma z tym problem, to znaczy, że nie jest prawdziwym przyjacielem. Jesteś inna niż one. Powinnaś być sobą.

19:40:28

LithoCALpus: 🤔 Daj mi się zastanowić. Nie poganiaj mnie.

W lutym coś w nią wstąpiło i z dnia na dzień postanowiła wszystko zmienić. Stała w stołówkowej kolejce, kiedy weszłam z koleżankami. Zgodnie ze swoim porannym rytuałem podawałyśmy sobie nawzajem telefony i zaglądałyśmy jedna drugiej przez ramię, zostawiając ślady szminki. Pokrzykiwałyśmy, podskakiwałyśmy i wymierzałyśmy sobie żartobliwe klapsy. Wtedy Robyn nieoczekiwanie do mnie pomachała.

– Callie – zawołała. – Zabrałam dziś ze sobą Tatusia. – Pokazała fioletową, nylonową torbę, która zakołysała się, gdy do mnie machała. – Tatuś.

Dallas trąciła mnie ramieniem.

– Ty, ona coś do ciebie mówi? O co chodzi z tym tatusiem?

Ella uniosła głowę, którą opierała na ramieniu Dallas.

– Jej ojciec chyba nie żyje?

Robyn zrozumiała, że do niej nie podejdę, i powoli opuściła rękę.

9

Wieczorem Callie siedziała skulona na sofie i pruła róg poduszki, opowiadając, co się wydarzyło. Żadna z nas nie miała ochoty na banany w cieście, które postawiłam na stole. Callie kłamała. Obserwowałam ją ze swojego miejsca na fotelu.

– Wybiegłam, bo musiałam iść do łazienki – mówiła beznamyślnie.

– Ale nie poszłaś do toalety, tylko wybiegłaś ze szkoły.

– Zabłądziłam.

– Jak mogłaś pomylić główne wyjście z drzwiami do łazienki?

Zamknęła oczy i włożyła palec do dziury w poszewce. Otaczała ją jakaś czarna chmura, oddzielając ode mnie.

– Nauczycielka czymś cię zdenerwowała?

– Nie.

Opuściła głowę, unikając mojego wzroku. Wcześniej zapytałam, czy ktoś jej kazał tak postąpić. Zastanawiałam się nawet głośno, czy przypadkiem nie dostała miesiączki. Callie wyjęła spod poszewki biały strzępek wypełnienia poduszki.

– Opowiedz mi jeszcze raz, o co chodziło z tą czekoladą.

Wpatrywała się w białe włókna.

– Czekolada już tam była, kiedy przyszłam.

– Myślisz, że zostawiła ją jedna z koleżanek Robyn? Może ta Lucinda?

Prychnęła ze zniecierpliwieniem.

– Nie, Rebecca.

– Jak możesz być pewna, skoro nie wiesz? – Milczała. Ogarnęła mnie nagła chęć potrząśnięcia nią. Kiepsko sobie radziłam z tą sytuacją. Z każdym jej słowem czułam się coraz bardziej bezradna. Miałam wrażenie, że wiedzie mnie przez labirynt coraz dalej od wyjścia, celowo obierając zły kierunek, udając równie zdezorientowaną jak ja. – Musiałaś iść do łazienki, w porządku. Może źle się poczułaś. Ale dlaczego, na Boga, obraziłaś nauczycielkę?

Callie drapała swoje szczupłe ramiona, jej paznokcie zostawiały białe ślady na skórze.

– Nie wiem. – Patrzyła na podrapane ręce. – Wymknęło mi się.

– Masz prawo popełniać błędy, ale przecież umiesz się kontrolować, Callie. To do ciebie niepodobne.

Gwałtownie pochyliła się do przodu, poduszka spadła na podłogę.

– Przestań. – Popatrzyłam na swoją prawą dłoń przyciśniętą do piersi tuż pod obojczykiem. Bluzka zakrywała tatuaż, ale ona wiedziała, że tam jest. Ciemnofioletowy hiacynt, na cześć jej matki. – Zawsze to robisz! – wybuchnęła. – Jakbyś miała dostać przeze mnie ataku serca. Wiem, co sobie myślisz. – Opuściłam rękę na kolana. Callie skrzywiła się z obrzydzeniem, zeskoczyła z kanapy i pomaszerowała do kuchni. – Nie jestem taka jak mama! Może jestem bardziej podobna do *niego*!

Poszłam za nią. Odkręciła wodę i stała obok zlewu z rękami założonymi na brzuchu. Od lat nie rozmawiałyśmy o Curtisie, rzadko o nim wspominała. Zrobiła dziwny grymas, gdy dotknęłam jej ramienia.

– Co się dzieje?

Włożyła palce pod strumień, rozpryskując wodę.

– Zmiażdżyłam tę czekoladę, bo tak chciałam. Nie zawsze musi być powód. Niektórzy ludzie są pozbawieni sumienia.

– Ależ ty masz sumienie – szepnęłam. – Twój ojciec także je miał.

Strzepnęła wodę z drżącej ręki.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziała. – Ciągle czegoś ode mnie chcesz.

Pobiegła do swojego pokoju, a ja poszłam za nią. Wskoczyła w butach do łóżka i nakryła się całą kołdrą, żeby jej nie widziała. Nakazałam sobie spokój.

– Dlaczego powiedziałaś, że nie masz sumienia? – Nie odpowiedziała. – Czy ktoś coś ci powiedział o tacie? To może nie być prawda.

Leżała nieruchomo. Rozpaczliwie pragnęłam do niej dotrzeć. Przekonać, że nie ma racji. Była całym moim światem, nie miałam nikogo innego. Przysięgałam, że zrobię dla niej wszystko, ale jak mogłam dotrzymać słowa, skoro ona chciała jedynie, abym sobie poszła?

Dyrektor szkoły otworzył nam drzwi swojego gabinetu z miną, która nie zachęcała do zdawkowych pogawędek. Podał mi rękę na przywitanie i zaprosił gestem, abyśmy usiadły. Ostatni raz widziałam dyrektora Wattisa, starszego łysiejącego pana, podczas dnia otwartego dla rodziców, kiedy opowiadał o rekordowej liczbie absolwentów swojego liceum przyjmowanej na renomowane uczelnie. Po przyjsciu do domu ścisłałam Callie, myśląc o przyszłości – o tym, że kiedyś otworzymy list z potwierdzeniem jej przyjęcia na studia i przejedziemy przez bramę college'u, podziwiając piękne budynki z kamienia porośnięte bluszczem. Nie przyszłoby mi do głowy, że będziemy tu siedzieć niczym para szkolnych łobuzów, pod surowym spojrzeniem dyrektora.

Poprosił Callie o wyjaśnienie tego, co się wydarzyło w klasie. Spuściła wzrok

i zaczęła mówić cichym, nieprzekonującym głosem. Opowiedziała tę samą historię, którą wcześniej opowiadała mnie, ale w tej wersji upuściła czekoladę. Upadła jej na ławkę, przypadkiem się rozmazała. Siedziała zgarbiona, ze zwieszoną głową, a ja bezwiednie naśladowałam jej postawę. Wyprostowałam się natychmiast, gdy to zauważyłam. Czułam na sobie wzrok pana Wattisa. Ciekawe, jak często nastolatki kłamały mu w żywe oczy.

Trzeba powiadomić ojca Joyce, uświadomiłam sobie. Zgodził się powierzyć mi opiekę nad swoją wnuczką osiem lat temu, sam będąc w fatalnym stanie psychicznym. Właśnie stracił żonę i córkę, a ja byłam pod ręką i zachowywałam się jak ekspert od wychowywania dzieci. Przez dwa lata pomagałam Joyce w opiece nad Callie i pospieszyłam z pomocą, przekonana, że sobie poradzę. Pokazałam mu, jak ją ubierać i co robić, kiedy nie chce jeść. Nie rozumiał, że wiem tylko tyle, ile nauczyła mnie Joyce. Uważał, że mam jakiś naturalny, instynktowny dar, a ja pozwoliłam mu w to wierzyć.

– Zabłądziłam – powiedziała Callie. – Szukałam łazienki, wybiegłam na dwór przez przypadek. – Pan Wattis popatrzył na mnie uważnie. – Już miałam wracać do środka, kiedy ten facet mnie złapał i przyprowadził tutaj.

Wydawała się taka bezbronna i zagubiona. Pomyślałam o innych rodzicach z Pembury, którzy bronili swoich dzieci za wszelką cenę, bez wahania podważając autorytet nauczycieli.

– Nigdy wcześniej nie zdarzyło jej się nic podobnego, ale powinien pan o czymś wiedzieć – wtrąciłam. Poczułam na sobie ciężar ich spojrzeń. – Matka Callie nie żyje. – Popatrzyłam mu w oczy. – W ten weekend obchodziliśmy dziewiątą rocznicę jej śmierci. Obie bardzo to przeżyliśmy. Nie szukam wymówek, po prostu uważam, że to ma znaczenie.

Zwróciłam uwagę na pochyloną postawę i zaciśniętą szczękę Callie.

– Zapomniałaś wspomnieć o tacie. Mój tata też nie żyje – dodała niemal kpiąco, jakby rzucała nam wyzwanie, po czym oparła się na krześle, skrzyżowała ramiona i utkwiała wzrok w ścianie.

Pan Wattis odchrząknął.

– Oboje rodzice Callie nie żyją – podsumowałam. – Jestem kuzynką jej ojca i jej prawną opiekunką.

Dyrektor przybrał współczujący wyraz twarzy. Wiedział. Wszystkie te informacje zostały zamieszczone w aktach Callie. Rozpoczął wykład na temat niedopuszczalnego zachowania i kodeksu szkoły. Callie nadal patrzyła w ścianę, a ja nagle zdałam sobie sprawę z niestosowności swoich słów. Śmierć Joyce nie powinna być wymówką w takiej sytuacji. To nie jest coś, o czym opowiada się obcym. Callie zostanie ukarana tak czy inaczej, niezależnie od współczucia pana Wattisa. Dwa dni zawieszenia w prawach ucznia i pisemne przeprosiny dla nauczycielki.

Wróciłyśmy do samochodu. W milczeniu zapięłam pasy, wolałabym być sama. Chciałam zapomnieć o problemach, uciekając w świat fantazji: wyobrazić sobie wymarzoną kuchnię z dębową posadzką, kompletem japońskich noży, świeżymi ziołami w doniczkach na parapecie: bazylią, pietruszką, kolendrą. Lśniące białą ściany i takie same kafelki. Callie włożyła palce w otwór wentylacyjny, domagała się mojej uwagi.

– Dlaczego zawsze opowiadasz wszystkim o mamie, a nigdy o tacie? Był aż taki zły? – Cała półka pełna miodu z lokalnej pasieki, maleńkie słoiczki z dżemem. – Rebecca!

– Oczywiście, że nie.

– To dlatego że się zabił? – Pokręciłam głową. Szklane platery do ciasta. – To on ją zabił? – Zagryzła ze złością wargi, a ja poczułam w ustach smak krwi. Nieskazitelną kuchnia rozplynęła się. – Zabił mamę?

Po rozmowie z Joyce unikałam ich obojga: Curtisa i Lary, ale pewnego dnia, w ostatnim tygodniu sierpnia, przyszedł do sklepu tuż przed końcem mojej zmiany. Wszedł pewnym krokiem dorosłego mężczyzny. W nakrapianej deszczem koszulce i z kropelkami wody na nieogolonych policzkach. Na zewnątrz lało od wielu godzin. Jego skóra połyskiwała zielonkawo w sztucznym świetle.

– Wiesz o Joyce... – stwierdził łamiącym się głosem. Pokiwałam głową, patrząc na kosmyki lśniących, czarnych włosów oblepiających jego czoło. – Muszę z tobą porozmawiać.

Poszliśmy do samochodu. Czuję się jak ofiara prowadzona przez niezrównoważonego psychicznie porywacza. Strumienie deszczu lśniły w świetle latarni. Siedzieliśmy przy włączonych wycieraczkach, chociaż nie zamierzaliśmy nigdzie jechać. We wnętrzu auta unosił się zapach wilgotnych włosów i skórzanych butów. Bałam się spojrzeć do tyłu. Jak zahipnotyzowana utkwiałam wzrok w wycieraczkach, które odgarniały wodę niczym magiczne różdżki, odsłaniając widok na autostradę i czerwone światła stopu.

– Muszę wiedzieć – mamrotał Curtis. – Czy ona sypia z kimś innym?

Przeczesałam palcami mokre włosy, nawijając na palce ociekające wodą kosmyki. Poczuję się dziwnie, znów byliśmy razem, jak w dzieciństwie, kiedy mieliśmy wspólne sekrety. Curtis obserwował mnie z napięciem, czekając na odpowiedź. Teraz lepiej rozumiałam Larę, jej niepewność, czy zdoła wydobyć z siebie słowa.

– Kochasz ją?

– Joyce? – zapytał ze zdziwieniem. – Nie, skąd. Po prostu dałem ciała. – Nerwowo podrygiwał kolanem. – To był błąd. Nigdy wcześniej nie zdradziłem Lary, zabiłaby

mnie. Jej ojciec zdradzał matkę, nie mógłbym jej bardziej skrzywdzić. Kocham ją. To był tylko ten jeden raz, kompletna pomyłka. Wiesz, że taki nie jestem. – A więc nie kocha Joyce. Zalała mnie fala ulgi. – Słyszałaś, co mówi Joyce? Nie wiem, czy kłamie, żeby się zemścić, czy co... Twierdzi, że jest ze mną w ciąży. – Otworzyłam drzwi i wpuściłam do środka ulewę. Słyszałam kuszące odgłosy odjeżdżających samochodów. Musiałam czym prędzej się stąd oddalić. Curtis przechylił się nade mną i zamknął drzwi. Chwycił mój rękaw, jakby nie umiał utrzymać równowagi. Zerknęłam na tylne siedzenie. Było puste i ciasne. Nie mogłam sobie wyobrazić leżącej na nim nagiej Joyce. Nie wymyśliłaby ciąży. – Rebecca? – zapytał z napięciem.

Joyce nie sypiała z nikim innym od lutego.

– Nie było nikogo innego – powiedziałam. – Nie skłamałaby w sprawie ciąży. – Puścił mój rękaw, zwiesił głowę na kierownicę i jęknął teatralnie. Miałam zamiar uciec do swojego samochodu, zwymiotować po drodze i odjechać. Mój dwudziestoletni kuzyn zaczął szlochać. Nie był już dzieckiem, w grudniu miał się żenić. Nie współczułam mu ani trochę, byłam na niego zła. – Powiesz Larze? – zapytałam.

Wolno uniósł głowę.

– Musisz mi pomóc, Rebecca.

Cztery miesiące po ślubie Curtisa zaparkowałam na betonowym parkingu szpitala. Wyobrażałam sobie, że będę w samym centrum wydarzeń: czuwać przy łóżku Joyce, przynosić jej napoje albo kostki lodu, trzymać za rękę. Nic z tego nie wyszło, gdyż pani McKenzie zadzwoniła do mnie dopiero po porodzie. Zastanawiałam się, czy Curtis przyjedzie, zostawiłam dla niego wiadomość u ciotki Bei. Teraz, idąc korytarzem, wypatrywałam znajomej sylwetki i czupryny. Ostatnio, kiedy go widziałam, miał na sobie wypożyczony ślubny smoking. Sztywno odwzajemnił mój uścisk, a ja udałam, że strzepuję niewidzialny pyłek z jego ramienia, żeby przedłużyć kontakt choćby o sekundę. Nie spełniłam jego prośby – nigdy nie wspomniałam Joyce o aborcji.

Curtis nie przyszedł do szpitala. Nie widział Callie, kiedy była noworodkiem ani kiedy wyrósł jej pierwszy ząbek, ani kiedy zaczęła raczkować. Bardzo rzadko dochodziły mnie wieści, że przysłał Joyce trochę gotówki. Były to małe sumy – nie chciał, żeby Lara się zorientowała. Wyznał jej prawdę miesiąc przed ślubem. W dniu wesela miał już siniaków. Podobno Lara kopała go przez pół godziny, obrzucając wyzwiskami, podczas gdy on po prostu leżał na łazienkowych płytkach, przyjmując ciosy. Obiecał, że nigdy więcej nie spotka się z Joyce i nie będzie utrzymywał kontaktu z dzieckiem. Zabroniła mu także kontaktu ze mną, nie będąc pewna, jaki

miałam w tym wszystkim udział. W kościele usiadłam obok matki i podziwiałam białą etolę, srebrny diadem i lśniące loki panny młodej. Obiecałam, że będę jej unikać podczas wesela. Nie chciała mnie na nim widzieć.

Po ślubie rzadko widywałam Curtisa. Mijaliśmy się w święta, nie siadaliśmy przy jednym stole. Nie wymienialiśmy się kartkami urodzinowymi, nie było przyjacielskich pogawędek przez telefon. On i Lara wyjechali z Cansdown. Zaczęli nowe życie i sądziłam, że są szczęśliwi. Gdy tuliłam Callie w ramionach albo pozwalałam jej ssać swój palec, żeby nie płakała, patrzyłam na świat z zupełnie innej perspektywy. Mój kuzyn uczynił rzecz niewybaczalną – skrzywdził nie tylko mnie i Joyce, ale także swoją córkę. Odszedł, jakby dziecko nic nie znaczyło. A ja stopniowo odkrywałam, że znaczy wszystko.

Obserwowałam Callie raczkującą po salonie państwa McKenzie i myślałam o swoim ojcu: jakim musiał być potworem, żeby bez zastanowienia zostawić dwuletnie dziecko. Nigdy wcześniej nie miałam mu za złe tego, że mnie porzucił, ale nagle poczułam wściekłość. Odszedł sobie egoistycznie i beztrosko, jak gdyby moje życie nic nie znaczyło. Potraktował mnie jak kogoś bez znaczenia. Dopiero Curtis uświadomił mi, jaką musiał być osobą.

Wyrażałam głośno swoje potępienie, pewna, że Joyce doceni te przejawy lojalności, tymczasem ona wydawała się zmieszana, kiedy mówiłam o niewybaczalnym zachowaniu Curtisa. Przeklinałam go w myślach, wyobrażałam sobie, że doprowadzam go do łez, że się przede mną tłumaczy. Ale co właściwie miałyby mi powiedzieć?

Zimą przed drugimi urodzinami Callie Lara poroniła po raz pierwszy. Kilka tygodni później matka zadzwoniła do mnie do akademika. Była poruszona.

– Dałaś Curtisowi zdjęcia dziecka?

– Nie.

– Powiedział Larze, że ty mu je dałaś. Potwierdź, jeśli ona do ciebie zadzwoni.

– O czym ty mówisz?

– Lara znalazła zdjęcia Callie, które Curtis przed nią ukrywał. Powiedział, że przysłałaś mu do pracy. Myślisz, że znowu spotyka się z Joyce?

Joyce zaprzeczyła, kiedy ją o to spytałam. Nie widziała się z Curtisem i nie wysyłała mu żadnych zdjęć.

Po obronieniu licencjatu wróciłam do Cansdown, znalazłam pracę w przychodni dentystycznej i odłożyłam pieniądze na wynajęcie mieszkania dla siebie, Joyce i Callie. Joyce kupiła dracnę w szklanej doniczce, którą postawiłyśmy w kuchni, na pamiątkę naszych planów, aby upodobnić mieszkanie do dżungli. Zaczęłyśmy nowe życie. Cieszyłam się, że mogę pomóc. Utrzymywałam nas, zaplatałam warkocze rosnącej jak na drożdżach Callie, trzymałam małą, lepką rączkę, kiedy przechodziłyśmy przez ulicę. Moja najlepsza przyjaciółka zawsze była w pobliżu, gdy

chciałam z nią porozmawiać – siedziała naprzeciwko przy kuchennym stole i nakłaniała córeczkę do zjedzenia jeszcze jednej zielonej fasolki.

Nasza sytuacja wydawała mi się całkiem normalna – podobna do tej, w jakiej sama dorastałam. Moja mama i ciotka Bea wspólnie wychowywały mnie i Curtisa. Jednak to właśnie mama zaczęła mnie upominać, że najwyższy czas żyć własnym życiem.

– A co będzie, jeśli któraś z was znajdzie narzeczonego? – pytała, a gdy upierałam się, że ani ja, ani Joyce nie mamy na to czasu, insynuowała: – A więc to *taka* przyjaźń?

Nie było tak, jak myślała, chociaż rzeczywiście nie tęskniłam za męskim towarzystwem. Miałam rodzinę.

Kiedy Lara poroniła po raz trzeci, Callie skończyła właśnie cztery latka. Joyce zapisała się do szkoły wieczorowej na kurs dla praktykantów adwokackich. Pewnego wieczoru, gdy kładłam małą spać, zadzwonił telefon. W słuchawce długo panowała cisza. Byłam bliska przerwania połączenia, sądząc, że to jakiś telemarketer, lecz nagle usłyszałam czyjś ciężki oddech.

– Słucham? – zapytałam po raz kolejny.

– Jest u was Curtis?

Lara. Od lat ze sobą nie rozmawiałyśmy. Na pogrzebie babci wymamrotała zdawkowe kondolencje, nie patrząc mi w oczy. Pamiętała, co zrobiłam.

– Lara? Dobrze się czujesz?

– Tak... – Potem nastąpiła długa pauza.

– Nie widziałam Curtisa. Przykro mi, słyszałam o waszej stracie.

Westchnęła gwałtownie jak po otrzymaniu ciosu w żołądek. Przypomniałam sobie odgłosy, które wydawała, kiedy nie potrafiła zapanować nad jękami. Szukałam słów pocieszenia, ale nie zdążyłam ich znaleźć, bo Lara wybuchnęła:

– Ta KURWA mi to zrobiła!

Słuchawka parzyła moją rękę.

Zaczęła dzwonić regularnie, wieczorami, przynajmniej raz w tygodniu. Za każdym razem, kiedy Curtis wychodził, telefonowała do naszego mieszkania. Jeżeli odebrała Joyce, obrzucała ją stekiem wyzwisk, dopóki nie odłożyła słuchawki. Jeżeli odebrałam ja, chciała wiedzieć, gdzie jest Joyce. Domyślałam się, że Curtis ją zdradza. Czasem podejmowałam próby przekonania Lary, iż nie mamy z tym nic wspólnego. „Siedzi obok mnie”, mówiłam. Albo: „Jest w szkole”.

Joyce przewracała oczami, jeśli rzeczywiście była obok. „Wariatka”, szeptała.

Było mi żal Lary. Wiedziałam od mamy, że ostatnie poronienie zdarzyło się w pracy. Lara nie była już w stanie tam wrócić. Porzuciłam ją, kiedy dała mi drugą szansę, pomyślałam, i nie odłożyłam słuchawki, tylko usiłowałam załagodzić sytuację.

Pewnie ja również byłam samotna. Moja relacja z Joyce się zmieniła, rozmawiałyśmy głównie o Callie. Nie było już wieczornych wygłupów, żartów

i wspólnych tajemnic. Joyce odpowiadała chłodno na zbyt osobiste pytania. Stawiała nowe granice, nie rozumiałam, czemu to robi. Zaczęłam zwracać większą uwagę na drobiazgi – na przykład na to, że inaczej pachniała. Wracała późno i roztaczała woń męskiej wody kolońskiej. „Zajęcia się przedłużyły”, mówiła, kiedy pytałam, gdzie była. Albo stała w korku. Albo musiała coś przygotować w bibliotece i zapomniała zadzwonić. Pewnego razu opadła na kanapę, zarumieniona i potargana, twierdząc, że poszła po zajęciach na pizzę z ludźmi z grupy. Zmroziło mnie. Dlaczego ukrywa przede mną, że się z kimś spotyka? Ma do mnie wystarczająco dużo zaufania, żeby powierzyć opiekę nad córką, ale nie chce powiedzieć, gdzie była?

– Nigdzie. Masz jakąś paranoję.

Ciekawe, czy Curtis mówi to samo, kiedy wraca po kilku godzinach, zastanawiałam się. Lara dzwoniła do mnie wcześniej tego wieczoru. Nie wiedziałam, czy powinnam wspomnieć Joyce o jej telefonie. Chciałam sprawdzić, jak zareaguje. Nie była w nastroju do słuchania wymówek, oznajmiła, że idzie spać. Kiedy mnie mijała, poczułam ten sam piżmowy zapach, który wcześniej zwrócił moją uwagę. Słodki jak liście sałaty i świeży jak morska bryza. Męski, opiekuńczy. Pociągnęłam nosem i rozpoznałam Curtisa.

Okłamałam Callie na szkolnym parkingu. Okłamałam, tak jak i mnie wcześniej okłamano. Wmawiałam sobie, że ją chronię. Nie zrozumiałaby, powtarzałam sobie. Ona pewnie tak samo usprawiedliwiała swoje kłamstwo.

– To dlaczego to zrobił? Dlaczego się zabił?

Pomyślałam o dzwoniącym telefonie i oddechu Lary w słuchawce.

– Nawet gdybym potrafiła czytać w jego myślach, nie wiedziałabym dlaczego. Czasem ludzie sami nie rozumieją dlaczego. Można jedynie snuć domysły. Poskładać wszystkie fakty i nadal nie rozumieć.

– Podciął sobie żyły, tak?

Położyłam dłoń na jej ramieniu. Nie wiedziałam, czemu tak myśli.

– Nie, kochanie. Przedawkował leki.

Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak #9 Dla Rebekki/Od Callie

Moje życie wyglądałoby dziś inaczej, gdybym wtedy na stołówce odwzajemniła pozdrowienie Robyn. Mogłabym do niej podejść i pobawić się z Tatusiem, nie przejmując się, co ludzie pomyślą. Ale Robyn opuściła rękę. Wiedziała już, że nie podejść.

Ella zaczęła chichotać.

– Ona nosi ojca w tej torebce.

– Jego prochy – śmiała się Dallas. – Nie! Kości!

– Torba tatusinych gnatów! Dokąd idziesz, Callie?

Wyszłam na korytarz, ale przyjaciółki deptały mi po piętach. Dallas nie przestawała chichotać.

– Twoja nowa najlepsza przyjaciółka? Założyłyście klub?

– Nie znam jej. Mówiła do kogoś innego.

– Och, jakie to smutne! Dołączyłaś do Klubu Martwych Ojców? Klubu Nieżywych Tatusiów? – Dallas delektowała się każdym słowem, Ella dołączyła do niej i zawołały chórem: – Klub Zmarłych Tatusiów!

Bardzo śmieszne, naprawdę można umrzeć ze śmiechu. Nie miałam zamiaru wpadać w szal z powodu jednego żartu o zmarłych rodzicach. Uśmiechnęłam się, czy coś w tym rodzaju, pot spływał mi po plecach. To wszystko przez Robyn, przypomniałam sobie.

– To wariatka – powiedziałam bez zastanowienia. – Wierzy, że jej ojciec żyje w jakimś wyimaginowanym psie.

Ella i Dallas wybuchnęły śmiechem. Nie mogłam już cofnąć tych słów.

– Widziałaś jej bluzkę? – wydyszała Ella. – Superobciachowa.

– Chyba zapomniała włożyć stanik – dodała Dallas. – Widać jej sutki.

– Obrzydliwe i sterczące jak anteny – zgodziłam się.

10

Wiesz, czego ci trzeba? – zapytał Danny. – Powinnaś zjeść kawałek tortu. – Leżałam skulona na łóżku z telefonem komórkowym przy uchu. Chyba nie miał nic przeciwko temu, że znowu do niego zadzwoniłam. – Ja tak robię, kiedy mam podły nastrój. Znasz knajpkę U Elaine? Jeśli tam pójdziesz i powiesz, że masz urodziny, obsługa podejdzie do twojego stolika i zaśpiewa *Sto lat*. Będą się do ciebie uśmiechali, klaskali, dostaniesz darmowy deser...

– Tort mi raczej nie pomoże.

– Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz.

Wyobraziłam sobie, że wsiadam do samochodu, jadę do Cansdown i spotykam się z nim w restauracji. Przypomniałam sobie szorstki uścisk jego dłoni, restauracyjny stolik z serwetkami i cukrem w małych, różowych saszetkach. Zaczynałam przekonywać samą siebie. Może moglibyśmy zostać tylko przyjaciółmi? Gdy Callie skończy osiemnaście lat, ja będę miała trzydzieści osiem. Może Danny nikogo nieznajdzie do tego czasu. Moglibyśmy zacząć bardzo powoli: spotykać się w bistrach i kawiarniach, pić kiepską kawę.

– Chciałabym, ale nie mogę zostawić Callie.

Przez chwilę nic nie mówił.

– Też miałem problemy w szkole – odezwał się wreszcie. – Wiele razy mnie zawieszano za bójki i inne rozróby. Przypominałem chodzący wulkan, wybuchałem pod byle pretekstem. „Masz jakiś problem? Ja ci pokażę problem!” – wrzeszczałem, kiedy ktoś mnie zaczepił. W połowie przypadków wyżywałem się na postronnych osobach. Na przykład zaatakował mnie jakiś dzieciak, a ja zaczynałem ubliżać nauczycielowi.

Oczywiście wyobraźni ujrzałam chuderlawego nastolatka o kręconych włosach, wściekle wymachującego rękami. Jego zachowanie było komicznie proste i przewidywalne – w przeciwieństwie do zachowania Callie.

– To inna sytuacja. Callie nie wdaje się w bójki i nigdy wcześniej nie miała wybuchów złości. Ostatnio pytała o swojego tatę. Myślę, że wciąż przeżywa stratę rodziców.

– Ile czasu minęło? Dziewięć lat?

– Większość ludzi tego nie rozumie, ale dziewięć lat to wcale nie tak długo.

– Powiedziała ci, co zrobiła nauczycielka, zanim Callie zaczęła przeklinać?
– Twierdzi, że nie pozwoliła jej wyjść do łazienki.
– W szkole dzieją się czasem rzeczy, które świętego wyprowadziłyby z równowagi. W niektóre aż trudno uwierzyć, po dziś dzień podnoszą mi ciśnienie. A kiedy przykleją ci łątkę, już po tobie.

– Wychowałam się w Cansdown i wiem, że tam tak bywa, ale tu, gdzie teraz mieszkamy...

– Dzieciaki mają swoje tajemnice, nie o wszystkim mówią rodzicom. Zwłaszcza jeśli kombinują razem z przyjaciółmi.

Poczułam się oceniana. Danny najwyraźniej zauważył, że sobie nie radzę, i postanowił udzielić mi lekcji rodzicielstwa. Mówił tak, jakby czytał z ulotki na temat wychowywania nastolatków. Czytałam te broszury: jak uchronić swoje dziecko przed agresją kolegów, przed narkotykami, przed zaniżonym poczuciem wartości – pełne przydatnych informacji, ale nie w tym konkretnym przypadku. Nic z tego nie dotyczyło Callie.

– Przyjaciółki są jej największymi sprzymierzeńcami. Stały za nią murem i obroniły przed Robyn. – Milczał, czekając, aż podam jakieś inne wyjaśnienie. Przypomniałam sobie nasze spotkanie w jego służbówce i postanowiłam mu powiedzieć. – Wiesz, ona była ze swoją matką w chwili jej śmierci. Miała pięć lat i spała na tylnym siedzeniu samochodu. Podobno nic nie widziała. Zaczynam się jednak zastanawiać, czy rzeczywiście. Może nagle coś sobie przypomniała? Przecież hałas powinien ją obudzić? Światła, wycie syren? Wszystko rozegrało się kilka metrów od niej. Ten list od Robyn, w którym życzy jej, żeby umarła jak jej matka, mógł pobudzić pamięć.

Danny cicho wypuścił powietrze.

– Dlaczego jej nie zapytasz?

Nie rozumiał, że to niemożliwe.

*

– Gdzie jest mamusia? – zapytała Callie, kiedy Joyce była na zajęciach w szkole wieczorowej.

– Uczy się pilnie.

– Z tym panem?

– Z jakim panem? – Przykucnęłam, by spojrzeć jej w oczy.

Callie zaśmiała się uroczo i wzruszyła ramionkami. Nie umiała odpowiedzieć. Nagabywana przeze mnie, zaczęła wymieniać imiona ulubionych bohaterów kreskówek. Kiedy wspomniałam o tym Joyce, odwróciła głowę i udała, że sprząta

jakieś okruchy ze stołu.

– Ma bujną wyobraźnię – skwitowała.

– Poza tym znów dzwoniła Lara – wyznałam.

– Po co w ogóle odbierasz telefony od niej? Nie zachęcaj jej.

Joyce wrzuciła okruszki do pojemnika na śmieci i otarła pot, który skropił się na jej górnej wardze. Miała zaróżowione policzki.

– Powiedziałaś mi, gdyby coś się działo, prawda? – zapytałam.

– Jezu, Rebecca, nic się nie dzieje.

Pewnego dnia spotkałam Curtisa na stacji benzynowej w Cansdown. Zdecydowane ruchy. Imponujący pas. Przecięłam chodnik, jeszcze niepewna swoich intencji. Uderzę go czy przytulę? Zrobię awanturę za Callie? Nie widziałam go od tak dawna, nie miałam pojęcia, czy się nienawidzimy.

– Hej – zaczęłam go.

Wydawał się zaskoczony, ale mnie nie zignorował, posłał mi nawet delikatny uśmiech, a w jego głosie nie było chłodu. Twarz mu się zaokrągliła i zgolił bokobrody. Zaczęliśmy rozmawiać o jego matce, ciotka Bea miała problemy z płucami.

– Kazali jej rzucić palenie, ale znasz mamę. – Przedrzeźniał sposób, w jaki paliła, przykładając szybko dwa palce do ust. Takiego go pamiętałam. Rozpoznałam w tym mężczyźnie chłopca, z którym dorastałam. Patrzyłam w jego ciemne oczy i nie potrafiłam zrozumieć, jak to możliwe, że był zdolny do takiej podłości.

Bawiłam się kluczami w kieszeni.

– Wiesz, że Lara do nas wydzwaniała?

– Tak, słyszałem. – Kończył tankować samochód.

Napotkawszy mur obojętności, postanowiłam mocniej go przycisnąć.

– Wie, że coś jest nie tak. Powinniście uważać.

– Jasne. – Zerknął na wskaźnik dystrybutora. – To i tak tylko raz na jakiś czas.

Joyce przysięgała, że nic między nimi nie ma. To tylko spotkania z Callie. Curtis myślał, że wiem. Dlaczego najlepsza przyjaciółka utrzymywała przede mną w tajemnicy coś takiego?

– Nie byłam pewna, jak to przyjmiesz – tłumaczyła. – Zachowujesz się, jakbyś go nienawidziła. Poza tym rozmawiałaś z Larą. Nie chciałam, żebyś musiała kłamać.

Nie wspomniała o obawie przed moją zazdrością. Nie musiała.

Jak często? Gdzie? Jak?

Raz w miesiącu lody i spacer po plaży. Joyce miała jego służbowy numer, rozmawiali, kiedy był w sądzie.

– Przepraszam, Rebecca. Sądziłam, że wolisz nie wiedzieć.

A te wieczory, kiedy wracała późno do domu po zajęciach? Przypomniałam sobie jej rozwichrzone włosy i zarumienione policzki.

– Nie jestem twoją własnością. Mogę się umawiać, z kim chcę. – Najeżyła się zniecka.

W piątek po pracy kupiłam strudel malinowy, ulubione ciasto Callie. Porozmawiamy sobie przy herbacie, pomyślałam. Mijał drugi dzień zawieszenia w prawach ucznia, postanowiłam odrobinę ją przycisnąć. Bez wypytywania o przeszłość. Miałam zamiar skoncentrować się na bieżącym problemie. Wyobrażałam sobie słoneczną kuchnię i złotowłosą dziewczynkę wdzięczną swojej zaangażowanej opiekunce za troskę. Wyzna mi prawdę, uściskamy się, rozważę skrócenie dwutygodniowego aresztu domowego. Powiem, że nie jest odpowiedzialna za to, co się stało w przeszłości, jeśli o tym wspomni.

Callie siedziała na kanapie ze skrzyżowanymi nogami, jadła surową marchewkę i oglądała reality show o modelkach. Z wyraźnym zainteresowaniem – nie zerknęła na telefon ani na ekran komputera.

– Robyn zostawiła coś dla nas – oznajmiła, nie odrywając wzroku od telewizora.

Na samej górze stosu korespondencji odłożonej na szafkę obok drzwi leżała złożona na pół kartka w różową linię.

NIEDZIELA, 1 W NOCY, MOST NAD FLINT STREET, SKACZĘ.

– Gdzie to znalazłaś? – zapytałam. – Widziałaś ją?

– Nie, było w skrzynce.

Robyn musiała tu przyjść, żeby zostawić list bez koperty. Nogi się pode mną ugięły na myśl, że zna nasz adres.

– Wie, że dzwoniłam do jej matki, a więc udało jej się zwrócić naszą uwagę. – Wyłączyłam telewizor i odłożyłam ciasto. – Ale po co tu przyszła? I skąd zna twój adres?

– Może ktoś jej powiedział. Nie wiem.

– To jest nękanie. Nawet jeśli nie ma zamiaru skoczyć, chce, żebyś uwierzyła, że to zrobi. Nie widzę innego wytłumaczenia. Dlaczego teraz?

Callie otworzyła opakowanie i popatrzyła na strudel.

– Z zemsty. Żeby dać mi nauczkę.

Dać nauczkę, pomyślałam. Dobre sobie! Wylewając na siebie farbę i obwiniając Callie? Zostawiając liścik z życzeniami śmierci na grobie jej mamy? Grożąc, że skoczy z mostu? Za co? Za nieodwzajemnienie uczuć psychopatki?

– Ta dziewczyna nie będzie cię niczego uczyć – warknęłam.

Callie dźgnęła palcem ciasto, żeby się dostać do malinowego nadzienia, i popatrzyła na mnie z obawą, jakby oczekiwała bury za to, że nie wzięła noża i talerzyka.

– Ktoś musi tam pójść, na wypadek gdyby rzeczywiście zamierzała skoczyć – powiedziała niepewnie. – Na ten most, w niedzielę. Powstrzymasz ją, prawda?

– Nie. Zadzwoń do jej matki i zakończ to w tej chwili.

Wyjęłam telefon i wybrałam numer Cerise. Nagrałam wiadomość na pocztę głosowej z prośbą, żeby do mnie oddzwoniła. Po chwili zadzwoniłam jeszcze raz i powiedziałam o planach Robyn.

– W niedzielę w nocy. Niech pani nie spuszcza jej z oka.

Callie skubała strudel. Włożyła kawałek do buzi umazanymi na czerwono palcami.

– Niech pani nie spuszcza jej z oka? – powtórzyła, kiedy się rozłączyłam.

– Co w tym dziwnego?

– Brzmiałaś jak histeryczka. Ona na pewno nie potraktuje cię poważnie.

– Co mam powiedzieć? Zostawię jeszcze jedną wiadomość.

– Najlepiej użyj telepatii – mruknęła.

Na twarz wypłynął mi rumieniec. Nie znosiłam złośliwych, sarkastycznych uwag. Policzyłam do dziesięciu. Callie była po prostu zdenerwowana listem od Robyn.

– Posłuchaj, zależy mi na bezpieczeństwie Robyn, ale ty jesteś dla mnie ważniejsza. Nie chcę, żebyś się denerwowała. Nie pozwolę jej tego zrobić.

– Ale jej nie powstrzymasz?

– Właśnie powiadomiłam jej matkę.

– Nikomu na niej nie zależy – stwierdziła posępnie. – Matka jej nie pomoże. To do nas zwróciła się o pomoc. My wiemy, co zamierza.

– Przed chwilą twierdziłaś, że zrobiła to z zemsty. Nie wiemy, czy rzeczywiście planuje samobójstwo. Nie wiemy nawet, czy list napisała Robyn.

– Któż by inny? – Callie zakryła twarz puklem włosów pachnących jak cytryny w słońcu.

– Nie wiesz tego, nie widziałaś jej przecież.

– Wiem. – Jeszcze szczelniej skryła się za włosami. – Wiem, co jej zrobiłam.

Wpatrywałam się w nią bardzo długo. Może byłam głupia, naiwna. Ludzie, których kochałam, nigdy nie wzbudzali moich podejrzeń. Callie wyglądała tak samo jak zawsze, stojąc w plamach słońca. Była bardzo podobna do swojej matki.

– Co zrobiłaś, skarbie?

– Nie jestem skarbem.

Wyjęłam jej listy ze schowka w samochodzie. Otworzyłam wszystkie stare koperty z napisem „Mama”. Callie nie przybiegła z krzykiem, żeby mnie powstrzymać. Może

nie domyśliła się, co zamierzam zrobić. A może było jej wszystko jedno.

Cześć, Mamo!

Co nowego? Aha, nic. Pewnie powinnam myśleć, że imprezujesz w niebie ze zmarłymi celebrytami. Siadasz ze swoimi sławnymi przyjaciółmi przed wielkim ekranem i oglądacie sobie sceny z mojego życia. „Nieeee! Dajcie spooookój! Co z nią nie tak?!”, zaczynają krzyczeć. Ty odpowiadasz: „To nie jest moja córka! Niech ktoś zmieni kanał!”. Na pewno byś załowała, że z Twojego idealnego ciała wyszedł ktoś taki jak ja.

Odsunęłam szybę. Callie napisała te słowa w maju na swoim komputerze i wydrukowała na kolorowej drukarce. Odwiedzałyśmy Joyce z okazji Dnia Matki. Miesiąc po incydencie z farbą i odejściem Robyn ze szkoły. Odłożyłam kartkę. Potrzebowałam chwili przerwy. Następnie przejrzałam starsze listy, te z napisem „Mamusia”. Pisała w nich między innymi o papierowej sowie, którą zrobiła na zajęcia plastyczne w trzeciej klasie, i o tym, jak razem z Dallas malowały sobie paznokcie. Dość niewinne, ale nie mogłam dłużej udawać.

Wiem, że byłaś idealna – Rebecca BEZ PRZERWY mi o Tobie opowiada. Nie pamiętam Cię, więc robi wszystko, żebyś mi się dobrze wdrukowała w mózg.

Chwyciłam zamasyście kolejny list, tym razem była to stara laurka świąteczna z choinką. Callie pisała o wizycie w zoo i pingwinach. Pamiętałam ten dzień, nie chciała odejść od wybiegu, obiecałam, że niedługo przyjdziemy jeszcze raz. Posyłała im całusy na pożegnanie. Czas tak szybko minął. Nie dotrzymałam swojej obietnicy. Przeczytałam słowa sprzed czterech miesięcy:

Nawet bym Cię nie polubiła, jeżeli rzeczywiście byłaś taka, jak opisuje Rebecca. Ty byś mnie także nie lubiła, więc chyba obie mamy szczęście, że nie żyjesz.

Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak #10 Dla Rebekki/Od Callie

Od tamtego dnia wszyscy zaczęli nazywać Robyn Sterczące Sutki, Dallas się o to postarała. Wieczorem próbowałam zaczepić ją na czacie. Nie odpowiadała. Nie mogłam jej przeprosić, ponieważ nie było z nią żadnego kontaktu. Nawet na nikogo nie patrzyła.

Rebecca, zawsze powtarzałaś, że jesteś ze mnie dumna i że jestem dobrym człowiekiem. Nie byłam, ale myślałam, że pewnego dnia się zmienię: przestanę podejmować najgorsze z możliwych decyzji, zrobię coś wyjątkowego i wreszcie będę mogła być dumna sama z siebie. Stanę się tak dobra, jak wszyscy oczekują.

Wiedziałam, co powinien zrobić przyzwoity człowiek w reakcji na to, jak traktowano Robyn. Ludzie chowali ołówki pod bluzki, masowali gumki i wołali: „Sterczące Sutki! Robyn Sterczące Sutki!”. Przyzwoity człowiek nie siedziałby na swoim miejscu z chorym uśmiechem na twarzy. Przyzwoity człowiek wstałby i zaczął krzyczeć. Pacnąłby kogoś w głowę. Gdyby mi naprawdę zależało, zrobiłabym coś. Umiałabym ją ochronić. Jednak nie ruszyłam się z krzesła, miały mną sprzeczne uczucia. Nie chciałam mieć z nią nic wspólnego, a jednocześnie bez przerwy tęskniłam. Zostawiałam jej liściki w szafce, pisałam SMS-y. Patrzyłam, jak przemyka zgarbiona korytarzem w bufiastej kurtce. Zachowywałam się okropnie, ale jednocześnie ze ściśniętym sercem myślałam, co by było, gdybym nagle zmieniła front.

To się stało w kwietniu, na zajęciach plastycznych. Robyn nie miała na sobie kurtki.

– Ej, Sutki! – zawołała Ella. – Twoje sutki są takie twarde! – Pani Dimmock wyszła na korytarz nakrzyczeć na Adama Liebowitza i Robyn została bez ochrony. Tamtego dnia malowaliśmy maski, pani Dimmock otworzyła okna, żeby wywietrzyć opary farby. Robyn udawała, że nie słyszy Elli, pochyliła głowę nad swoją maską, włosy opadły jej na twarz. – Sterczące Sutki – powtórzyła Ella.

Zadrżała mi ręka, w której trzymałam pędzel.

– Czemu jesteś taka wredna? – zapytałam.

– Słucham? – Ella zeszywniała. Stałam na rozdygotanych nogach, odsuwając krzesło. Czy dam radę?, zastanawiałam się. Przyjaźniłyśmy się od tylu lat. Serce biło mi w piersi jak oszalałe, to ono kazało mi wstać. – Spieprzaj – powiedziała Ella, kiedy postawiłam pierwszy krok.

Patrzyłam na Robyn, idąc w jej stronę, i nie wiedziałam, co robię. Krew szumiała mi w uszach. Gdybym usiadła w ławce obok niej, nie byłoby odwrotu, wszyscy by się

dowiedzieli. Straciłabym Ellę i Dallas, i wszystkich znajomych, i wszystkie sekrety. Byłabym jak ryba złapana na haczyk, który sama połknęła. Trudno, pomyślałam i postąpiłam naprzód.

Robyn malowała ze spuszczoną głową, zasłaniając się jednym ramieniem. Miała na sobie białą bluzkę. Nawet mnie nie zauważyła. Podeszłam do jej ławki, czując na sobie wzrok całej klasy.

– Robyn – powiedziałam cicho. Nie spojrzała na mnie. Malowała czarne wąsy i mocno trzymała pędzel. Dwóch chłopaków coś krzyczało; spiorunowałam ich wzrokiem. Potrzebowałam krzesła, żeby usiąść. Robyn nadal na mnie nie patrzyła. Może nie słyszała? – Robyn – powtórzyłam głośniej i poczułam, że unoszą mi się włoski na rękach. Jej oczy były mokre i zimne. Otworzyła usta i poruszyła nimi. Moje policzki zrobiły się gorące, poczułam się jak raniona w brzuch. Pocisk rozdzierał wnętrzności. Stuprocentowa nienawiść. Zobaczyłam to w jej oczach. Już nigdy mnie nie pokocha. Potworny ból. Na próżno zostawiłam przyjaciółki. Co teraz zrobię? Czułam się martwa i pusta w środku, dryfowałam gdzieś daleko od rzeczywistości. Wyskoczyłam z samolotu i nieuchronnie zbliżałam się do ziemi. Nagle zdałam sobie sprawę, co trzymam w ręce. Pojemnik z farbą. – Sterczące Sutki! – powiedziałam.

Farba była jaskrawoczerwona jak świeża krew.

11

Mieliśmy niewiele czasu. Za czterdzieści osiem godzin upokorzona przez rówieśników, osierocona przez ojca dziewczynka spróbuje odebrać sobie życie, już podjęła decyzję. W przeciwieństwie do Autumn Sanger, jej historia nie zakończy się na cmentarzu pełnym zapłakanych żałobników, ale zostanie wypaczona przez media. Gdybym potrafiła przewidzieć mściwe plany zrozpaczonej nastolatki, wbiegałabym po schodach do domu, pokonując po trzy stopnie naraz.

Callie leżała w łóżku, zakrywała twarz ramieniem. Moja litość dla niej była silniejsza niż gniew i poczucie winy. Wydaje ci się, że kogoś znasz. Przyjmujesz to za pewnik. Nie zdajesz sobie sprawy, że twoje słowa mogły spowodować ból lub zwątpienie. Opowiadałam Callie o dobroci i odwadze Joyce, o tym, że kiedyś uratowała mnie z opresji. Wszystko to prawda, ale istnieje drugie dno. Jak Callie miała dorównać wyidealizowanemu wizerunkowi matki bohaterki, którym ją karmiłam? Nie była w stanie i cierpiała z tego powodu.

Odsłoniła oczy. Pokazałam jej jeden z listów i powiedziałam, że przeczytałam je wszystkie.

Nie oburzyła się na jawne pogwałcenie prywatności korespondencji, nie poderwała się z krzykiem, nie zdemolowała pokoju. Leżała, cicha i nieruchoma niczym uciekinier w swojej kryjówce.

– Naprawdę tak o sobie myślisz? Naprawdę sądzisz, że żałujemy twojego przyjścia na świat? – Jej twarz wykrzywił płaczliwy grymas, oczy wezbrały łzami. – Nigdy – zapewniłam. – Twoja mama nie była idealna i nie oczekuję, że ty będziesz. – Wzięła ode mnie chusteczki higieniczne, otarła oczy i nos, przetarła twarz ramionami. Kołysała się lekko w przód i w tył. – Muszę to od ciebie usłyszeć: rzuciłaś farbą w Robyn? – Pokiwała głową. Przypomniałam sobie, co mówiła Cerise: *Callie codziennie ją upokarza*. Nie chodziło tylko o farbę. Dziewczyna była prześladowana, przyklejono jej łatkę dziwaczki i kłamczuchy, oskarżono o to, że sama oblała się farbą, wypędzono ze szkoły. Callie sprawiła, że poczuła się bezwartościowa, a ja jej w tym pomogłam. Jak mogło do tego dojść, z jakiego powodu? Czy istnieje odpowiedź, której można być całkowicie pewnym? Nasze miasteczko, moje wychowanie, wpływ koleżanek, żałoba po rodzicach? Społeczeństwo? A może coś innego, skrytego głęboko w jej wnętrzu? Każdy z nas jest zdolny do wyrządzenia

krzywdy drugiemu człowiekowi. – Jak byś się czuła na jej miejscu?

– Beznadziejnie – powiedziała powoli. – Jakby całe moje życie legło w gruzach. – Kontynuowała, nieponaglana, z imponującą empatią: – Czułabym, że wszyscy mnie nienawidzą i wszystko, co robię, jest złe. – Mrugała i mięła chusteczki. Pozwoliłam jej na to. Chciałam, żeby zrozumiała rozpacz, która musiała rozdzierać Robyn. – Czułabym się upokorzona i chciałabym umrzeć.

– Zasłużyłabyś na to?

– Nie. – Callie połykała łzy. Sprawiała wrażenie szczerze zrozpaczonej. Wcześniej mnie okłamywała, ale teraz byłam gotowa przysiąc, że nie udaje. Matczyny czy nie, instynkt mnie nie mylił. Jej żal był prawdziwy i cieszę się, że w to nie zwątpiłam. Chciałam ją przytulić, zapewnić, że nie jest złym, okrutnym człowiekiem. Że popełniła błąd i że razem go naprawimy. Tylko jak można coś takiego naprawić? A świadkowie? Czy Callie zmusiła ich wszystkich do kłamstwa? – Nie ja. Moje przyjaciółki ich poprosiły.

Obie byłyśmy za to odpowiedzialne. Przypomniałam sobie zapłakaną buzię Callie tamtego dnia, kiedy zadzwoniła do mnie pani Jameson. Odczułam wielką ulgę, kiedy okazało się, że nikogo nie dręczyła. Wierzyłam w każde jej słowo. Opowiadałam wersję Callie i jej przyjaciółek każdemu, kto chciał słuchać. Spierałam się z panią Jameson. Wytykałam drobne nieścisłości: farba, nie atrament. Ścisnęło mnie w dołku na wspomnienie jeszcze jednej osoby. Uczennicy, która zeznawała na korzyść Robyn. Lucinda Berry. Wycofała się dzień po tym, kiedy Callie odgadła, że to ona. Chciałam wydobyć z niej każdy szczegół, każdą niegodziwość, ale wtem uniosła do góry zaczerwienioną twarz i powiedziała, że się przyjaźniły. – Ja i Robyn. – Wpatrywałam się w nią ze zdumieniem. – Nikt o tym niewiedział – szepnęła. – Pisałyśmy do siebie na czacie, ale potem mnie zablokowała.

– Pisałaś do Robyn? – Potwierdziła. Czekałam na jakiegokolwiek oznaki kłamstwa: wahanie, rumieńce, płatanie się w zeznaniach. Ale jeśli mówiła prawdę? Robyn wiedziała, gdzie leży Joyce. Przyszła pod nasz dom, żeby zostawić wiadomość dla Callie. Może pisała do niej, ponieważ istotnie coś je łączyło? Zerwana przyjaźń. Powód do troski. – Muszę zobaczyć tę korespondencję – zdecydowałam. – Wszystko. I usłyszeć całą historię od początku do końca.

– Mam mętlik w głowie. Nie wiem, czy będę potrafiła wypowiedzieć wszystko na głos.

– Napisz mi. Zaczynaj od początku.

Przez cały weekend usiłowałam się dodzwonić do Cerise, zostawiałam jej coraz bardziej rozpaczliwe wiadomości. „Próbuję tylko pomóc. Przepraszam za zachowanie Callie. Obu nam zależy, żeby Robyn nic się nie stało”. Trudno sobie wyobrazić ogrom

nieszczęścia, bólu i spustoszenia, jakie spowodowałyby samobójstwo Robyn. Bezmyślnie zniszczone młode życie, bez żadnego powodu. Zdruzgotana rodzina. Wszystko przez zdradę przyjaciółki. Nie żebym tego nie rozumiała. Zdrada przyjaciela rani najgłębiej. To straszne, kiedy osoba, która twierdziła, że kocha, zaczyna kłamać i traktować cię jak śmiecia. Bez niej umyka grunt spod nóg. Tracisz zaufanie do samego siebie, wiarę w cokolwiek. Przypomniałam sobie rozstania, ostatnie chwile, ostatnie tchnienia. Chciałam chwycić Robyn w ramiona i wyjaśnić, że wszystko minie, nic nie trwa wiecznie. Pozna nowych przyjaciół, przestanie boleć, odnajdzie siebie na nowo. Wciąż nagrywałam chaotyczne wiadomości dla Cerise, ale ona nie oddzwaniała.

Bezpieczeństwo Robyn to jedno, lecz martwiłam się również o Callie. Gdyby Robyn odebrała sobie życie, Callie zostałaby obarczona niewyobrażalnym poczuciem winy. Grzechy dzieciństwa nie powinny rzutować na całe życie. Chwila bezmyślnego okrucieństwa nie powinna na zawsze zmieniać tego, kim się jest. Callie bardzo skrzywdziła swoją przyjaciółkę, ale nie mogła wiedzieć, że sprawy zajdą aż tak daleko. Że Robyn znajdzie się o krok od śmierci, a jej własna przyszłość stanie pod znakiem zapytania.

W sobotę chodziła po domu, roztaczając zapach kokosów, wyjadając płatki prosto z pudełka i drukując wiadomości od Robyn. Wydawała się otrzeźwiona i świadoma powagi sytuacji. Wręczyła mi dwie pierwsze strony, lekko pochyliwszy głowę. Zerknęłam na tytuł: „Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak”. Przeczytałam opis ich pierwszego spotkania przed gabinetem szkolnego psychologa. Robyn zaczęła płakać, a Callie otarła jej łzy. Przez sekundę zwątpiłam. Callie nie wytarłaby przecież łez z twarzy obcej dziewczyny. Bardzo podobne do historii, które opowiadałam o Joyce. Moje wątpliwości stopniowo zaczęły się rozwiewać po lekturze pierwszej wymiany zdań na czacie. Dzieciaki połączyło trudne doświadczenie: strata rodziców. Rozmowy z grudnia na pewno nie były sfalszowane.

Pomarańczowe klapki Callie zastukały o podłogę, kiedy szła ze swojego pokoju do kuchni. Nie słuchała żadnej muzyki. Nie poprosiła o włączenie telewizora.

– Nadal wszystko porządkuję – powiedziała. – Jej mama oddzwoniła? – Pokręciłam głową. Mogłam tylko mieć nadzieję, że Cerise potraktuje poważnie moje ostrzeżenia. Albo wiezie Robyn do szpitala, albo kasuje wiadomości, pomyślałam. – Może powinniśmy tam pojechać? – zaproponowała Callie.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Ale ja chcę ją przeprosić. Zobaczyć się z nią, zanim będzie za późno.

Jechałyśmy przez zabytkową dzielnicę Pembury, mijałyśmy rzędy budowli z epoki wiktoriańskiej, w których co roku w grudniu, w okolicach świąt, organizowano

zwiedzanie przy świecach. Następnie wjechałyśmy w krętą, wąską dróżkę. Przejeżdżałyśmy obok gospodarstw z czerwonej cegły, wyremontowanych za miliony dolarów. Minęłyśmy pojedyncze stado krów, które pasły się na przydrożnej łące. Zwolniłam na małym moście nad Flint Street.

Robyn mieszkała w białym, parterowym domu na peryferiach. Na trawniku leżały pożółkłe liście. Weszłyśmy na ganek, nacisnęłam dzwonek. Callie zagryzała kciuk i trzymała się blisko mnie. Nerwowo przebierała nogami. Drzwi pozostały zamknięte. Nic nie widziałam przez zasunięte zasłony, ze środka nie dobiegał żaden odgłos.

– Nie ma ich. – Callie zmarszczyła czoło i naciągnęła na twarz kosmyk włosów.

Zastukałam pięścią.

– Pani Doblak! Robyn! – zawołałam.

Po raz kolejny wybrałam numer Cerise: „Callie przyznała się do wszystkiego i chce przeprosić Robyn. Chcemy się upewnić, że Robyn nic nie grozi”.

Callie objęła się ramionami i zadrżała.

– Zawiadomiłaś policję? – spytał Danny. W tle słyszałam odgłosy ruchu ulicznego. Odebrał telefon w pracy, był na zewnątrz.

– Obiecali wysłać patrol do jej domu, ale ja wiem, że tam nikogo nie ma. Właśnie stamtąd wróciłam. Chyba nie potraktowali mnie poważnie.

– Sprawdziłem grób twojej przyjaciółki. Nie pojawiło się nic nowego. – Opowiedziałam mu o przyjaźni Callie z Robyn. Byłam już po lekturze pierwszych pięciu interakcji i nerwowo obserwowałam rozwój tej znajomości. Callie skłamała, wymyśliła historię, która nigdy nie miała miejsca, i przywłaszczyła sobie przydomek Joyce: Demon McFrenzy. Twierdziła, że zmęczona litością bliskich wylała na siebie butelkę keczupu i tańczyła wokół naszej choinki, udając czcicielkę szatana. Zmieniła cały wydźwięk opowieści. Nikogo nie ratowała. Poprzekręcała fakty, aby wydać się nieobliczalna. A może czegoś nie zrozumiałam. Być może ratowała siebie. I Robyn – okazując zrozumienie. Naturalnie Robyn jej uwierzyła. Dlaczego miałyby wątpić? Pozazdrościła Callie fantazji i odwagi, poczuła z nią więź. Dziewczęta już takie są – chcą być do siebie podobne, dzielić się tymi samymi przeżyciami i narzekać, że reszta świata ich nie rozumie. Czy to dobrze, że mogły się spotkać w tym wymyślonym, wirtualnym świecie, gdzie przedstawiały się takimi, jakimi chciały być? Rozmowy wyraźnie służyły Robyn, przynajmniej na początku. Święteczna opowieść Callie rozweseliła ją, kiedy była przygnębiona. Potem, kiedy zaczęła mówić o samobójstwie, Callie zamieniła się w jej terapeutkę. Dzięki niej Robyn wyszła z łóżka. Poczułam wielką dumę, ale po chwili przypomniałam sobie, co nastąpi później. Callie pomogła, by za chwilę boleśnie zranić. Zaatakowała przyjaciółkę. Trzeba coś zrobić. Co ja mogłam zrobić? Danny odchrząknął. – Pojechać z tobą na ten most? – zapytał.

Już myślałam, że nigdy tego nie zaproponuje.

Jak powstrzymać czternastolatkę przed skoczeniem z mostu? W niedzielę wieczorem spotkałam się z Dannym na parkingu restauracji nieopodal Flint Street. Przywiózł latarki i termos z kawą. Miał na sobie krótką kurtkę z postrzępionymi rękawami. Callie chciała jechać z nami, ale zdecydowałam, że lepiej będzie, jeśli zostanie w domu. Nie chciałam, żeby była świadkiem jakiejś dramatycznej sceny.

Danny pojechał swoją ciężarówką za moim samochodem. Zaparkowaliśmy na poboczu drogi i ruszyliśmy w stronę mostu. Minęła północ, na zewnątrz panował chłód. Szłam tuż za Dannym wąskim chodnikiem. Minął nas samochód, wznecając kurz. Danny nie miał dziś swojej czapki z daszkiem, jego potargane, brązowe loki pachniały dymem, kiedy podawał mi termos. Przystanęliśmy na środku mostu i spojrzeliśmy w dół. Co najmniej dziesięć metrów, żadnych barierek ochronnych. Pod nami mijały się samochody z włączonymi światłami, ale my i tak niewiele widzieliśmy. Przestraszyłam się, że Robyn już gdzieś tam leży. Mogła przecież zmienić zdanie albo skłamać w liście i rzucić się pod samochód na naszych oczach.

– Jak ją powstrzymamy?

– Ty staniesz po jednej stronie wiaduktu, ja po drugiej – powiedział Danny.

– Zawołasz mnie, jeśli ją zobaczysz?

– Tak. I sam postaram się ją uspokoić.

– Nie wiem, jakiej jest postury i czy zdołam ją przytrzymać.

– Zawołaj mnie, przybiegnę i pomogę. – Upiłam łyk gorącej, gorzkiej kawy. Danny zrobił to samo i otarł usta dłonią. Najwyraźniej wyczuł, że na niego patrzę, ponieważ nagle pochylił się w moją stronę. Niebo było bezgwiezdne, ale dostrzegłam w powietrzu białą chmurkę jego oddechu. – Czujesz się odpowiedzialna? – zapytał.

– Tak, Callie wyrządziła jej krzywdę.

– Nie powinnaś się obwiniać, niezależnie od tego, co nastąpi.

Dotknął ustami moich ust. Tylko na sekundę. Od lat nikt mnie nie pocałował. Usta kojarzyły mi się z pracą: zębami, dziąsłami, nalotem bakteryjnym. Usta Danny'ego były gorące i lekko kwaśne. Dotknęliśmy się nosami, poczułam łaskotanie na wargach. Odsunął się i bez słowa odszedł na drugą stronę wiaduktu.

Zasygnalizował latarką, że po jego stronie wszystko w porządku. Odpowiedziałam, jedną ręką wciąż dotykając warg. Odczuwałam przedziwny spokój, patrolując swój odcinek mostu, oświetlając latarką zacienione zakamarki. Miałam wrażenie, że czas zatrzymał się na moment. Srebrna wskazówka zegarka stanęła w miejscu, zanim ponownie zaczęła odmierzać sekundy. *Wiesz, gdzie jest Twoje dziecko? Wiesz, kim jest? Do czego jest zdolne? Czy zdązysz je uratować?* Rozmasowałam ramiona, czekałam na przyjscie Robyn. Nie miałam pojęcia, co jej powiem. Nigdy nie

spotkałam tej dziewczyny, a ona nie wiedziała, kim jestem. Będę musiała się przedstawić. Przeprasić: za Callie, za incydent z farbą. Powiedzieć, że ją rozumiem – znam smak samotności i rozpacz, wiem, jak to jest, kiedy zdradzi przyjaciela. Można zatracić zdrowy rozsądek.

Wieczorem podczas kolacji rozmawiałam z Callie o Robyn. Obiecała, że kiedy wrócę, będzie miała dla mnie gotowe i wydrukowane sprawozdanie. Nie wiedziałam, co poprzedziło pierwszy atak na Robyn. Relacja urywała się na zeszłorocznych świętach. „Chce się zemścić”, stwierdziła Callie. „Wskazać nas palcem jako morderczynie. Nigdy o niej nie zapomnimy. Na zawsze będzie częścią nas. Jak Autumn Sanger”. Zadrżałam, przypominając sobie, że przywołała tamtą historię już wcześniej – kiedy znalazłyśmy pierwszy list Robyn na grobie Joyce. Autumn została zabita przez osoby, które ją dręczyły, oznajmiła wtedy. „Nie pozwolę jej skoczyć, więc nikt nie zostanie wskazany palcem jako morderczyni”, obiecałam.

Czekałam na Robyn i obgryzałam koniuszek kciuka. Spojrzałam ze strachem w dół, żeby sprawdzić, czy jej ciało nie leży na drodze. To mogło się stać w mgnieniu oka. Nie zawsze ktoś zdoła zauważyć we właściwym czasie. Niekiedy ludzie tracą wszystko, zanim się zorientują, co mają do stracenia. Mimowolnie pomyślałam o Joyce. Przyjaciółce, którą zdradziłam, a potem utraciłam.

Tamtej nocy, kiedy zginęła Joyce, zadzwoniła do mnie Lara.

– Rebecca? Curtis do ciebie dzwonił? – zapytała zdezorientowana.

– O, cześć, Laro. – Nie wiedziałam, co powiedzieć. Joyce i Callie wyszły dwadzieścia minut wcześniej na spotkanie z Curtisem. Po raz pierwszy zrobiły to otwarcie, nie musiały się przede mną ukrywać. Joyce pospieszała Callie przy wkładaniu butów, mówiąc przez niewidzialne walkie-talkie: „Agentko Callie?”. Imitowała trzaski na linii. Poczułam się odtrącona i porzucona.

– Czy dzwonił do ciebie mój mąż? – naciskała Lara.

– Nie. Dlaczego?

– Nacisnęłam *redial* i połączyłam się z tobą.

– To pomyłka, nie rozmawiałam z nim od wieków.

– Jest Joyce?

– Oczywiście. – Natychmiast pożałowałam tego zapewnienia. Powinnam była powiedzieć, że wyszła po mleko.

– Daj mi ją do telefonu.

– Nie może teraz podejść.

– Nie może? Co robi?

Spanikowałam. Odłożyłam słuchawkę. Nigdy wcześniej nie przerwałam w ten sposób rozmowy z Larą. Telefon znów zadzwonił. I jeszcze raz. Zdałam sobie sprawę,

że dla niej to dowód kolejnej zdrady. Położyłam się na kanapie, przeklinając własną głupotę. Wreszcie odpuściła. Myślałam, że już po wszystkim. Po piętnastu minutach ktoś zadudnił do frontowych drzwi.

W progu stała Lara, trzymając się za brzuch. Popatrzyła na mnie zaczerwienionymi od płaczu oczami, jej twarz wykrzywiał grymas rozpaczy. Głos jednak miała mocny i gorzki jak czarna kawa.

– Kłamałaś, prawda? Pojechała się pieprzyć z Curtisem.

Zgięła się w pół, jakby wymiotowała. Wydała z siebie bolesny skowyt. Rzuciłam okiem na nasz na w pół oświetlony korytarz. Spodziewałam się, że sąsiedzi zaczną narzekać na hałas, ale wszystkie drzwi pozostały zamknięte. Skowyt przeszedł w jęk. Z wahaniem wyciągnęłam rękę, chcąc dotknąć jej przetłuszczonych włosów, ale powstrzymałam się. Lara wyglądała, jakby miała za sobą nieprzespaną noc.

– Nie, Laro, posłuchaj...

Popatrzyła na mnie.

– Co ja ci takiego zrobiłam?

Ta piękna dziewczyna, którą kiedyś podziwiałam, przyszła do mnie po pomoc, zgięta w pół, jakby ktoś ją postrzelił.

– To nie tak, jak myślisz – zapewniłam, zagradzając jej drogę do mieszkania.

– Nigdy mnie nie lubiłaś. Udajesz moją przyjaciółkę, żeby mogli mnie dalej oszukiwać. Tak jak poprzednim razem.

Lara sięgnęła do kieszeni, rozpoznałam ten gest. Wyjęła paczkę papierosów i niezdarnie próbowała wyłuskać jednego. Bluzka, którą miała na sobie, była rozdarta na szwie. Pstryknęła zapalniczką i głęboko się zaciągnęła.

– Mylisz się. Wyszła tylko po mleko.

– Do którego sklepu?

– Nie wiem. Tu nie wolno palić.

– Poczekam na nią.

Popatrzyła złowrogo, nie zgasiła papierosa. Zastanawiałam się, co zamierza zrobić, kiedy wróci Joyce. Jak zareaguje na widok Callie? Trochę ją rozumiałam – kiedy widziałam, że Joyce coś przede mną ukrywa, snułam podejrzenia sto razy gorsze od rzeczywistości. Wiedziałam, co czuje Lara, i mogłam jej bez trudu pomóc. Ale obiecałam dochować tajemnicy.

– Myślę, że zaszło jakieś nieporozumienie. – Odchrząknęłam. – Wejdiesz na chwilę? – Poszła za mną, rozsypując popiół i potykając się o dywan. Poruszała się jak zwierzę zamknięte w klatce. Popatrzyła na poplamioną, brązową kanapę, na gumowce Callie stojące przy drzwiach. Zaciągnęła się dymem, usłyszałam zduszony odgłos podobny do czkawkki. – Nie sypiają ze sobą. Zabrała Callie – powiedziałam. – Sądzisz, że pojechałaby z dzieckiem na schadzkę?

Stałyśmy obok kanapy, Lara nie zamierzała siadać. Podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Callie nie ma w domu? – Pokręciłam głową, wskazując pustą sypialnię. – I tak mnie zdradza. – Lara opadła na kanapę. Wtedy powiedziała coś strasznego. Później powątpiewałam, czy mówiła serio. Znała mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, jak mną wstrząsnąć. Pamiętała moje hiacyntowe dni, znała moją słabość. – Zabiję się – oświadczyła, po czym opisała linę, której zamierza użyć. – Chcę, żeby mnie znalazł martwą obok naszego łóżka.

Uwierzyłam w melodramatyczne oświadczenie Lary. Wierzyłam, że pojedzie do domu i to zrobi: zawiąże sobie sznur na szyi, wejdzie na krzesło. Pomyślałam o Autumn – jak bardzo pragnęłam ją uratować, kiedy nieszczęście nieznanym dziewczyny wyciekło niczym toksyczny gaz i wniknęło w moje życie. Czulałam mocne kołatanie serca. Możliwe, że Lara działała z premedytacją – dawała mi ostatnią szansę, jeszcze mogłam ją uratować. Naprawdę sądziła, że mogę uratować kogokolwiek? Że jestem w stanie rozsupłać węzeł, który właśnie zaciskała nam obu na szyi?

Robyn się spóźniała. Może matka zatrzymała ją w domu? Było już piętnaście po pierwszej. Wskazówki zegara mknęły naprzód, podczas gdy ja patrolowałam wiadukt, oświetlając latarką krzaki. Może obserwuje nas z ukrycia, czeka, aż sobie pójdziemy, myślałam. Nie mogliśmy przecież spędzić tu całej nocy. Musiałam zachować cierpliwość. Jak czułaby się Callie, gdyby Robyn popełniła samobójstwo? Ja nadal nie wybaczyłam sobie tego, co spotkało Joyce. „Nie zdradza cię, odwiedza Callie. Zabiera ją na lody i spacer po plaży, nic więcej”.

Po wyjściu Lary otworzyłam wszystkie okna, usiłując pozbyć się ciężkiej atmosfery, która uparcie trwała w powietrzu. Uwierzyła mi. Rozpłakała się. Przestała mówić o odebraniu sobie życia. Przyznałam jej rację – powinni byli powiedzieć, zamiast kombinować za jej plecami. Poczęstowałam ją herbatą, a ona ją wypila. Potem postanowiła wrócić do domu i odpocząć, tak mi powiedziała. Odprowadziłam ją wzrokiem.

To był parny, wrześniowy wieczór. Parking na plaży pękał w szwach. Z otwartych okien samochodów sączyła się muzyka, ludzie wdychali z lubością słońce, morskie powietrze. Curtis i Joyce nie zwrócili uwagi na mijającego ich niebieskiego chevroleta, zajęci trudnym zadaniem zapakowania śpiącej Callie do samochodu. Zasnęła po wyczerpującej godzinie na placu zabaw z buzią lepką od lodów. Curtis zapiął małą w foteliku i nachylił się, żeby ją pocałować. Lara obserwowała tę scenę z krwawiącym sercem. Oto jej mąż i jego dziecko – dziecko, którego ona nie mogła mu dać. Oto kobieta, która urodziła mu córkę. Okazywał dziewczynce czułość, za jaką tęskniła Lara i której miała nigdy nie doświadczyć. Nie miała do niej dostępu. To było gorsze niż zdrada. Odruchowo zacisnęła obie ręce na swojej szyi. Postanowiła ze sobą skończyć. Ale zamiast pojechać do domu i odszukać linę, nacisnęła pedał gazu.

Pierwsza trzydzieści. Sięgnęłam po telefon. Nagle ogarnęła mnie silna potrzeba zadzwonienia do Callie. Pragnęłam usłyszeć jej głos i powiedzieć, że może iść spać. Robyn nie pojawiła się na moście. Zapewne czekała z niepokojem na wieści, martwiąc się o koleżankę. Nie odbierała telefonu stacjonarnego. Spróbowałam ponownie. Zadzwoniłam na telefon komórkowy, nie spuszczaając wzroku z wejścia na wiadukt. Bez odpowiedzi. Napisałam SMS-a. Żadnej reakcji. Kiedy nasza domowa sekretarka odezwała się po raz czwarty, poczułam niespokojne kołatanie serca. A jeżeli Robyn specjalnie mnie tu zwabiła, żeby Callie została sama? Wysłałam latarką sygnał SOS do Danny'ego.

- Muszę jechać do domu! – krzyknęłam. – Callie nie odbiera telefonu.
- Chcesz, żebym pojechał z tobą?
- Nie. Zostań.

Wszystko się zmieniło w mgnieniu oka. Biegłam do samochodu, nieustannie próbując dodzwonić się do Callie.

Kiedy Lara w nich wjechała, Callie spała bezpiecznie w foteliku. Nie chcieliśmy, żeby wiedziała dokładnie, co się stało. Nie chcieliśmy, żeby wyobrażała sobie ojca szybującego w powietrzu i matkę wykrwawiającą się na asfalcie. Bezpieczna w samochodzie, śniła o wrózkach i lodowych deserach. Nie mogliśmy pozwolić, aby czuła się winna. Nie mogliśmy powiększyć jej koszmaru. Curtis w szpitalu, a Joyce... Jak mogłam to powiedzieć?

Usiłowałam przypomnieć sobie, jak wyglądała, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Czy się uśmiechnęła, może mrugnęła? Pomachała mi i wypowiedziała moje imię, odrzucając złote włosy? Nie pamiętałam tego pożegnania, wyrazu twarzy Joyce ani jej ostatnich słów skierowanych do mnie. Wspominałam sceny, które odgrywaaliśmy przed laty na moim podwórku. Śmierć Joyce, moja rozpacz.

Odwiedziłam Curtisa tylko raz. Bałam się spotkania z nim. Bałam się, że się rozpadnę: straciłam ich wszystkich. Patrzyłam na swojego obrońcę z lat dziecięcych, posiniaczonego, całego w bandażach, i nie potrafiłam mu wyznać, co zrobiłam. Myślałam, że znam Larę – nie przyszło mi do głowy, że może być niebezpieczna. Ona znała mnie lepiej – zastosowała podstęp. Curtis był w złym stanie fizycznym i psychicznym. Nigdy mu o tym nie powiedziałam. Być może gdybym wtedy się przyznała, obwiniałby mnie zamiast siebie. Opowiedziałam mu o pogrzebie Joyce, spytałam, czy ból mu bardzo dokucza, powiedziałam, że rodzice Joyce zajęli się Callie. Obiecałam, że jeszcze przyjadę, ale już nie zdążyłam. Po wyjściu ze szpitala zamieszkał u ciotki Bei. Był coraz bardziej przygnębiony, nie umiał się pogodzić z faktami. Żona próbowała go zabić, czekało ją więzienie. Naraził życie swojej córeczki. Joyce nie przeżyła.

Pewnego dnia Curtis wszedł do łazienki i połknął całą zawartość fiolki z tabletkami przeciwbólowymi.

Wbiegłam po schodach, otworzyłam drzwi naszego mieszkania i zawołałam Callie. Panowała cisza, w powietrzu unosił się zapach chryzantem. Wpadłam do jej pokoju i uniosłam kołdrę, chociaż widziałam, że łóżko jest puste. Prześcieradło leżało na podłodze, ale jej nie było. Biegałam jak opętana od pomieszczenia do pomieszczenia.

– Callie! Callie! O mój Boże! – wyłam rozdzierająco.

Nie było jej. Nie było jej w domu. Zniknęła. Została uprowadzona. Po raz kolejny znalazłam się w potrzasku, z każdą sekundą coraz bardziej osaczona.

Omam nie przegapiłam telefonu leżącego na podłodze, na korytarzu przed wejściem do mojego pokoju. Podniosłam go.

Pod telefonem leżała pojedyncza kartka. Zaszeleściła złowieszczo.

Czerwony atrament, różowe linie.

Przepraszam, Rebecco. To byłam ja. C

CALLIE

Pod wodą nie rozpoznałabym swojego imienia. Zabrzmiałyby jak cokolwiek: rechotanie żaby, rybi śpiew, szum liści.

Być może wydałoby się znajome: niczym dawno zapomniane przezwisko z dzieciństwa. Albo sprzed sekundy, ponieważ imiona znikają pod wodą.

Mogłabym usłyszeć, że mnie wołasz, jednak utonąłabym tak czy inaczej. Przecież nie potrafię pływać.

W stawie za domem Elli wszystko tonie w mule: liście, robaki, grzyby, rybie ości, ptasie szkielety, pleśń i piasek. Wtedy, w lipcu, stałam w płytkiej wodzie, ze stopami zanurzonymi w błocie, podczas gdy Dallas i Ella urządzały zawody. Dmuchałam w srebrny gwizdek i obserwowałam, jak przecinają wodę ramionami. Ella wygrywała, ona zawsze wygrywała. Była kapitanem szkolnej drużyny pływackiej, na jej półce w rzędzie stały trofea, które podzwaniały, kiedy się w nie pstryknęło. Wzbijała nogami pianę, a kiedy dopłynęła do kuli ze styropianu oznaczającej metę, zaczęła na Dallas, swobodnie unosząc się na powierzchni.

Nigdy nie przypływały do mnie od razu. Obserwowałam z brzegu ich zabawę. Moje stopy zapadały się w muł pełen zwierzęcych szczątków, czekałam, aż skamienieję. Moje ciało zamieni się w syrop, a szkielet w kamień, utonę w błocie.

– Musisz się nauczyć przynajmniej utrzymywać na powierzchni – zdecydowała Ella, kiedy wreszcie podpłynęły do brzegu.

Zmarszczyła nos i popatrzyła zachęcająco. Ponieważ znałam ją od zawsze, weszłam do wody, zanurzając się po pas. Ella przemierzała szkolne korytarze niczym modelka wybieg, wyprostowana jak struna, z naburmuszoną miną stąpała w takt muzyki, którą słyszała tylko ona. Teraz jednak pozwalała łagodnie kołysać się wodzie.

Kazała mi się położyć. Woda wsysała mnie w swoją otchłań, ręce koleżanek wypychały w górę. Nade mną bezkresne niebo, w uszach głośny szum.

Wydawało mi się, że słyszę śmiech.

– Ruski mop.

– Co? – Uniosłam się niezgrabnie.

– Rozluźnij się.

Opuściłam głowę. Ella podtrzymywała mnie od dołu, dryfowałam coraz dalej od brzegu. Czułam się ogromna, a jednocześnie lekka jak piórko: kra lodowa, arka, wodorost dryfujący w słońcu. Przecinałam palcami powierzchnię wody pełnej żywych organizmów. Niebo odbijało taflę, tafla odbijała niebo. Ella uśmiechnęła się do mnie. Niemal zasypiałam, kiedy zabrała rękę.

Zaczęłam miotać się rozpaczliwie, szukałam nogami dna, krztusiłam się. Tonąłam.

Ella była już daleko.

– Musisz do nas podpłynąć – zawołała Dallas.

Dławiłam się, nie umiałam utrzymać głowy na powierzchni, słyszałam potworny szum w głowie, trzepotałam ramionami. Krzyk zamarł mi w ustach, panika odebrała władzę w nogach, zapadałam się. Połykałam wodę. Głęboko, głębiej, najgłębiej.

Dallas i Ella nie przestawały się śmiać. Nagle trafiłam na coś stopą. Dno. Wstałam i ruszyłam w stronę brzegu, wypluwając brudną wodę.

– Ella! – krzyknęłam.

Odwróciła się plecami, wstrząsana spazmami śmiechu.

Odbiło mi się wodą. Dallas patrzyła na mnie spod zmrużonych powiek.

– Pływasz jak kupa niemowlaka.

– Kupa niemowlaka! – Ella zanosila się ze śmiechu. Dallas zacisnęła powieki i zrobiła minę, jakby usiłowała przeć.

Nie wiedziałam, że to do mnie przyłgnie. Kupa niemowlaka. Tak mnie nazywały. Tym się stałam.

Nie pojechałam do domu. Położyłam się na ziemi wśród dmuchawców, mrówek i kurzu. Ella i Dallas poszły do piwnicy po trzy butelki bacardi breezer. Słodki napój syczał w żołądku, a kiedy świat zaczął wirować, zaciskałyśmy dłonie na trawie, żeby nie poszybować przez chmury w kosmos. Pomachałam nogami w powietrzu. Ella chwyciła moją stopę i popatrzyła na drobne, białe palce.

– Masz stópki jak noworodek.

Przez chwilę poczułam się normalnie. Dallas wskazała na wpół opróżnioną butelkę.

– Wolisz mleko, Kupo Niemowlaka?

Czym prędzej upiłam łyk alkoholu. Dallas miała talent do wymyślania przezwisk, które ludzie potem podchwytywali. Potwór Łonowy, Podwójny Kapucyn z Serem, Kostropaty Cyc, Sterczące Sutki. Powtarzała z uśmiechem, patrząc delikwentowi w oczy, póki inni nie zaczęli brać z niej przykładu. Tata Dallas prowadził autorską audycję radiową. Kiedy była mała, wyemitował nagranie, na którym opowiadała o tym, że rzucamy w sąsiada czereśniami. Nazwała Aleksa Pendersa prosiakiem, który zjada psią karmę. Rozdzwoniły się telefony od zachwyconych słuchaczy, ludzie uważali ją za okropnie zabawną. Od tego czasu mówił o niej co tydzień. Chociaż nikt z naszych znajomych nie słuchał radia, Dallas twierdziła, że jej ojciec ma ponad milion słuchaczy, że fani ściągają sobie podcasty, więc za każdym razem, kiedy mu o czymś opowiada, mogą o tym usłyszeć miliony.

Na przykład w siódmej klasie miałyśmy koleżankę, Josie Dixon, której wyrastały na podbródku pojedyncze czarne, grube, kręcone włoski.

– Broda ci rośnie – stwierdziła Ella. – Kobieta z brodą potrzebuje maszynki do golenia.

– Kloszard Joe – zawyrokowała Dallas. Przezwiśko pasowało tak doskonale, że

przyjęło się natychmiast i rozniosło w internecie.

Za każdym razem, gdy Kloszard Joe wchodziła do klasy, na jej krześle stał papierowy kubek wypełniony drobniakami. Pewnego razu Dallas włożyła do niego banknot dolarowy z notatką: „Wyrwij pęsetką albo woskiem. Pozbądź się włosów łonowych z twarzy!!!”. Kloszard Joe zlikwidowała wreszcie obrzydliwe włosy, ale było już za późno. Podkładaliśmy jej żyletki i kremy do depilacji.

Josie naskarżyła na Dallas jednej z nauczycielek, ale Dallas doskonale wiedziała, jak to rozegrać. Błękitne oczy mokre od łez, drżące usteczka, uosobienie niewinności. Nie została nawet za karę po lekcjach.

– Słuchaj audycji mojego taty – powiedziała potem do Josie. – Niedługo dostaniesz pozdrowienia.

Niebawem rozeszła się wieść, że Kloszard Joe zmienia szkołę.

– Szacun – powiedziałam, uderzając w uniesioną dłoń Dallas.

– Pełny szacun! – potwierdziła Ella i zakręciła biodrami. Poczucie winy było niedozwolone.

PM – tak nazywałyśmy naszą trójcę. Podwójne Miecze. Każda z nas miała w swoim imieniu po dwa ostre szpikulce: DaLLas, ELLa, CaLLie. Nikt rozsądny z nami nie zaczynał. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby wyśmiewać się z Elli, kiedy zaplamiła spodnie krwią podczas miesiączki. Nikt nie parsknął śmiechem, kiedy podczas gry w siatkę źle zaserwowałam i piłka upadła mi za głowę. Ktoś mi ją po prostu podał. Kiedy brygada PM maszerowała korytarzem, szaraczki zamierały ze strachu i podziwu. Mogłyśmy wszystko. Kto o tym nie wiedział – szybko dostawał swoją lekcję. Wystarczy zapytać naszą klasę, naszych nauczycieli. Szkolną sekretarkę.

Na zakończeniu ósmej klasy Ella zgubiła swój szkolny album. Podobnie jak ja i Dallas spędziła cały ranek na zbieraniu podpisów innych popularnych dzieciaków, a nawet kilku takich sobie. „Wpisz mi się”, mówiła. Potem czytałyśmy, by sprawdzić, czy ktoś napisał coś ciekawego.

Nauczyciele włączali filmy, których nikt nie oglądał. Chodziliśmy między klasami, ćwiczyliśmy rozdawanie autografów i pozowanie do zdjęć, opychaliśmy się słodyczami. W pewnej chwili Ella zorientowała się, że nie ma swojego albumu. Najwyraźniej ktoś go ukradł.

Zablokowałyśmy korytarz i kazałyśmy wszystkim pokazać swoje albumy. Niektórzy mieli je otwarte na pierwszych stronach, zanim któraś z nas podeszła, ale jeden lis schował swój przede mną do plecaka i nie chciał wyjąć. Dallas podbiegła do niego, totalnie wściekła.

– Jesteś złodziejem?

Popatrzył na nią i podał mi album. W środku nie było ani jednego podpisu poza jego własnym. Zatrzasnęłam sztywne okładki i oddałam mu jego własność.

– Może ktoś odniósł do sekretariatu – podpowiedziała Ella.

Pani Lutz, szkolna sekretarka, rozmawiała przez telefon.

– Czy ktoś przyniósł dziś jakiś album? – zawołała Dallas. Kobieta uniosła rękę, dając znak, żebyśmy zaczekały. Dallas posłała jej groźne spojrzenie. Sekretarka nie miała pojęcia, z kim zadziera, nadal rozmawiała przez telefon. – Ekhem, to ważne. Koleżanka zgubiła album.

Zakryła słuchawkę. Była okropnie brzydka: miała krostowatą twarz i okulary w plastikowych oprawkach. Wyglądała jak żaba.

– Musicie poczekać.

– Musi pani sprawdzić w rzeczach znalezionych. – Sekretarka odwróciła się do nas plecami i kontynuowała rozmowę. – Strasznie denerwujące – oświadczyła głośno Dallas. Ella udawała, że tańczy i nic a nic jej się nie spieszy.

Po zakończeniu trwającej w nieskończoność rozmowy pani Lutz podeszła do okna.

– Co chcieliście, dziewczynki?

– Ona zgubiła swój album. Musi pani sprawdzić w rzeczach znalezionych, czy ktoś go nie przyniósł – powtórzyła Dallas.

Pani Lutz popatrzyła na nas bez uśmiechu. Jeszcze niedawno częstowała wszystkich babeczkami i uśmiechała się od ucha do ucha.

– Nikt nie przyniósł żadnego albumu. Może sprawdź w szafce?

– Już sprawdziliśmy. Dlatego tu jesteśmy, a pani nawet nie raczy zajrzeć do pudełka. Ktoś mógł go podrzucić, kiedy pani była zajęta rozmową.

– Nie podoba mi się twój ton.

– Proszę, niech pani sprawdzi, pani Lutz – błagała Ella.

Gdyby wzrok mógł zabijać, Dallas padłaby trupem pod spojrzeniem sekretarki. Ta kobieta nie miała pojęcia, kim jesteśmy. Skąd miała wiedzieć, skoro całymi dniami siedziała za biurkiem bez kontaktu ze światem. Wreszcie zajrzała do dużego tekturowego pudła z napisem ZGUBIONE, ZNALEZIONE.

– Mówiłam wam, że tu go nie ma. – Sekretarka była coraz bardziej zirytowana. Ella zachichotała na widok jej czerwonych policzków. – Idźcie już.

Pewnie byśmy wyszły i kontynuowały zagłębienie ludzom do albumów, ale nagle Dallas wciągnęła ze świstem powietrze i wskazała stertę nowiutkich albumów na jednym z krzeseł w kącie sekretariatu.

– Czyje one są?

– Nie zostały jeszcze odebrane, ale mają już właścicieli.

– Mogę zobaczyć?

– Muszę was prosić, żebyście natychmiast wróciły do klasy.

– Skąd pani wie, że nie są nasze? Zajrzę tylko.

Widziałyśmy, że pani Lutz coraz trudniej zachować cierpliwość.

– NIE CHCĘ wzywać DYREKTORKI w ostatni dzień roku szkolnego. – Dallas parsknęła śmiechem. Ella i ja również. Pani Lutz podeszła do okna. – Wasze

zachowanie jest niedopuszczalne. Jak się nazywacie?

Ella odwróciła się, pokazując trzęsące się ze śmiechu plecy. Dallas chrząknęła jak świnka i ruszyła w stronę drzwi.

– Zgadnij, Irene Lutz! – Ella i ja poszłyśmy za nią, zataczając się ze śmiechu. – NIE CHCĘ wzywać DYREKTORKI w ostatni dzień rooku szkolnego! – zawołała piskliwie Dallas, naśladując głos pani Lutz, kiedy byłyśmy już na korytarzu.

– Jak się nazywaaaaaaaacie! – piszczała Ella.

Biegłyśmy i krzyczałyśmy. Brygada PM to przeciwieństwo osób pokroju Lutz, byłyśmy po prostu silniejszymi, lepszymi ludźmi, ostrymi jak brzytwy i twardymi jak stal. Podczas gdy Lutz-Buc wedle wszelkiego prawdopodobieństwa płakała zamknięta w sekretariacie i marzyła o powrocie do domu, gdzie zapewne rozdrapie sobie twarz.

Przypomniałam sobie o pani Lutz tamtego dnia, kiedy nazwały mnie Kupą Niemowlaka. Przypomniałam sobie o niej, o Aleksie, Josie i całej reszcie. Byli jak strzępki błota, które połknęłam. Buzowali we mnie, sączyli się przez rozszerzone pory. Zastanawiałam się, co takiego zrobiłam, że dołączyłam do ich grona.

Od: C.Mckenzie@chronomail.com

Do: R.Doblak@sparkon.com

Temat: (bez tematu)

Data: Czwartek, 16 lipca 2009, 21:56:14

Robyn,

Znienawidzisz mnie za to, co Ci wyznam, ale muszę to zrobić. Nawet jeśli urwiesz mi potem głowę i nabijesz na zardzewiały pal.

To moja wina, że Cię przezywają. Ja pierwsza powiedziałam o sterczących sutkach. Jeśli Cię to pocieszy, ja też mam już przezwisko. Nazywają mnie Kupą Niemowlaka. Pewnie jest Ci wszystko jedno. Sprawiedliwość losu, pomyślisz i ucieszysz się, że niemal utonęłam.

Chciałabym, żebyśmy obie były Demonami McFrenzy. Żebyśmy się zemściły na kłamcach, ale wtedy musiałabym ukarać też siebie, bo Cię okłamałam. Cała ta historia o keczupie i świętach była zmyślona. Nigdy nie biegałam jak opętana wokół choinki i nie udawałam satanistki. Chciałabym taka być, dlatego tak napisałam. C

*

Chyba się dotkliwie nudziły tamtego lata. Po tym, jak próbowały mnie utopić, napisały SMS-a z propozycją wspólnego wyjścia do galerii. Kupa Niemowlaka – pojawiło się na wyświetlaczu zamiast mojego imienia, kiedy odpisałam.

Pokazywały mi to później ze śmiechem.

– Bardzo śmieszne – powiedziałam.

– Masz śliczną bluzkę – zachwyciła się Ella. Miałam na sobie zielony T-shirt Abercrombie, który widziała już tysiąc razy.

– Bardzo do niej pasuje. Jest w kolorze kupy niemowlaka!

– Szacun!

Ella położyła głowę na kolanach Dallas, pokładając się ze śmiechu. Patrzyły na mnie wygłodniałym wzrokiem, czekały na reakcję. Włożyłam rękę do kieszeni i ścisnęłam gałązkę, którą zaczęłam przy sobie nosić.

– Mam gdzieś, jaki ma kolor – oznajmiłam.

– Mam gdzieś – przedrzeźniała mnie Dallas, sepleniąc.

Przycisnęłam kciuk do ostrej końcówki patyka i czekałam, aż przestaną się ze mnie naśmiewać.

Po powrocie do domu poszłam za szopę, do swojej ulubionej części ogrodu, gdzie rosty drzewa. Przycisnęłam dłoń do najgrubszego pnia i czekałam, aż to poczuję. Nie bicie serca, ale wibracje. Chłodny spokój, który wyrastał z korzeni i sięgał gałęzi. Nierówności kory odcisnęły się na mojej skórze. Wsłuchana w śpiew cykad, czekałam, aż stanę się powietrzem i ziemią. Drzewa chłoneły ziemię, deszcz i powietrze – zamieniały je w korę, gałęzie i liście. A potem zamieniały się w co innego. Nie chciałam, żeby ktokolwiek na mnie patrzył. Podeszłam do najmniejszego drzewka i objęłam dłonią chłodny pień. Miał objętość nadgarstka Dallas. Ścisnęłam mocno. Podniosłam z ziemi żółto-brązowy liść i wsunęłam go do kieszeni.

Zabierałam ze sobą gałązkę i liść na każde spotkanie z PM. Kiedy one otwierały zaślinione usta wykrzywione śmiechem, ja wyczuwałam palcem delikatną strukturę liścia i ostre krawędzie patyka. Zamieniałam się w drzewo – nic nie widziałam, nic nie mówiłam. Wiatr kołysał liśćmi, słońce muskało gałęzie, korzenie chłoneły wodę. Ledwie bym poczuła, gdyby ktoś wyrył ostrzem imię na mojej korze. Pewnego dnia zapomniałabym, że tam jest.

Siedzieliśmy przy stoliku w tej części galerii, w której serwowano jedzenie. Dallas dotknęła swojego podbródka. Popatrzyłam na roślinę obok windy, zastanawiałam się, czy kiedy doniczka będzie już za mała, przesadzą ją na zewnątrz. Dallas oświadczyła, że potrzebuje liposukcji.

– Wyglądasz wspaniale, ale po operacji plastycznej byłabyś pewnie jeszcze piękniejsza – powiedziała Ella i ścisnęła palcami swój nos, demonstrując, jak będzie wyglądała, kiedy po szesnastych urodzinach wreszcie go zoperuje. Popatrzyły na mnie wyczekująco. Co bym w sobie zmieniła? Wszystko, ale nie wiedziałam, jak to powiedzieć. Położyłabym się na stole operacyjnym, lekarz wprowadziłby metalowy wózek pełen odpadków. Przyszywałyby korę do moich rąk i twarzy, zasiałby nasiona na ogolonej głowie. Po operacji pobiegłabym do lasu i została tam na zawsze. – Ma dziwne policzki – zawyrokowała Ella.

Dallas zlustrowała mnie spod zmrużonych powiek.

– Krzywe i zapadnięte.

– Implanty policzkowe dla Kupy!

Podeszłam do stojącej obok windy rośliny.

– Wiesz, jaki jest twój problem, Kupo? – zawołała za mną Dallas. – Myślisz, że jesteś pieprzonym ideałem!

Tego dnia liście były mokre od deszczu. Dotknęłam jednego. Przypominał w dotyku policzek Robyn. Inny był jej ręką, przytrzymałam go przez chwilę. Pomyślałam o dotyku zasłony prysznicowej na nagim ciele, który czasami kojarzył się z ciepłem czyichś palców. Nikt mnie już nie dotknie. Jestem Kupą.

Rebecca była w domu, zrobiła sałatkę i myła kuchenne blaty detergentem. Uśmiechnęła się do mnie. Rebecca to moja zawsze pogodna, ubrana w golf, kochająca słodkie babeczki, pijąca malinowe herbatki, mająca bzika na punkcie czystości, prawdopodobnie homoseksualna opiekunka. Mimo że miała dopiero trzydzieści cztery lata – mniej niż większość rodziców moich znajomych – nie zachowywała się jak młoda osoba. Nigdy nigdzie nie wychodziła, lubiła mnie katować niezrozumiałymi zasadami i kiepską muzyką, na przykład jazzem z lat trzydziestych. Mało brakowało, by umarła po telefonie od dyrektorki w sprawie Robyn. Nie mogła uwierzyć, że jestem zdolna do jakiegokolwiek podłości. Uważała moje przyjaciółki za cudowne dziewczynki – kiedyś nawet wspomniała, że Dallas przypomina mamę. Nie miała nic złego na myśli, po prostu nie wiedziała, kim naprawdę były. Gdybym jej powiedziała, najpierw by mi nie uwierzyła, a następnie rozpadła się na drobne kawałki. Najlepsze przyjaciółki znaczyły dla niej wszystko.

Wyjęła grejpfruta z lodówki, przekroiła go na pół i zapytała, co u nich słychać. Przez ostatni miesiąc jeździłam wszędzie rowerem, żeby ich nie widywała. Powiedziałam, że nie chcę zanieczyszczać środowiska spalinami. Zazwyczaj po prostu kręciłam się bez celu po okolicy.

– Wiesz, skarbie, gdybyś wolała spędzić ostatni tydzień lata z przyjaciółkami, mogłybyśmy skrócić wizytę u Bei.

– Nie, nie trzeba.

– Wiem, jak to jest, kiedy człowiek ma czternaście lat i chce spędzać cały wolny czas z rówieśnikami. – Przycisnęła dwa palce do miejsca tuż nad obojczykiem. Wiedziałam, że myśli o mamie. Miała w tym miejscu tatuaż, którego nie lubiła nikomu pokazywać: fioletowy, spiczasty kwiat. Zawsze go dotykała, kiedy myślała o swojej najlepszej przyjaciółce, mojej matce.

– Chcę jechać. Obiecałam babci, że jej pomogę.

– Wynudzisz się.

Rebecca nienawidziła mojej babki, chociaż była ona jej własną ciotką. Unikała spotkań z nią. Zwykle odwoziła mnie i zaraz odjeżdżała. Kiedy wracałam, wachała

moje włosy i narzekała, że Bea może truć siebie, kopiąc jak komin, ale nie ma prawa narażać mojego zdrowia. Babcia odwzajemniała tę niechęć. Robiła miny za jej plecami i nazywała ją Żandarmem.

„Podobno Żandarm wrobił cię w pracę za darmo przez całe lato”, powiedziała podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej. Lubiłam swoje zajęcia w rezerwacie przyrody, preparowanie sówich szczątków i liczenie płazów, ale nigdy nie przyznałabym się do tego babci. Chciała mnie mieć po swojej stronie. Nagrała cały sezon serialu o wampirach, który Rebecca uznała za zbyt drastyczny i nie pozwoliła mi oglądać. Babcia i ja miałyśmy słabość do słodczy, wiedziałam, że spędzimy ten tydzień na jedzeniu truskawkowego sernika i wiśni w czekoladzie, może popijając piwo. Będziemy sobie oglądać telewizję i zapomnimy o moim życiu. Nie mogłam się doczekać.

– Będę chodzić z babcią do lekarza – mówiłam Rebecce. – I gotować jej obiady.

– To miło, że chcesz pomóc, ale gdybyś jednak zmieniła zdanie... Nie jest jeszcze za późno.

Odłożyła nóż do owoców i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać mnie po włosach. Uchyliłam się w ostatniej chwili, jej dłoń wylądowała na moim ramieniu. Potarła je trzy razy – jakbym była amuletem.

Często się zastanawiam, czy gdybym mogła cofnąć czas do tamtego dnia przed wyjazdem do babci, to:

a) nie przyjąłabym zaproszenia Dallas i nie poszła do galerii;

b) poszłabym, ale nie dotykałabym jej telefonu;

c) zrobiłabym to samo, tylko z większym rozmachem – wreszcie dała jej posmakować własnego lekarstwa.

Odbierałam sobie prawo do czwartej możliwości – tej, którą wybrałam:

d) żadne z powyższych – spieprzyć sobie życie.

Siedziałyśmy przy stoliku w części gastronomicznej, one wymyślały żarty na mój temat, a ja obserwowałam drzewko przy windzie. Zastanawiałam się, czy ktoś upuścił na nie miskę smażonego ryżu. Wyglądało na brudne od tłuszczu.

Dallas pochyliła się i oznajmiła, że sperma jej chłopaka przypomina smakiem ciepły sok z ogórków. Czekałam na puentę, ale ona tylko oblizała usta i pokazała Elli, jak pewna czynność wywołuje u niej odruch wymiotny. Musiałam mieć nieciekawą minę, gdyż Dallas wskazała mnie palcem i powiedziała:

– Popatrz na Kupę Niemowlaka. Boi się penisów. – Nie bałam się penisów. Wsunęłam rękę do kieszeni i powiodłam palcem po wystrzępionej krawędzi liścia. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny będę oglądać z babcią wampiry. Zanim to nastąpi, muszę przełknąć porcję błota. – Ello, musisz to zobaczyć. – Dallas wyjęła

telefon i przybliżyła się do niej z krzesłem. Chichotały, nachylone ku sobie. Napiałam się coli i postanowiłam podejrzeć, co oglądają. Dallas jednak zakryła telefon. – Ty nie, Kupo Niemowlaka. Tylko dorośli.

Byłam pewna, że cokolwiek oglądają, ma jakiś związek ze mną.

– Co to jest? Fiut Kevina? – zapytałam.

– Chciałabyś wiedzieć. – Potrząsnęła triumfalnie platynową czupryną. Oparłam się na krześle. Byłam bardzo słabym drzewem, które stało samotnie na polu w deszczu i śnieżycy przez sto lat, a teraz walczyło o utrzymanie przy życiu ostatnich wątych gałązek.

Potem Ella oświadczyła, że idą do łazienki, a ja mam pilnować ich rzeczy. Kiedy odeszły, popatrzyłam na zostawiony na stoliku telefon Dallas. Spędził tysiące godzin pod jej palcami, przy jej twarzy, w plecaku, pod biurkiem i w pościeli. To była pierwsza rzecz, której dotyczyła po przebudzeniu, żeby sprawdzić swoją władzę i wylać na świat trochę jadu. Zwykły kawałek plastiku, krzemu i chemikaliów, złożonych w całość w odległym kraju przez osobę, która nie miała pojęcia, że leży teraz na stoliku w centrum handlowym, w kraju widzianym przez nią jedynie na ekranie telewizora. Zamknęłam oczy. Huśtałam się na gałęzi, muskana wiatrem. Musiałam być jedną z nich albo umrzeć. Podniosłam telefon i zaczęłam oglądać zdjęcia.

Koty Dallas. Kevin. Czyjaś stopa. Kevin w jej domu. Ella. Coraz szybciej poruszałam kciukiem, przeglądając kolejne fotki.

Dallas – golusienka, cała wygolona, biała jak ziemniak obrany ze skórki. Zrobiła sobie zdjęcie sama, stojąc przed lustrem. Wygięła plecy w łuk, żeby wyeksponować piersi, przechyliła głowę i wyduła prowokacyjnie usta.

Właśnie wtedy wybrałam czwartą opcję i spieprzyłam sobie życie. Nie odłożyłam telefonu. Nie wysłałam też zdjęcia do wszystkich kontaktów. Nawet nie pomyślałam o Facebooku. Wysłałam fotkę jej ojcu. Moje życie było skończone.

Już nigdy nie będę Podwójnym Mieczem. Telefon Dallas zaczął dzwonić po sekundzie. Wiedziałam, co powiedzą: że jestem trollem i popaprańcem. Prawdziwą szumowiną. Wstałam i podeszłam do windy. Przypominałam zombi. Czy jest jakieś inne określenie na kogoś z martwicą mózgu? Tak, Kupa Niemowlaka. Żółtozielona i śmierdząca. Zanim dotarłam do domu, wysłały mi siedemnaście wiadomości.

Kupci Niemowlaka polecą łezki? Zginiesz, SUKO!!!

Uciekaj, zboczona suko, i tak za to zapłacisz!!!

Żołądek podskakiwał mi do gardła z każdym sygnałem odebranej wiadomości. Odbijało mi się. Wyciszyłam dzwonek, ale telefon nadal wibrował. Wibrował w mojej

głowie, kiedy chodziłam nerwowo między drzewami za szopą i uderzałam w korę otwartą dłonią. Dallas będzie miała kłopoty przez pięć minut. Ojciec odbędzie z nią poważną rozmowę, po której nabierze przekonania, że własnoręcznie odarłam Dallas z odzieży i zrobiłam jej zdjęcie. Przedemną cztery lata wymyślnych tortur. Podwójne Miecze były jak wirus, tym silniejszy i złośliwszy, im ja byłam słabsza. Usiadłam na trawie, oparłam twarz o zgięte kolano. Byłam Kupą Niemowlaka. Kupa Niemowlaka to ja, powiedziałam cicho i nieśmiało. Potem wyplułam to słowo. Wypluwałam je i połykałam raz po raz, aż poczułam w ustach jego smak. Podniosłam z ziemi gałązkę i zaczęłam żuć brudną końcówkę. Żułam. Wypluwałam. Żułam. Wypluwałam. Krew szumiała mi w uszach. Gałązka zniknęła.

Wieczorem dostałam wiadomość od jakiejś Phoenix Drake. Zdjęcie profilowe przedstawiało uśmiechniętą, zakapturzoną śmierć z kosą.

Droga Kupo,

Nie masz żadnych przyjaciół, nikt cię nie lubi, ty śmierdzący dzieciaku. Dostałam zlecenie zabicia twojej nędznej, cuchnącej osoby. Przyjdę po ciebie i zabiję. ZGINIESZ W MĘCZARNIACH.

Najpierw obetnę ci palce i wsadzę ci je w tyłek, tak jak lubisz. Zatkam odbyt, żebyś nie narobiła bałaganu. Potraktuj to jako ostrzeżenie.

Phoenixxxx

Profil Phoenix był pusty, ponieważ PM dopiero go założyły. Nikt im niczego nie udowodni. Wiedziałam, że to zaledwie początek, będzie o wiele gorzej. Przez chwilę żałowałam, że Phoenix nie jest prawdziwa. Chciałam, żeby mnie pocięła na kawałki – byłabym martwa i nie musiałabym się już bać prześladowania, które z każdym dniem będzie coraz gorsze i bardziej bolesne.

Nie odpisałam na wiadomość. Zamiast tego wpisałam w przeglądarkę hasło „rozedma płuc”. Postanowiłam zdobyć jak najwięcej informacji o chorobie babci, żeby być jak najbardziej pomocna. Może pozwoli mi u siebie zamieszkać? Przeprowadzę się i zmienię szkołę, pomyślałam. Informacje z sieci mnie dobiły. Jediną nadzieją na wyzdrowienie był przeszczep płuc. Płuca na obrazku przypominały odwrócone drzewa z różowymi gałęziami. Chore płuco różniło się od zdrowego: było szare z czarnymi rozgałęzieniami, zaśmiecone zgniłymi liśćmi. Oddychałam coraz szybciej, miałam uczucie, że znowu jestem pod wodą.

– Czemu jesteś dziś taka cichutka? – zapytała Rebecca po drodze do babci. – Na pewno chcesz jechać?

– Nie mogę się doczekać – zapewniłam. Rebecca wtarła w usta truskawkową pomadkę po raz setny od rana.

– Naucz mnie łacińskich słówek – poprosiła.

Zapisała mnie na prywatne lekcje do pani Jarvis, ponieważ ktoś jej zasugerował, że zwiększy tym moje szanse na egzaminach. Rebecca wyobrażała sobie mnie w Yale. Zabrała mnie kiedyś do New Haven na spacer po kampusie. „Wyobraź sobie, że tu studiujesz”, powiedziała, kiedy podziwialiśmy budynki w kolorze pustyni. „Właśnie idziesz na zajęcia. Jak się czujesz?”. Patrzyła na mnie, jakby widziała inną osobę. Wiedziałam, o czym myśli, i doskonale rozumiałam, że nic z tego. Jednak nie umiałam znaleźć właściwych słów, żeby zrozumiała. „Dobrze”, odpowiedziałam. Co tydzień chodziłam do biblioteki, gdzie ćwiczyłam łacińskie deklinacje pod okiem pani Jarvis.

Rebecca postukała palcami w kierownicę.

– Proszę, chcę się czegoś nauczyć.

– *Corpus* – powiedziałam. – Ciało. – Pokiwała głową i powtórzyła. – *Oculus*. Oko.

– Jak okulary.

– *Manus*. Ręka. *Donum*. Dar. *Laguna*. Małe jezioro.

– Znam to – ucieszyła się Rebecca. – *I caveat emptor*: niech kupujący się strzeże. – Nie odpowiedziałam, więc zaczęła mówić o paszportach. – Znów zapomniałam. Miałam zrobić ci zdjęcie, żebyśmy mogły złożyć podania latem. Nie chcę, żeby coś cię ominęło, tylko dlatego że nie masz paszportu. Liceum organizuje mnóstwo wycieczek zagranicznych: do Anglii, Hiszpanii, Francji. Pewnie nie tylko tam. Ja też powinnam sobie wyrobić. Wiesz, że nigdy nie byłam za granicą? Mogłabym się z wami zabrać jako dodatkowa opiekunka.

Milczałam. Rebecca wsmarowała w usta więcej pomadki.

Trawa na podwórku babci bardzo urosła. Gdyby to zobaczyły Dallas i Ella, stwierdziłyby, że mieszka tu jakaś patologia. Rebecca zapukała, ale nie zaczęła na odpowiedź, sama otworzyła sobie drzwi. Minęłyśmy zostawioną na podłodze butlę z tlenem i weszłyśmy do dużego pokoju, gdzie babcia oglądała telewizję ze swojego ulubionego szeszlangu. Z jej nosa wystawała cienka rurka. Bea nienależała do osób, które lubią się przytulać, ale podeszłam do niej. Objęła mnie ręką w pasie.

– Bea, nadal palisz? – zaatakowała od progu Rebecca.

– Nie. Rzuciłam.

– Czuję dym.

– Jeśli się pali przez dwadzieścia lat, nie wietrzeje od razu.

Rebecca odciągnęła mnie na stronę, zanim wyszła.

– Palenie w domu, gdzie leżą butle z tlenem, jest bardzo niebezpieczne. W ten sposób wybuchają pożary. Butla wybuchnie i nieszczęście gotowe. – Chwyciła mnie za ramię. – Jeżeli zobaczysz, że wyjmuje papierosa, natychmiast wybiegnij z domu

i zadzwoń do mnie. – Obiecałam, że tak właśnie zrobię. Uściskała mnie. – Przez jakiś czas pokręcę się po okolicy – dodała. – Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie i postanowisz wrócić ze mną do domu.

Nie powiedziała, że jedzie na cmentarz, do mamy, ale tam właśnie będzie. Uwielbiała przesiadywać na grobie – tym razem przynajmniej nie ciągnęła mnie ze sobą.

Po wyjściu Rebekki babcia błyskawicznie wyjęła papierosa z paczki, którą ukrywała na kolanach pod poduszką.

– Przemądrzałe dziewczuszyko – marudziła, pstrykając zapalniczką. – Zawsze taka była, od urodzenia.

Zaciągnęła się. Nie mogłam oderwać wzroku od rozżarzonej końcówki papierosa. Nie miałam zamiaru wybiegać z domu. Marzyłam o wielkiej płonącej kuli ognia, która mnie pochłonie. Żar i dym niczym czerwone planety i gwiazdy we mgle. Spłonąć żywcem. To by zakończyło moje problemy. Nie ruszam się z miejsca, postanowiłam. – Nie bój się. – Machnęła papierosem. – Mam wieloletnią wprawę.

– Nie boję się. – Telefon zawibrował, na wyświetlaczu pojawiło się imię Dallas. Odetchnęłam dymem i wskazałam paczkę z papierosami. – Mogę się poczęstować? – Uśmiechnęłam się szeroko, a babcia wybuchnęła śmiechem, który przeszedł w kaszel, a potem w ciężkie dyszenie. Wpatrywałam się w telefon, nie wiedząc, co robić. – Zadzwoń do Rebekki? Czy na pogotowie?

Pokręciła głową. Patrzyłam bezradnie na zapalonego papierosa, nie wiedząc, czy powinnam go zabrać. Walczyła o oddech całym ciałem. Poczulałam się okrutna, jak Dallas i Ella, kiedy patrzyły spokojnie, jak tonę. Przyklękłam i dotknęłam jej kościstego kolana. Miała zaciśnięte powieki, nie spojrzała na mnie. Myślałam, że umiera. Z jej gardła wydobywał się przeraźliwy, charczący odgłos, klatka piersiowa unosiła się spazmatycznie. Gdybym tylko umiała wyciągnąć ją na brzeg. Babcia nie była pod wodą, więc mogłam jedynie przy niej siedzieć, masować uspokajająco i bezradnie czekać. Wreszcie, milion lat później, przestała dyszeć i zaciągnęła się dymem.

– Zrobisz coś dla mnie? – Popatrzyła zażawionymi oczyma. – Weź sobie jakiś napój z lodówki i przynieś mi piwo.

Zawstydziała się, chciała zostać sama. Zabrałam rękę z jej kolana, żeby spełnić prośbę. Opłukałam ręce strumieniem zimnej wody, potem nalałam piwo do szklanki.

Postanowiłam nie popełnić przez ten tydzień żadnego błędu – zamierzałam sprawić, żeby nie wyobrażała sobie życia beze mnie. Uczyłam się jej potrzeb, zapinałam buty, czytałam ulotki leków, podawałam inhalatory, których miała trzy.

„O Jezusie kochany! Cholerne wory”, mawiała rano, tuż po przebudzeniu. Co oznaczało, że bardzo ją boli. Szłam wtedy do kuchni i przygotowywałam śniadanie: jogurt z bananem. Myłam podłogi, szorowałam łazienkę, o nic nie musiała mnie

prosić. Popatrzyła na mnie dziwnie po tym, jak umyłam popielniczkę. Uświadomiłam sobie, że za bardzo przypominam Rebecę, której babcia nienawidzi. Czym prędzej zaczęłam ją przedrzeźniać, udając perfekcyjną panią domu, żeby jakoś zatrzeć złe wrażenie. Chodziłam po pokoju, udając, że szukam kurzu. Przesunęłam palcem po parapecie i wrzasnęłam z przerażeniem.

– Kochanie – powiedziałam słodko. – Na świecie jest mnóstwo bakterii, ale wystarczy, że będziesz używać nici dentystycznej sześć razy dziennie, a wszystko będzie cudowne i wolne od próchnicy. – Nie udało mi się podrobić głosu Rebekki, ale babcia i tak się śmiała.

Rebecca lubi udawać, że życie składa się z tęczy i jednorożców, mówiłam babci. A nocami płacze w łazience. „Pieprzony Żandarm”, kwitowała.

Czasem mijała cała godzina bez patrzenia na telefon. Oglądałam telewizję albo myłam naczynia i zapominałam na jakiś czas. Po godzinie niepokój zawsze wracał i musiałam sprawdzić telefon, chociaż czułam się potem gorzej. Próbowałam go przed sobą chować w swoim pokoju, a potem biegałam gorączkowo, dopóki sobie nie przypomniałam, gdzie jest. Musiałam wiedzieć.

Kiedy dzwoniła Rebecca, mówiłam to, co mi kazała babcia. Żyłyśmy na płatkach i jogurcie, całymi dniami oglądałyśmy telewizję, ale umiałam przecieżyć kłamać.

– Właśnie zjadłyśmy spaghetti i sałatkę – opowiadałam. – Z chlebem czosnkowym.

– Wychodzisz czy cały dzień siedzisz w domu?

– Wychodzimy. Dziś byłyśmy w galerii.

Wolałyśmy, żeby Rebecca nie wiedziała wszystkiego. Narobiłaby niepotrzebnego zamieszania i zmusiła mnie do powrotu do domu. Babcia bardzo źle się czuła, przejście kilku kroków do łazienki kończyło się atakiem duszności. Prawie nie wychodziłyśmy z salonu przez dwa dni, zajęte oglądaniem serialu o wampirach. Truchlałam za każdym razem, kiedy słyszałam pstryknięcie zapalniczki. *Śmierć to nic strasznego*, uspokajałam się natychmiast.

W ciągu czterech dni wyjechałyśmy z domu tylko dwukrotnie. Babcia włożyła dzinsową kurtkę, czapkę z daszkiem i związała siwe włosy w kucyk. Pozwoliła mi wybrać, co zechcę, z pudełka z biżuterią – wybrałam kolczyki z czaszkami, w jej ulubionym stylu. Pomogłam zanieść butlę z tlenem do samochodu i czekałam w poczekalni, kiedy weszła do gabinetu lekarskiego. Następnego dnia pojechałyśmy do supermarketu. Zaparkowałyśmy na miejscu dla niepełnosprawnych, ale mimo wszystko zanim dotarłyśmy do drzwi, już ciężko oddychała i przyciskała rękę do klatki piersiowej. Umieściłam butlę z tlenem na wózku i stanęłyśmy przy stoisku z warzywami, żeby babcia mogła dojechać do siebie. Miałam gdzieś, czy ktoś na nas patrzy. Mogli się gapić cały dzień, żadnej z nas to nie obchodziło. Zmusiłam się do zostawienia telefonu w samochodzie. Idąc z babcią sklepowymi alejkami, poczułam się równie dobrze jak za czasów świetności Podwójnych Mieczy. Żadna z nas

nieprzejmowała się opinią otoczenia. Babcia wrzuciła do wózka paczkę miętówek, ja dwa pudełka płatków czekoladowych.

– Uwielbiam do ciebie przyjeżdżać – wyznałam. – Rozumiesz mnie o wiele lepiej niż Żandarm.

– Nawet mi o niej nie wspominaj.

– Mogłabym ci bardzo pomóc, gdybym z tobą zamieszkała.

– Ach, tak? Chcesz być moją niewolnicą?

Wskazała paczkę płatków z rodzynkami, a ja posłusznie włożyłam ją do wózka z zakupami.

– Pewnie. Tak, Pani!

Nie roześmiała się, odwróciła głowę. Zauważyłam, że jest zła. Po powrocie do domu rozpakowałam zakupy. Po chwili usłyszałam, że powinnam pójść na dwór, przewietrzyć się. Babcia miała zamiar uciąć sobie drzemkę i dała mi do zrozumienia, że przeszkadzam. Wolałabym zostać w domu, ale nie chciałam jej irytować.

Mogę pojeździć na rowerze, który stoi w garażu, powiedziała. Rower wyglądał, jakby został wyłowiony z jeziora po stu latach: brudny, zardzewiały, bez powietrza w oponach. Kiedyś chyba był zielony. Albo niebieski, czerwony, srebrny, czarny... Uświadomiłam sobie, że musiał należeć do mojego ojca, babcia by na niego nie wsiadła. Nie byłam pewna, czy powinnam dotykać tego czegoś, ale jeśli miałam zamieszkać u babci, potrzebowałam jakiegoś środka transportu. Chociażby po to, żeby jeździć po zakupy i do apteki po lekarstwa dla babci – tak jej powiem, postanowiłam. Napompowałam sflaczałe opony i wyprowadziłam rower na ulicę. Przez chwilę miałam wrażenie, że rozpadnie się pod moim ciężarem. Chwyciłam sfatygowaną kierownicę i nacisnęłam pedały. Zachybotał się przez chwilę, ale pojechał.

Przemierzałam uliczki, przyzwyczajając się do widoków. Przyspieszyłam, wdychałam zapach oleju silnikowego i smakowałam tajemną historię tego miejsca.

Przed urodzeniem taty przed słupami telefonicznymi i znakami drogowymi była cisza. Epoka lodowcowa, epoka kamienia łupanego, ptaki na niebie. Wymazałam domy, samochody, ludzi i wypielegnowane trawniki. Został las, mech, zapach kamieni. Wszechświat przekazywał mi wiadomość, że mogę tu zostać. To moje miejsce. Olbrzymie drzewa. Zamarznięte jeziora. Mamut porośnięty gęstym futrem. Język nie istnieje, jest tylko cisza. Delikatna jak trzepot motyli skrzydeł.

Gdy zadzwonił telefon, zahamowałam gwałtownie. Rebecca chciała wiedzieć, jak sobie radzę. Dzwoniła już drugi raz tego dnia. Na wieść o mojej przeprowadzce do babci będzie płakać tak długo, aż spuchną jej oczy i nos zrobi się czerwony. Wtedy ja także się rozpłaczę i nie będę chciała zostawić Rebekki. Tak czy inaczej będę musiała, ucieczka to absolutna konieczność.

– Spotkałam Dallas. Tęskni za tobą. Obiecałam, że ci przekażę, żebyś do niej oddzwoniła. Podobno bezskutecznie usiłowała się z tobą skontaktować. Mogłabym

zabrać ją i Elle, kiedy będę po ciebie jechać. Co ty na to? Byłoby miło.

– Nie trzeba. – Przełknęłam ślinę. – Nie rób tego.

– Dallas wydawała się taka zagubiona bez ciebie. Nie może się doczekać twojego powrotu. To urocze.

– Coś jeszcze?

– Nie możesz teraz rozmawiać?

– Jeżdżę na rowerze.

– Masz kask ochronny?

– Aha.

– Z Beą wszystko dobrze?

– Świetnie. Naprawdę mi u niej dobrze.

– Cieszę się, kochanie. Zadzwoń do mnie później.

Wróciłam do domu, odstawiłam rower do garażu i przeczytałam najnowszą wiadomość od Dallas.

Możesz uciekać, ale przed nami się nie ukryjesz. Martwa Kupa Niemowlaka zostawia plamę.

Babcia zasnęła na swoim szezlongu. Usiadłam na kanapie, wdychałam zapach papierosowego dymu i leków. Jestem w domu, pomyślałam, to jest teraz mój dom. Zmarszczki na twarzy babci przypominały mi ślady wokół mrowiska. Wpatrywałam się w nie, kiedy otworzyła oczy.

– Czemu mi się przyglądasz?

Spojrzałam na telefon. Pokazać czy nie? Z pewnością pozwoliłaby mi zostać, gdyby zobaczyła, co do mnie wypisują. Albo zaczęłyby się zastanawiać, czym sobie zasłużyłam na tyle nienawiści, i musiałabym opowiedzieć o Robyn, Podwójnych Mieczach i nagim zdjęciu Dallas. Co zrobię, jeśli babcia zacznie na mnie patrzeć tak jak one? Jakby poczuła nieprzyjemny zapach?

– Zastanawiam się... Myślisz, że ludzie czasem zasługują na złe rzeczy, które ich spotykają?

Skrzywiła się, dając mi do zrozumienia, że zadaję niemądre pytania.

– Nikt na nic nie zasługuje. Jest, jak jest. Życie.

Wciąż miała na sobie dzinsową kurtkę. Pomyślałam o czarnych liściach w jej płucach.

– A gdyby wszyscy zaczęli się do ciebie nagle zwracać imieniem, które nie jest twoje? Na przykład mówiliby Jennifer zamiast Bea.

– I co z tego? Są większe nieszczęścia.

Telefon w mojej dłoni był mokry od potu. Musiałam znaleźć jakiś sposób.

– Zastanawiałaś się kiedyś, jak by to było, gdybym tu mieszkała? W Cansdown?

– Nie, ponieważ tu nie mieszkasz. Przestań filozofować i zrób sobie kolację.
Na tym zakończyliśmy rozmowę.

Zjadłam miskę płatków czekoladowych i poszłam spać, ale nie mogłam zasnąć. Sypialnia należała kiedyś do mojego taty, babcia wyremontowała ją po jego śmierci. Pomalowała ściany na biało i wyrzuciła wszystkie jego rzeczy. Jeżeli zostały po nim jakieś ślady, były niewidoczne gołym okiem: łupież na poduszce, kawałki paznokci wbite w dywan. To dobrze, bo nie chciałam sobie wyobrazić nieprawdziwych rzeczy. Na przykład gdyby miał w pokoju rękawicę baseballową, mogłabym pomyśleć, że kochał baseball. Zobaczyć go oczami wyobraźni na polu baseballowym. Powtarzałam sobie: mój tata grał w baseball – i pewnego dnia uwierzyłabym, że to prawda. Że pamiętam. Potem ktoś mógłby powiedzieć: *Prawdę mówiąc, twój ojciec nienawidził sportu. Rzadko używał tej rękawicy.* Musiałabym wtedy się przyznać do oszukiwania samej siebie, a obiecałam nigdy więcej tego nie robić. Kiedy Rebecca powiedziała, dlaczego odszedł i mnie zostawił – *popelniając samobójstwo* – zdecydowałam, że nie chcę o nim więcej słyszeć. Babcia przechowywała jego prochy w urnie, w swojej szafie. Nie interesowało mnie to.

Od: C.Mckenzie@chronomail.com

Do: R.Doblak@sparkon.com

Temat: (bez tematu)

Data: Środa, 26 sierpnia 2009, 23:47:05

Robyn,

nigdy Ci o tym nie mówiłam, ale mój tata odebrał sobie życie, gdy miałam pięć lat. Kiedy zapytałam dlaczego, powiedzieli mi, że był smutny. Zawsze uważałam to za parszywy powód. Żałosny. Przecież każdy czasem bywa smutny, nie trzeba od razu umierać.

Ostatnio trochę więcej myślałam na ten temat i chyba zaczynam rozumieć. Była kiedyś taka dziewczyna, która utonęła. Nazywała się Autumn Sanger. Po jej zniknięciu wszyscy myśleli, że została porwana, i obwiniali różnych ludzi. Z każdym dniem nieobecności była coraz bardziej sławna. A ona chciała uciec i ja to rozumiem. Też tak mam. Też chcę uciec. C

*

Zaczekałam, aż babcia skończy śniadanie i usiądzie na swoim ulubionym fotelu. Oglądała jakiś talk-show i ssła cytrynowego dropsa. Do rozpoczęcia liceum zostały cztery dni, jeśli mój plan się nie powiedzie, będę miała przechłapanie. CZTERY, napisałam w notesie i dorysowałam płomienie. Zamazałam wszystko. Zaczynały się reklamy, musiałam działać.

– Babciu, mogłabym z tobą zamieszkać? Wiem, że nie potrzebujesz mojej pomocy, ale i tak chciałabym zostać, na wszelki wypadek.

Nadal patrzyła na telewizję. Pokazywali jakiegoś potężnego faceta z laptopem.

– Jestem chora – odpowiedziała wreszcie. – Nie możesz tu zamieszkać.

– Bo ja... mam kłopoty z koleżankami, dlatego nie chcę wracać do domu. – Popatrzyłam w swój notes, litery rozmazały mi się przed oczami.

– Mam dwadzieścia procent wydolności płuc, co oznacza, że pozostałe osiemdziesiąt procent do niczego się nie nadaje. Twoje szkolne dramaty nie robią na mnie wrażenia.

– Jesteś na liście do przeszczepu?

– Co?

– Czy czekasz w kolejce na nowe płuco?

Babcia zrobiła straszliwą minę i wypluła cukierka w chusteczkę.

– Nie zapisuję się na żadne listy. Są do niczego.

Wsunęła rękę pod poduszkę, na której siedziała, szukając papierosów.

– Koleżanki nazywają mnie Kupą. Kupa Niemowlaka – tak mnie nazywają.

Udawała, że nie słyszy. Włożyła papierosa do ust. Obserwowałam płomień zapalniczki. Bum!, pomyślałam. Żebyśmy tak obie poszły z dymem. Zasługiwałyśmy na to. Ostatnie przedstawicielki rodziny pochłonięte przez płomień. Fala gorąca. Obróciłabym się w pył i opadła na drzewa. Babcia ze swoim papierosem zostałaby morderczynią.

Wypuściła kłęb dymu.

– Jestem w stanie terminalnym. Wiesz, co to znaczy? – Pokiwałam głową i rozplakałam się, ponieważ ja także byłam w stanie terminalnym. – Boże kochany – westchnęła i popatrzyła na mnie tak, że wiedziałam, co myśli. *Wcale się nie dziwię twoim koleżankom. Zachowujesz się jak mała dzidzia.* Bum!, powtórzyłam w myślach. Bum!

Chciałam się zapaść pod ziemię, przestać istnieć.

Chciałam do mamy.

Nic dziwnego, że ojciec popełnił samobójstwo, mając taką matkę.

Wykrzyczałam jej to wszystko i wybiegłam do garażu. Wsunęłam notes do kieszeni szortów i wsiadłam na rower. Jechałam na oślep, niewiele widziałam przez łyzy, jakbym była gdzieś pod wodą, wśród wodorostów.

Nie powinno mnie tu być, czułam to każdą komórką ciała. Nie umiałam już cofnąć się w czasie, byłam tylko ciałem na rowerze, mijającym domy i stację benzynową. Zgarbiłam się, pedałowalam z całych sił, do utraty tchu, do bólu gardła. Nie wiedziałam, gdzie się znalazłam. Byłam w jakiejś dzielnicy przemysłowej, bez domów mieszkalnych, z warsztatami i ogrodzonymi budynkami. Może zmienię imię, obetnę włosy, wyrzucę telefon i zasnę. Zostanę nikim, będę robić nic.

Zobaczyłam znajome drzewa. Cmentarz mamy. Nigdy tu nie byłam na rowerze i bez

Rebekki. Po raz pierwszy w życiu naprawdę chciałam wejść do środka.

Przeprowadziłam rower przez bramę. Biedne drzewa, tak ich tu dużo. Nie mogą odejść. Ktoś je zasadził i muszą zostać na zawsze. Żywe, dzień i noc. Połykając łyżę i rzęsy, nikomu nie dając cienia, dotykając korzeniami umarłych w podziemnym świecie, oplatając ich ręce i nogi.

Zostawiłam rower na skraju parkingu. Poczulałam własny zapach: potu zmieszanego z kurzem. Byłam sama. Poprawiłam wilgotne, przekrzywione spodenki i podeszłam do nagrobka z moim nazwiskiem. Nie usiadłam, nie odezwałam się. Po dwóch sekundach byłam gotowa do powrotu. Ale nie miałam dokąd wracać. Musiałam tam zostać: w towarzystwie drzew, kamieni i umarłych.

Prawie jej nie pamiętałam. Tylko tyle, że miała długie włosy, które łaskotały moją twarz, kiedy nachylała się do pocałunku. I że kiedyś polizałam jej wystające kolano, pachniało jak mleko, a ona poklepała mnie po głowie i powiedziała: „Dobry kotek”. Pogładziłam trawę na grobie i zrobiło mi się niedobrze. Nigdy jej nie poznam. Nigdy się nie dowie, co zrobiłam Robyn.

Dallas i Ella pouczyły mnie, co mam mówić po tym, jak wylałam farbę.

Powiedz, że Robyn powiedziała coś okropnego.

Powiedz, że groziła ci śmiercią.

Nie, Ello. To musi być coś bardziej realnego.

Moja mama wolała umrzeć, bo nie mogła już na mnie patrzeć, to wydawało mi się najbardziej zbliżone do prawdy. Otworzyłam notes i napisałam na próbę:

Twoja córka krzywdzi ludzi. Wylała farbę i wysłała zdjęcie. Callie zasługuje na śmierć. Powinna umrzeć, tak jak Ty.

Pozwoliłam mrówce wejść na moją dłoń. Nie czułam, kiedy przeszła po nadgarstku w stronę łokcia. Wiedziałam, że się nie boi. Byłyśmy takie same, nasze maleńkie serduszka były jednym rytmem, a pod nami leżała moja martwa matka. Wsunęłam kartkę pod kamień. Nadal nic nie czułam. Mrówka poszła w swoją stronę, usłyszałam warkot kosiarki. Jakiś mężczyzna kosił trawę. Zawróciłam na parking, a potem zobaczyłam wszystkie wiadomości w telefonie.

Samochód Rebekki stał przed domem babci. Chciałabym być zakonnica, pomyślałam. Złożyć śluby milczenia i nie odzywać się do końca życia.

Babcia oglądała telewizję. Rebecca podskoczyła na mój widok.

– Gdzie byłaś, do cholery?

Jeśli Rebecca zaczęła przeklinać, sprawa musiała być poważna. Odpowiedziałam – zgodnie z prawdą – że jeździłam na rowerze. Zastanawiałam się, co też usłyszała od

babci. Była czerwona jak burak. Na szczęście dla mnie babcia nie była kapusiem.

– Za dużo z tobą kłopotu. Jestem już zbyt chora, żeby opiekować się dziećmi – powiedziała bez żalu. Po prostu chciała się mnie pozbyć. Pewnie już zapomniała, co mówiłam o swoich kłopotach, zajęta sobą. Rebecca miała zboląłą, współczującą minę. Wyobraziłam sobie, że rozwalam telewizor w drobny mak. Poszłam do pokoju, żeby spakować rzeczy.

Nie pożegnałam się z babcią, wyszłam bez słowa. Rebecca objęła mnie.

– W porządku, Callie? – Ścisnęła mnie. – Wiem, że to trudne, ale nie powinnaś brać do siebie zachowania babci. Ona jest nieszczęśliwą, chorą osobą.

Rebecca zamknęła mnie w rozgrzanym jak piekarnik samochodzie. Zamieniłam się w rozlazłego ślimaka bez skorupy: leniwego, śpiącego ślimaka z rozedrganymi wnętrznościami w obłym ciele. Opuściłam bezwładnie ręce, oparłam głowę o szybę. Sól zabija ślimaki. Gdybym teraz posypała ręce solą, mogłyby się rozpuścić.

W piekarniku rozległ się czyjś głos, zbyt głośny i radosny. Pani mówiła do ślimaczka:

– Zatrzymajmy się gdzieś na lody. Ochłodziemy się. Co ty na to? – Ślimak wydzielał śluz. Chciał ciszy i ciemności. Lody były zbyt zimne i słodkie dla ślimakowego brzucha. Przydrożne restauracje zbyt jasne dla jego ślimaczych oczu. Ludzie by się gapili. – Cieszę się, że wracasz. Chcę, żeby było miło – mówiła ta pani za kierownicą.

Ślimak zanurzył się głębiej w skwar, jego myśli były pojedynczymi słowami. Tak. Nie. Nie. Tak.

Pani była niezmordowana. Chciała wtłoczyć ślimaka w miejsce, do którego nie należał. Miejsce pełne strojów do ćwiczeń, instrumentów muzycznych, ławek, pomadek i rajstop. Za trzy i pół dnia. Ślimak skurczył się w sobie. Nie umiał uchronić swoich czułych miejsc, bo składał się wyłącznie z nich.

*

Pierwszy dzień w liceum. Opaska na włosy, kolczyki, pierścionek. Botki. Cień do powiek i tusz do rzęs.

Żadna z tych rzeczy mi nie pomoże. Jeszcze się łudziłam, że nikomu nie powiedziały. A może nikogo nie będzie to obchodzić.

Ślimacza rzeczywistość:

Nie mogłam sobie znaleźć miejsca na trawie wśród tłumu czekającego przed szkołą na otwarcie podwójnych drzwi. Krążyłam od parkingu dla rowerów do okna i dalej w krzaki. Mocno ścisnęłam gałąź. Może mnie nie zauważą, jeśli będę się przemieszczać jak krab. Na mojej drodze stały tysiące przeszkód. Ramiona, szyje, języki, zęby, włosy. Obcy. Znajome twarze wykrzywione nie do rozpoznania.

Gdybym do kogoś podeszła, mogłabym się skurczyć i umrzeć.

– Tuli, tuli – wołała grupka dziewcząt, przytulając się nawzajem. Dwie strojnisię, które jadały z nami lunch w gimnazjum, zaśmiały się i zmarszczyły noski na mój widok. Ślimacze wnętrzości zaczęły topnieć.

Zerknęłam na telefon, dostałam wiadomość z nieznanego numeru.

Uwaga! Kupa Niemowlaka sra w majtki. ZAŁÓŻ PIELUCHE.

Zignorowałam ją i zaczęłam grać w Mythical Maze. Skoncentrowana na grze, zapomniałam, gdzie jestem. Wreszcie ktoś otworzył drzwi i weszłam za tłumem do sali gimnastycznej. WITAMY PIERWSZOKLASISTÓW 2013, głosił transparent powieszony przy suficie. Wzięłam swój plan ze stolika i usiadłam na brzegu trybuny. Odczuwałam wibracje w całym ciele, wibracje innych ludzi. Na widok Dallas i Elli zamarłam ze strachu.

Ella zauważyła mnie jako pierwsza. Posłała mi obleśny uśmieszek. Dallas wydeła różowe usta.

– Kupa Niemowlaka!

Popatrzyłam na plan.

– Kupo Niemowlaka, mówię do ciebie!

Ruszyłam do wyjścia. Żałowałam, że nie mam przy sobie noża, żeby je zadźgać. Gdyby miały astmę, zabrałabym im inhalatory i zamknęła w dusznym pokoju.

– Śpiwór – syknął jakiś chłopak, kiedy go mijałam.

Nie miałam pojęcia, co ma na myśli. Dowiedziałam się później. Dallas zaktualizowała swój status na Facebooku.

Obrzydliwość. Będę musiała spalić śpiwór, który pożyczyłam Callie McKenzie. Ktoś powinien nosić pieluchy. Okropnie cuchnie.

Ella dodała komentarz pod spodem:

Kupa Niemowlaka znów atakuje!

Dallas miała pięćset osiemdziesięcioro dwoje znajomych. Co mogłam odpisać? TO NIEPRAWDA? Nikogo bym nie przekonała. Słowa Dallas już zrobiły swoje. Pięćset osiemdziesiąt dwie osoby wyrobiły sobie zdanie na mój temat.

Jakaś dziewczyna nie chciała stanąć za mną w kolejce na stołówce. Chłopak z fryzurą emo celowo zahaczył o moje krzesło. Ktoś inny machnął ręką, jakby chciał wymazać mi tyłek budyniem czekoladowym. Za każdym razem czułam ogromny

ucisk w klatce piersiowej, mrużyłam oczy w węzowe szparki i nakazywałam sobie spokój. Nie zobaczą moich łez. Koncentrowałam myśli na jakimś jednym przedmiocie. Na przykład na pistolecie. Czy Dallas i Ella zastrzeliłyby mnie, gdyby miały okazję? Czy ja mogłabym je zastrzelić? Przecież byłam jedną z nich. Kiedyś, w innym życiu, ja także doprowadzałam ludzi do płaczu.

Rolka papieru toaletowego na moim krześle przed lekcją biologii? Mogłabym to zrobić. Przyglądałabym się, jak czerwona na twarzy Kupa Niemowlaka pospiesznie chowa papier przy akompaniamencie śmiechu całej klasy. Wszyscy się śmiali, nawet Lily Trager, która miała brata z zespołem Downa i była najmilszą dziewczyną w klasie.

Byłabym zdolna do tego, żeby pójść z czarnym flamastrem do damskiej toalety na drugim piętrze w skrzydle B i dorysować tęczowej baletnicy ze ściennego malowidła czarną kupę. Patrzyłabym na Dallas, która rysuje czarną strzałkę i pisze obok tancerki: „Kupa Niemowlaka”. Albo zrobiłabym to własnoręcznie.

Za każdym razem, kiedy spotykałam je na korytarzu, czułam się jak osaczone dzikie zwierzę. Ella machała rękami w takt wyimaginowanej muzyki i wykrzykiwała moje imię, a ja drżałam na całym ciele. Pragnęłam przeskoczyć niewidzialne ogrodzenie, rozszarpać im gardła i zawyc do księżycy. Bałam się sama siebie. Nie przypominałam swojej matki. Miałam mroczne wnętrza, duszę zabójcy. Zamykałam za sobą kabinę toalety, która służyła mi za schronienie, i ubolewałam, że Dallas nie ma alergii na orzechy. Mogłabym ją wysmarować olejem arachidowym.

Señora Vallsay zrobiła nam na lekcji hiszpańskiego pokaz slajdów. Chciała, żebyśmy obejrzeliby jej zdjęcia z wakacji w Meksyku. Przeczytałam pod biurkiem kartkę, którą ktoś podrzucił do mojego plecaka. Quiz.

Kto jest najżałośniejszą kreaturą w całej szkole?

Zaznaczyć właściwą odpowiedź.

Wszyscy mówią, że jestem:

wspaniała

piękna

Kupą Niemowlaka

Kiedy chce mi się srać:

robię w gacie

robię w pieluchę

korzystam z toalety i spuszczam po sobie wodę

Gratulacje, jesteś najżałośniejszą kreaturą w całej szkole. Giń.

Nie wiedziałam, dlaczego jeszcze żyję. Czekałam, aż moje serce się zatrzyma i przestanę oddychać. Byłam nikim. Patrzyłam na krajobrazy Meksyku niewidzącym wzrokiem. Pragnęłam przestać być sobą. Zamienić się w cokolwiek: kartkę, zwiędły liść, zegarek na czyimś nadgarstku. W Meksykanina o pustym spojrzeniu ze slajdu na białej tablicy.

Señora Vallsay włączyła światło i poprosiła, żebyśmy po kolei przedstawili się po hiszpańsku. Nagle wyobraziłam sobie, że podaję niewłaściwe imię i cała klasa wybucha śmiechem. Otworzyłam usta, ale nie mogłam z siebie wydobyć dźwięków, jakbym miała błoto w gardle. Nauczycielka spojrzała na mnie bardzo uważnie. Doznałam wrażenia, że naprawdę mnie widzi i rozumie. Uśmiechnęła się zachęcająco.

– Me llamo Callie – szepnęłam.

Po kilku dniach samotnego siedzenia przy stoliku przestałam chodzić na obiady. Spędzałam przerwy w bibliotece. Zakładałam słuchawki na uszy, grałam w gry i odpływałam myślami gdzieś daleko. Jeśli zaburczało mi w brzuchu, a nikogo nie było w pobliżu, ssalam brudną gałązkę. Trzymałam ją jak papierosa i myślałam o babci. Wiedziałam, jaki serial właśnie ogląda. Wyobrażałam sobie, że siedzę obok niej na kanapie z miską płatków czekoladowych. Czasem na mnie spoglądała i wypowiadała moje imię. Kiedy indziej zapalała papierosa i umierałyśmy razem, trzymając się za ręce. Zastanawiałam się, czy mnie nienawidzi za to, co powiedziałam. Nie pożegnałam się z nią przed wyjazdem. Miałam potrzebę, żeby do niej zadzwonić.

Zamknęłam się w łazience i wyjęłam telefon.

– Babciu? – Włączyła się sekretarka. – Babciu? – Czekałam, aż podniesie słuchawkę. – Mówi Callie. – Nie odebrała. – Jak się czujesz? Jak twoje płuca? Dobrze? – Usiadłam na kłapie sedesu i wyjęłam z kieszeni liść. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że już mi lepiej, i przeprosić za to, co wtedy powiedziałam. – Zastanawiałam się, czy mnie słucha. Pogłaskałam liść. Czekałam. – Nie myślę tak i nie powinnam była tego mówić.

Poczekaliśmy jeszcze chwilę i zakończyłam połączenie. Wyjęłam z torby czerwony długopis i popatrzyłam na gładkie, czyste ściany. Mogłam napisać, co tylko chciałam. Na przykład podać do publicznej wiadomości, że Dallas jest kanibalem o podwójnym podbródku, który zjada penisy na śniadanie. Albo że Elle jest nedorobionym strachem na wróble. Mogłam narysować, jak płoną na stosie. Zamiast tego podwinęłam swoją bluzkę. Kupa Niemowlaka. Nic innego. Najpierw napisałam to sobie na brzuchu. Potem zsunęłam spodnie i pomazałam uda. Odsunęłam kołnierz i podpisałam ramię. Przyciskałam chłodną końcówkę długopisu w coraz to nowe miejsca. Moje przezwisko było wszystkim, co teraz miałam.

Do: R.Doblak@sparkon.com

Temat: (bez tematu)

Robyn,

dziś obudziłam się szczęśliwa, bo zapomniałam, że mnie nienawidzisz. Przez dziesięć cudownych sekund znów byliśmy przyjaciółkami. Powiedziałaś, żebym pooglądała kreskówki i zjadła trochę płatków. Uśmiechnęłam się, kiedy powiedziałaś moje imię, a potem otworzyłam oczy. To było złudzenie. Nadal jestem sama. C

*

Rebecca była bardzo podekscytowana pierwszym piątkiem w nowej szkole.

– Biało-niebieski piątek – przypomniała mi. – Wiesz już, w co się ubierzesz?

Tego dnia mieliśmy się ubrać w barwy reprezentacyjne szkoły. Zapowiedzieli apel i zawody sportowe, głównie dla pierwszoklasistów, od których oczekiwano szczególnego zaangażowania. Niektórzy pomalują twarze i ręce. Grono pedagogiczne pomagało nam w ten sposób pokochać nową szkołę i siebie nawzajem, co było niewątpliwą bzdurą. Pomalowana czy nie, wciąż będę tą samą Kupą Niemowlaka. Nawet gdybym potrafiła znów zostać Podwójnym Mieczem, nic bym nie zwojowała. To wszystko puste gesty. Powiedziałam Rebecce, co myślę.

– Nie chcesz okazać swojego wsparcia kolegom i koleżankom ze szkolnych drużyn?

– Kolor to tylko kolor. Nic nie zmienia.

– Owszem, może zmienić twoje samopoczucie – zaprotestowała. – Wiesz, w czasach mojego dzieciństwa panowała moda na łańcuszki. Każdy list zaczynał się od zdania: TO NIE JEST ŻART. Dalej zazwyczaj było napisane, że okrążył świat co najmniej siedem razy. Autor obiecywał szczęście osobom, które go skopiują i prześlą kolejnym siedmiu osobom. Kto tego nie zrobił, narażał się na śmierć lub utratę dużej sumy pieniędzy. Przepisywanie zajmowało mi mnóstwo czasu i nie do końca w to wszystko wierzyłam. Czułam w sobie jednak jakąś dziwną moc, jakbym miała wpływ na coś ważnego. Lubiłam sobie wyobrażać, że jestem częścią czegoś większego, że naprawdę komuś pomagam. – Odłożyła łyżkę i popatrzyła na mnie. – Wy nie jesteście tak naiwni. Nie istnieją łańcuszki elektroniczne, prawda? Znałam kiedyś chłopaka, który uwierzył, że dostanie pocztą tysiąc dolarów za wysłanie piątaka osobie z listy. Opowiadał o wielkim przyjęciu na plaży, które wyprawi. Przez chwilę czuł się bogaczem.

– To najgłupsza rzecz, o jakiej słyszałam. Musiał się potem strasznie wstydzić.

– Może. – Rebecca przymknęła oczy. – Może ta lekcja była mu potrzebna. Chciałam chyba powiedzieć, że niektóre rytuały są dobre, nawet jeśli pozornie nie przynoszą

oczekiwanego rezultatu.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Chciała zrobić ze mnie idiotkę podobną do siebie i całej reszty. Chciała, żebyśmy wszyscy bezmyślnie oddawali się tym samym ogłupiającym, kretyńskim czynnościom. Jak zombi. Na tym polegało życie.

Zacząłam uważniej obserwować, co się dzieje w szkole. Wszyscy podskakiwali na dźwięk dzwonka. Wszyscy kibicowali na zawodach sportowych. Wstawaliśmy i kładliśmy dłonie na sercach, gdy z głośników dobiegały dźwięki hymnu narodowego. Dyrektor wygłaszał przysięgę na wierność sztandarowi, towarzyszył mu chóralny szmer głosów, inni tylko poruszali ustami. Chłopak z pierwszej ławki prostował się jak struna i mówił z takim zaangażowaniem, że niemal krzyczał. Zerkalam na flagę z ciekawością: czy ludzie rzeczywiście coś do niej czują? Wierzą w tę przysięgę? Czy dyrektor zastanawia się nad każdym słowem, rozumie, co oznacza? Czy to jeden z wielu obrzędów zombi? Puste słowa wykute na pamięć jeszcze w przedszkolu, kiedy byliśmy za mali, by naprawdę je zrozumieć. Nie powinnam tak myśleć, wiedziałam o tym. Nie potrafiłam jednak przestać się zastanawiać, czy wszyscy czują to, co powinni? A może tylko udają? Pewnego dnia ktoś powiesi zupełnie inną flagę i nikt nawet nie zwróci uwagi.

Nikt nie śpiewał. Po skończonym hymnie usiedliśmy na swoich miejscach. Pani Dobbler popatrzyła w monitor laptopa i starła szminkę z zębów. Wszyscy byliśmy praktycznie pozbawieni mózgow.

Matematyk kazał mi zostać po lekcjach za karę, ponieważ się spóźniłam.

– Panno McKenzie, zostanie pani po lekcjach.

Sprawiał wrażenie szalenie dumnego z siebie. Pilnował porządku. Wszyscy przepisywali zadanie z tablicy. Usiadłam i otworzyłam zeszyt. Dalej nie dałam rady. Nie byłam w stanie skopiować ani jednego symbolu. Iksy i igreki nie miały dla mnie najmniejszego znaczenia. Litery, za którymi stoją numery – zmienne. W każdej chwili mogą być inne; stracić wartość, stać się ujemne, zniknąć do zera. Wszyscy oprócz mnie rozwiązywali zadanie. Złamałam ołówek i wpatrywałam się w swoje nadgarstki.

Jak udowodnić, że coś, co zniknęło bez śladu, w ogóle istniało? Jak bardzo można się skurczyć, zanim się zniknie? W prawdziwym życiu panowały inne zasady niż w matematyce: X nie mógł się równać – 1000, a po chwili wynosić 64. Kiedy człowiek tracił wartość, wszystko ją traciło. A może wszystkie rzeczy, które kiedyś cenił, zawsze były bezwartościowe?

Po lekcjach napisałam Rebecce SMS-a, że idę do Elli. Poszłam do sklepu z używaną odzieżą na Main Street. Dotykałam rzeczy wyrzuconych przez innych ludzi. Wiedziałam, że w domu znajdę kolejną wiadomość od Phoenix Drake. Poprzedniego wieczoru na monitorze pojawiło się zdjęcie śmierci z kosą i przeczytałam to, co Podwójne Miecze chciały, żebym przeczytała:

Kupo Niemowlaka! Cieszysz się, że nadal łazisz po ziemi i ją zasmradzasz? Nam się robi niedobrze. Twoje ciuchy wyglądają jak wyjęte ze śmietnika. Jesteś jebanym karaluchem, którego rozdepczę.

Dallas miała już ponad sześciuset znajomych na Facebooku; dodawała do listy nowe osoby ze szkoły. Moja lista skurczyła się z trzystu pięćdziesięciu sześciu do trzystu dwudziestu dwóch. Żadna z tych trzystu dwudziestu dwóch osób nie była moim przyjacielem, większość mnie nienawdziła. Zniknęłam, przestałam istnieć. Chociaż wyglądałam i ubierałam się tak samo jak wcześniej, byłam kimś innym.

Wybrałam męski T-shirt koloru kupy niemowlaka ze zdjęciem czarnego mężczyzny z ogromnym afro. Materiał był miękki i znoszony. Ciekawe, skąd się tu wziął i dlaczego? Ktoś go nosił, a potem przestał. Teraz ja go będę nosić. Zapłaciłam trzy dolary i poszłam do domu. Zanim usiadłam do komputera, ubrałam się w swój nowy nabytek.

Phoenix nie napisała do mnie żadnej wiadomości. Dallas i Ella też nie. Potarłam miękkie rękawy bluzki pachnącej płynem zmiękczającym.

– Kupa Niemowlaka – powiedziałam na głos swoje imię. Kolejny raz poczułam się jak dzikie zwierzę. Chciałam posmakować krwi.

Zaczęłam pisać wiadomość do Phoenix Drake:

Dallas i Ello, wiem, że to Wy. Buziaki, Kupa Niemowlaka.

Po kilku minutach dostałam powiadomienie. Dallas zaprosiła mnie do nowej grupy o nazwie: CZY MIAŁEŚ NIESZCZĘŚCIE WĄCHAĆ KUPE NIEMOWLAKA?

Weszłam na profil. W lewym górnym rogu było moje zdjęcie zrobione w czerwcu zeszłego roku u Elli. Tańczyłam ubrana w swoją zieloną pizamę. Miałam roztrzepane włosy, otwartą buzię i minę, jakbym dyszała. Albo robiła kupę.

Grupa przeznaczona dla osób, które doświadczyły najpodlejszego odoru na świecie – smrodu Kupy Niemowlaka. Tutaj możesz podzielić się zdjęciami i doświadczeniami.

Phoenix Drake występowała jako założycielka grupy. Dołączyło już siedem osób, a Kevin Brunetti dodał komentarz:

Wąchałem ją dziś, śmierdziała gównem. ROFL

Ponownie spojrzałam na swoje zdjęcie i przycisnęłam rękę do piersi. Coś przestało

działać. Klatka piersiowa się poruszała, ale płuca przestały pompować powietrze. Wirowały w nich czarne liście. Nie. Tak. Tak. Nie. Położyłam się na podłodze i czekałam, aż wszystko minie. Kolory zblakną. Czyste. Głębokie. Duszne.

Pukanie do drzwi. Oddech wrócił.

– Callie? Dlaczego leżysz na podłodze? – Zombiak. – Kochanie? Co się stało?

Pod łóżkiem leżała żółta skarpetka. Sięgnęłam po nią.

– Szukałam skarpetki. – Skarpetka kazała mi wstać, co też zrobiłam, bardzo niepewnie.

– Masz tu prawdziwy Trójkąt Bermudzki. – Zombi podniosło kurtkę i powiesiło ją na drzwiach. – Będziesz musiała posprzątać w ten weekend. Poodkurzać też. – Rzuciłam skarpetkę na łóżko, usiadłam przy biurku i wyłączyłam komputer. Zombi mnie obserwowało. – Hej, a skąd masz tę koszulkę?

– Z lumpeksu.

– Wypiorę ci, pewnie jest brudna.

Utworzyły grupę i będą ją powiększać. Skrzyżowałam ręce i pokręciłam głową. Koszulka nie chciała być czysta, chciała zostać dokładnie taka, jaka była.

Rano wstrzymałam oddech, zanim tam zajrzałam. Grupa liczyła jedenastu członków. Spałam w swojej nowej starej bluzce. *Nie zmieniaj mnie*, powiedziała. Nie wyszczotkowałam włosów i czułam się z tym dobrze. *Nie dotykaj*, poprosiła skóra. Zostawiłam na umywalce nietknięty fluid i cień do powiek.

– Co to za nowy styl? – spytała Rebecca, kiedy weszłam do kuchni.

– Emo – skłamałam.

– Emo? Za moich czasów byli hipisi.

Przed pierwszą przerwą zobaczyłam na korytarzu Dallas i Elle. Gdybym zaczęła na nie krzyczeć, wybuchnęłyby śmiechem. Wszelkie prośby obróciłyby się przeciwko mnie. Schowałam ręce pod bluzkę i nadałam twarzy nieprzenikniony wyraz.

– Ktoś użył nocniczka i jest z siebie bardzo dumny – zawołała Ella.

– Grzeczna Kupka – powiedziała Dallas, klaszcząc.

Myślałam, że nie zdołam dojść do klasy. Moje nogi nie rozumiały, czemu mają mnie tam zabrać. Uważały, że powinnam uciec do lasu, a kiedy tego nie zrobiłam, odmówiły posłuszeństwa i zaczęły się uginać. Ich zdaniem powinnam upaść na środku korytarza i poczekać na wezwanie karetki. Co potem? Uszczypnęłam się i szłam dalej.

Wyczuwałam ich obecność wokół siebie. Zombi, które mnie nienawidziły. Wszystkie otepiałe istoty, które nie cofnęłyby się przed morderstwem. Byłam drzewem, a oni wieśniakami otaczającymi mnie ze wszystkich stron z siekierami gotowymi do ciosu. Dostrzegli imię wyryte na mojej skórze i postanowili ze mną skończyć. Zakryłam twarz zwiedłymi liśćmi włosów i szłam szybko przed siebie, na nikogo nie patrząc.

Weszłam do pracowni matematycznej i usłyszałam, że ktoś ma odruch wymiotny.

Nauczyciela jeszcze nie było, wszystkie oczy zwróciły się na mnie.

– Uśmiechnij się! – Ashton Davies uniósł telefon. Cyk, cyk. – Pięknie. – Pokazał zdjęcie kolegom.

Usiadłam i spuściłam głowę. Więcej osób zaczęło robić zdjęcia.

– Kupo Niemowlaka – szepnął ktoś. Chcieli, żeby ślimak pełzał w błocie i pozował do zdjęć ze ślimaczym uśmiechem. Skuliłam się.

Pan Gimble wszedł do klasy i przesunął białą tablicę.

– Pierwiastek kwadratowy – oznajmił.

Podniosłam głowę. Jak wygląda pierwiastek kwadratowy? Wyobraziłam go sobie jako kwadratową skrzynię pod ziemią, w miejscu korzeni drzewa. Czerwoną albo czarną, wypełnioną liśćmi, nasionami albo małymi ludzikami. Ludzie też mogli mieć swoje pierwiastki kwadratowe – pudełka schowane za żebrami, a w nich najmniejsza i najważniejsza część danej osoby, pomnożona przez samą siebie. Narysowałam symbol w zeszycie i podpisałam go imieniem Elli.

W jej pudełku były dwa miecze. Albo wykałaczki. Bez nich jej pudełko nie byłoby chyba puste. Przypomniałam sobie, jak płakała na *Chłopcu w pasiastej piżamie* i nosiła moją torbę, kiedy skręciłam nogę w szóstej klasie. Dostałam od niej moje ulubione kolczyki. Na jakiś czas została wegetarianką, kiedy dowiedziała się ode mnie, że świni dorównują inteligencją czteroletniemu ludzkiemu dziecku. Nawet jeżeli jej pierwiastek kwadratowy nie był z gruntu zły, jak to rozwiązać?

Kim jestem bez swoich mieczy? Mój pierwiastek kwadratowy był trudny do rozwiązania. Czasami odczuwałam go jako kawałek drewna albo brązowego ślimaka bez skorupy, albo kamień z jakimś imieniem. Może to coś, czego jeszcze nie widzę? Coś jaśniejszego i mniejszego. Jakieś słowo. Pazur. Lśniące czarne nasionko, z którego wyrośnie nowy, prawdziwszy byt.

Grupa CZY MIAŁEŚ NIESZCZĘŚCIE WĄCHAĆ KUPEŁ NIEMOWLAKA? miała czternastu członków, kiedy wróciłam tego dnia do domu. Przejrzałam komentarze.

Poczułam to dzisiaj od niej i prawie się porzygałam. Mieszanka starego szamba i krwi menstruacyjnej.

Najgorszy zapach na świecie – zgniłe jaja i sraczka.



BRUDAS LOL

Im więcej piszą, tym większy zamęt. Kliknęłam w profil Phoenix Drake, myśląc o pierwiastkach kwadratowych. O słowach i hasłach, które mogą złamać szyfr. „Dallas Yardley Price”, napisałam w zeszycie. Wiedziałam bardzo dużo na jej temat.

Gdzieś pośród tych informacji mógł tkwić klucz do wszystkich pustych pudełek, które mnie otaczały.

Urodziny Dallas. Ulubione marki, jedzenie, muzyka, filmy. Przewiska i sekrety. Szczęśliwa cyfra. Imiona członków rodziny łącznie z kotami. Adresy e-mailowe – będę ich potrzebować. Ulubiony kolor i zwierzę. Jak nazywała swoje piersi i co nam opowiadała o Kevinie. Kiedy skończyłam z Dallas, przewróciłam kartkę i napisałam: Ella Abi Brooks, po czym zrobiłam kolejną listę. Na razie musiałam poczekać ze sprawdzaniem. Poszłam do salonu, gdzie zastałam Rebeccę oglądającą album ze zdjęciami. Zapomniałam, że zbliża się ta data. Zazwyczaj coś mi o tym przypominało. Rebecca częściej płakała w wannie i czasami nie słyszała, co się do niej mówi. Tym razem była uśmiechnięta.

– Pooglądaj ze mną, Callie.

Pierwiastkiem kwadratowym Rebekki zawsze będzie moja mama. Usiadłam obok niej na kanapie i pozwoliłam jej przewracać strony. Najpierw zdjęcia z dzieciństwa. Nigdy nie dorównam mamie urodą. Była drobna, roześmiana i urocza – już na zawsze taka zostanie. Nie dowiemy się o niej niczego nowego. Rebecca chichotała, jakby widziała ten album po raz pierwszy w życiu. Pewnego wieczoru owinęły się satynowymi szlafrokami i wysmarowały twarze białym fluidem. Mama trzymała wachlarz. Na innym zdjęciu odstłoniły ramiona i wymalowały powieki niebieskim cieniem. Na kolejnym pozowały z uśmiechem w piżamach. Robiły straszne miny. Przyszło mi do głowy pytanie, którego nigdy wcześniej nie zadałam. Kto robił zdjęcia? Trzecia przyjaciółka, zbyt brzydka, żeby pozować? Ktoś, kogo zapraszały, żeby je podziwiał?

– Kto robił zdjęcia?

Rebecca przewróciła stronę.

– Niektóre twój tata – powiedziała po chwili. – Kiedy byliśmy mali.

– Dlaczego na żadnym go nie ma?

– Pewnie dlatego, że był fotografem.

– Tym gorzej dla niego, co?

Przysunęła album bliżej siebie.

– Wiesz co? Myślałam o naszej ostatniej rozmowie na temat szkolnych barw – powiedziała. – Wydaje mi się, że źle się wtedy wyraziłam. Nie powinnaś robić nic, co uważasz za bezsensowne, tylko i wyłącznie dla świętego spokoju. Jednak naprawdę sędzę, że czasem dobrze by ci zrobiło, gdybyś zaangażowała się w coś większego niż ty sama. To daje poczucie wspólnoty, którego potrzebujemy. – Przesunęła palcem po stronie albumu. – Chcę, żebyś korzystała z życia, lubiła szkołę, pielęgnowała przyjaźnie. To wszystko wymaga zaangażowania.

Patrzyłam na fotografii swojej zmarłej matki, jednowymiarowe, zatrzymane w czasie. Na uśmiech, który nigdy nie zniknie. Mogłam się zaangażować, ale nie w to,

czego chciała dla mnie Rebecca. Było już za późno, żeby zostać kimś innym.

Poszłam do łóżka z laptopem i zaczęłam się angażować na Facebooku. Wpisałam jeden z adresów e-mailowych Dallas w rubryce „nazwa użytkownika”. Potem zerkałam na listę z zeszytu i próbowałam różnych haseł: Jaguar, Maury, Tif-Tif, PM95, Prada, Zmierch. Możliwych kombinacji liter i cyfr były setki tysięcy. Za każdym razem odznaczałam w zeszycie tę niewłaściwą. Po jakimś czasie strona zablokowała mi dostęp. Spróbowałam się włamać na konto e-mailowe. Zablokowali mnie po sześciu próbach. Zająłam się kontem Elli. Musiałam myśleć pozytywnie, mogło minąć wiele czasu, zanim wreszcie osiągnę cel. Blokady były tymczasowe. Wpisywałam po kolei słowa z listy i wyobrażałam sobie Dallas i Ellę pozbawione podwójnych mieczy.

Najpierw Dallas. Zgarbiona, niezdolna do śmiechu, przemykająca się w tłumie. Patrząca z przerażeniem na swoje dawne ofiary i odchodząca ze spuszczoną głową. *Sama*, mówiłaby do siebie. *Mam na imię Sama*.

Ella bałaby się wyjść z łazienki. Siedziałyby roztrzęsiona w kabinie. Zrozumiałaby, że dziewczyna, którą kiedyś była, przestała istnieć. Ramiona utraciłyby swoją siłę i przestałyby wchodzić do wody z obawy przed utonięciem. Skrzyżowałyby ręce na ramionach i wypowiedziała swoje nowe imię. *Stracona*. *Mam na imię Stracona*.

Co do całej reszty pustaków – tych, którzy się zaangażowali dla poczucia wspólnoty – na zawsze trafię do ich pudełek. Zostanę częścią pierwiastka kwadratowego, nigdy się ode mnie nie uwolnią. Będę ich dusić w gardle, będą się przeze mnie zginać wpół z bólu za każdym razem, kiedy spróbują się zaśmiać albo zażartować z kogoś.

Nie złamałam żadnego hasła. Musiałam wstać rano i pójść do szkoły w swojej nowej starej bluzce ze świadomością, że nic się nie zmieniło. Chłopcy będą naśladowali na mój widok odgłos puszczania bąków. Grupa CZY MIAŁEŚ NIESZCZĘŚCIE WĄCHAĆ KUPĘ NIEMOWLAKA? miała szesnastu uczestników. Zebrałam liście z podwórka za szopą i schowałam jeden do kieszeni. Dziewiętnastu uczestników. Dziewczyna siedząca za mną postawiła na ławce butelkę coli. Czekałam, aż mnie nią obleje. Nie zrobiła tego. Oparłam głowę o swoją ławkę. Po porannych ogłoszeniach kazali nam wstać. Pozostałam na swoim miejscu z opuszczoną głową i zamknęłam oczy.

– Callie! Callie, wstań! – krzyczała pani Dobbler, przerwawszy recytowanie przysięgi.

Ktoś szturchnął mnie w ramię.

– Chyba płacze! – wrzasnął jakiś chłopak.

Zaczęli grać hymn, ale nikt nie śpiewał. Usłyszałam szuranie krzesel i głos pani Dobbler dobiegający z bliska.

– Porozmawiajmy na korytarzu.

Zakryłam twarz włosami, żeby nikogo po drodze nie widzieć.

Pani Dobbler sądziła, że mam kłopoty w domu. Śpiewnie podkreśliła słowo „dom”. W domu. W domu. Popatrzyłam na jej lakierki z kokardkami. Współczuwały, gdybym wyznała prawdę. Ale uznałyby, że sama nie jestem bez winy. Usiłowałam sobie wyobrazić rozmowę Rebekki z rodzicami Dallas. Zniszczyliby ją, nawet by się nie zorientowała kiedy. Zapłakana Dallas miałaby nagie zdjęcie na dowód, że ją gnębiłam. Potem dostanę podwójną dawkę tortur za kablowanie.

– Źle się czuję. Boli mnie brzuch. – Skrzyżowałam ramiona w talii. Pozwoliła mi pójść do pielęgniarstwa. Chciałam się na chwilę położyć, ale pielęgniarstwo zapytała, co jadłam na śniadanie. Miała dziecinne spinki we włosach i podrapaną skórę.

– Nie należy wychodzić z domu bez śniadania – nauczyła mnie, podając szklanekę soku.

– Nie mogłam niczego przełknąć, bo chciało mi się wymiotować.

– Spadnie ci poziom cukru. Nigdy nie jadasz śniadań?

Wypiłam sok, ale odmówiłam zjedzenia batona energetycznego.

– Czy mogłabym się położyć? Chociaż na minutę.

Zmierzyła mi temperaturę. Mogę się położyć, pod warunkiem że spróbuję zjeść batonik. Odwinęłam go z papierka i zaczęłam skubać. Po czterdziestu minutach, kiedy zadzwonił dzwonek na kolejną lekcję, kazała mi wracać do klasy.

W sobotę rano, w dzień wizyty na cmentarzu, grupa założona przez Dallas i Ellę na Facebooku liczyła dwadzieścia cztery osoby. Dwadzieścia cztery pustaki połączone zgniłymi myślami, o jednakowych sercach wielkości łebka od szpilki.

Davenport Henshaw zamieścił zdjęcie psiej kupy na trawniku. Megan O’Leary napisała komentarz: *Nieeeeeeeeeeeeeeeeeeeee! Kupa Niemowlaka? LOL!*

Zamiast jechać na cmentarz, wolałam zostać w domu i testować nowe hasła. Cała ceremonia Rebekki była żalosna i niepotrzebna. Opowiadała mi o mamie i uważnie sprawdzała reakcję. Chyba chciała doprowadzić mnie do płaczu. Czasem swędziały mnie oczy, ale nie dotykałam ich, żeby nie pomyślała, że ukradkiem ocieram łzy wzruszenia.

– Źle się czuję – powiedziałam. Jej ręka wylądowała na moim czole jak ciepły, wilgotny nietoperz. Przysiadł na chwilę i odleciał. Przyniosła termometr i stanęła z rękami na biodrach. Omiotła wzrokiem cały pokój. Następnie przyniosła tacę z jedzeniem i zakomunikowała, że zostanie ze mną w domu. Zaczęła mówić coś o szpitalach i lekarzach. Przecież nie zrezygnowałabym z wizyty na cmentarzu z jakiegoś błahego powodu, na pewno bardzo źle się czuję. Miałam ochotę rozdrapać jej twarz. Nie zmusi mnie, żebym pojechała. Wbiję mnie w poczucie winy. Wyobraziłam sobie wielkie, białe ptaszysko stojące na jednej nodze. Otwierało swój dziób i dziobało mnie przez kołdrę. Iny, winy. Iny, winy. Winy. Winy. Winy.

– Nic się nie stanie, jeśli ten jeden raz zostaniemy w domu.

Nigdy nie przestanie dziobać. Upiłam duży łyk herbaty i przetrzymałam go w ustach. Co by powiedziała, gdybym ją opluła?

W samochodzie udawałam, że mnie nie ma. Rebecca jedzie sama, w swoim pasiastym sweterku i kolczykach, wyperfumowana jakimś kwiatowym zapachem. Wyjeżdżając z Pembury, przechyliła głowę i spojrzała w lusterko wsteczne. Każdy jej gest był przesadzony, jakby wołała bezgłośnie: *Patrz na mnie! Zwróć na mnie uwagę!* Ale była sama w samochodzie. Mówiła do siebie z przesadną intonacją, choć wiedziała, że nie ma żadnego słuchacza. Była całkiem sama.

Zaparkowała na cmentarzu i otworzyła bagażnik. Musiałam ją zostawić, miałam potworne mdłości. Mój pierwiastek kwadratowy wypełniała brązowa kupa, każda noga ważyła tonę, przęłykałam gryzące nasiona. Dotknęłam koszulki, którą nosiłam od paru dni. Postanowiłam nie zdejmować jej już nigdy i nigdy nie iść pod prysznic. Zaczęłam kopać dół obok pomnika mamy. To był mój grób. Wykopię głęboki tunel i wskoczę do niego na główkę.

Rebecca zaczęła histeryzować. Ach, ach. Spojrzałam na kartkę, którą trzymała w dłoni. Kartkę napisaną przeze mnie do mamy. Udzieliła mi się jej histeria.

Twoja córka krzywdzi ludzi. Wylała farbę i wysłała zdjęcie. Callie zasługuje na śmierć.
Powinna umrzeć, tak jak Ty.

Rebecca słała się na nogach, ale kiedy upadłam, poczułam jej dłoń pod swoimi plecami. Teraz zobaczy i pozna moją prawdziwą twarz. Nie miałam dokąd uciec. Byłam krabem bez skorupy. Patrzyła na odkryte ciało. Jak mogła nie zauważyć wcześniej jego brzydoty?

– Zgłoszę to na policję – oświadczyła. – Nie pozwolę, żeby była bezkarna.

Po powrocie do domu weszłam do łóżka i pozwoliłam Rebecce skakać wokół mnie. Przynosiła mi zimne napoje, zupę, nazywała rzewnie kochaniem. Dusiałam się, ale nie miałam siły walczyć. Łóżko było tratwą na wzburzonej wodzie i ruchomych piaskach. Tonęłam. Jeśli nie spróbuję popłynąć, z moich ust zaczną wypływać bąbelki powietrza i będę mogła spokojnie odejść. Pozwoliłam Rebecce uprać nową starą koszulkę. Poddawałam się. Zapytała, czy list mógł napisać ktokolwiek inny, a ja nie mogłam powiedzieć prawdy. Wtedy zasugerowała, że Robyn zasłużyła sobie na złe traktowanie, ponieważ była dziwna.

Od: C.Mckenzie@chronomail.com

Do: R.Doblak@sparkon.com

Temat: (bez tematu)

Data: Sobota, 12 września 2009, 14:51:45

Robyn,

co byś powiedziała, gdybym zamieniła się w Ciebie i dała sobie nauczkę? Zdemaskowała Callie, pokazała wiadomości? Innym też dam nauczkę, pokażę, co nam zrobili. Dopilnuję, żeby sobie to dobrze zapamiętali i nigdy więcej nie powtórzyli.

Pamiętasz Autumn Sanger, o której Ci kiedyś pisałam? Ludzie zapamiętali ją na całe życie po tym, jak utonęła. Rebecca nawet jej nie znała, a nadal o niej opowiada po dwudziestu latach. Pomyśl, co by było, gdyby Autumn zostawiła list, w którym wskazałaby swojego prześladowcę i obwiniła go o swoją śmierć... Albo przyznała się do dokuczania komuś. Czy nasze życie wyglądałoby dziś inaczej? Myślisz, że jedna osoba jest w stanie coś zmienić? Ja się zmieniam cały czas. Zamieniam się w Ciebie. C

*

W niedzielę grupa CZY MIAŁEŚ NIESZCZĘŚCIE WĄCHAĆ KUPĘ NIEMOWLAKA? urosła do trzydziestu jeden osób. Zwymiotowałam, żeby nie iść w poniedziałek do szkoły. Po wyjściu Rebekki do pracy włożyłam swoją nową starą koszulkę i zasiadłam przed komputerem. Wpisałam do przeglądarki: „jak włamać się na konto”, i oglądałam filmiki na Youtube pokazujące, w jaki sposób ściągać programy do łamania haseł. Były też strony z radami dotyczącymi odgadywania haseł, ich autorzy twierdzili, że można to zrobić, jeśli się kogoś dobrze zna. Nie miałam doświadczenia z programami hakerskimi, bałam się zainfekowania komputera wirusem. Postanowiłam wyznaczyć sobie limit czasowy. Jeśli przez tydzień nie odgadnę żadnego hasła, ściągnę program do ich łamania.

Pracowałam, popijając colę i gryząc dropsy. Wypisałam nazwiska sławnych pływaków do wypróbowania na koncie Elli. Wpisywałam miejsca, w których Dallas była na wakacjach: Meksyk, Paryż, Kalifornia, Hawaje, Kolorado. Od czasu do czasu robiłam sobie krótką przerwę na spacer do lodówki, mimo że nie odczuwałam głodu. Patrzyłam na opakowanie zupy i wpadało mi do głowy nowe słowo, biegłam wtedy z powrotem do pokoju, żeby je czym prędzej sprawdzić. Przestałam być nikim, znów poczułam się sobą. Byłam pochłonięta swoim zadaniem jak detektyw lub naukowiec przy pracy. Wydawało mi się, że jeżeli wypróbuję wystarczająco dużo haseł, któreś wreszcie zadziała. Zapisywałam całe strony w zeszycie, testowałam i odznaczałam po kolei każde słowo. Telefon wibrował, a ja nawet nie czytałam wiadomości, tak wiele się we mnie zmieniło. Nieważne, jakimi obelgami mnie obrzucają – SMS-y wykorzystam później jako dowód.

Myślałam o różnych osobach. Zadzwoiłam do babci, ale nie odbierała. Po raz trzeci

nagrałam się na automatyczną sekretarkę. Wpisałam do przeglądarki nazwiska Aleksa Pendersa i Josie Dixon. Oboje mieli profile internetowe, więc mogłam do nich napisać, ale co miałam im powiedzieć? Przepraszam? Zdjęcia wyglądały całkiem normalnie. Aleks miał proste, brązowe włosy i dołeczek w brodzie. Josie uśmiechała się nieśmiało, na jej twarzy nie było ani jednego włosa. Czy odczuwałam autentyczną skruchę, wiedząc, jak musieli się wtedy czuć? Mój tata sam dorastał bez ojca, jednak to go nie powstrzymało przed dwukrotnym porzuceniem mnie. Możliwe, że żałował, i dlatego się zabił. Albo oszukiwałam sama siebie. Może po prostu nie miał sumienia? Niektórzy ludzie już tacy przychodzą na świat, a czasem sumienie odzywa się zbyt późno.

Przypomniałam sobie swój śmiech i wpisałam nazwisko Irene Lutz. Nie znalazłam żadnych informacji w sieci, więc weszłam na stronę gimnazjum i znalazłam adres e-mailowy sekretariatu.

Mogłam napisać do całej trójki – do Aleksa, Josie i pani Lutz – przeprosić i obiecać, że Dallas i Ella pożałują tego, co zrobiły. Nawet jeżeli mi na początku nie uwierzą, już niedługo przekonają się, że nie żartowałam. Musiałam tylko złamać hasło i napisać listy z przeprosinami.

O piątej zamknęłam laptopa i weszłam pod kołdrę, żeby Rebecca pomyślała, że spałam przez cały dzień. Przysiadła na krawędzi łóżka, ubrana w służbowy strój, i zrobiła mi okład na czoło. Pachniała nićmi dentystycznymi. Pomyślałam, że w przyszłości będzie tu siadać i wspominać. Zrobiło mi się jej szkoda.

– Dasz radę coś zjeść? – Nic jeszcze tego dnia nie jadłam i nagle dopadł mnie wilczy głód. – Może makaron z serem?

Zaburczało mi w brzuchu. Makaron z serem to moja ulubiona potrawa, a Rebecca całkiem nieźle gotuje. Najpospolitsza potrawa – na przykład gotowane ziemniaki – w jej wykonaniu była naprawdę pyszna. Dodawała sól, pieprz, ser, dymkę, śmietanę, masło i człowiek nie chciał zostawić ani okruszynki.

Kiedy usiadłam do stołu, byłam już tak głodna, że prawie się śliniłam, i było mi głupio. Zapach sera mnie hipnotyzował. Zanurzyłam widelec w miękkiej, białej mazi i poczułam, że chcę się w niej cała zatopić.

– Callie? – Rebecca podskoczyła, prawie na mnie wpadając. – Co się stało? – Pływałam w serze, kleista substancja oblepiała moje rękawy, włosy i podbródek. Rozśmieszyła mnie przerażona mina Rebekki. Zlizałam ostro doprawiony sos. – Dobrze się czujesz?

– Aha. Pycha.

Wygłupiałam się i tłumiałam chichot, patrząc na jej twarz. To magiczny, cudowny ser, chciałam zawołać. Zlizałam go sobie z włosów, nie chcąc zmarnować ani odrobiny. Przyglądała mi się, jakbym toczyła pianę z ust – *toczyłam pianę z ust*. Wybuchnęłam śmiechem. Nie przejmowałam się bałaganem, którego narobiłam,

jedzenie było dzięki temu jeszcze pyszniejsze. Rebecca też się śmiała. Przez te dwie minuty nie pamiętałam o swoich planach, zapomniałam, jak spędziłam dzień, na moment wróciłam do siebie.

To nie mogło trwać długo. Po kolacji zajrzałam na Facebooka. Grupa miała trzydziestu czterech członków. Zwymiotowałam na myśl o tym, że następnego dnia muszę iść do szkoły.

Złamanie hasła do konta e-mailowego Elli zajęło mi niecały tydzień i kosztowało dwadzieścia godzin pracy polegającej na wpisywaniu różnych kombinacji znaków. We wtorek rano wreszcie się udało. Hasło nie było trudne do odgadnięcia: *szacun*. Po przejrzaniu poczty okazało się, że miałam wyjątkowe szczęście – nie włamałam się na główne konto Elli, ale na to, którego użyła do rejestracji jako Phoenix Drake. Skrzynka odbiorcza pękała w szwach od nieprzeczytanych wiadomości. Ella dostawała powiadomienie na pocztę o każdej aktywności na stronie grupy CZY MIAŁEŚ NIESZCZĘŚCIE WĄCHAĆ KUPE NIEMOWLAKA? Ella to Phoenix, Phoenix założyła grupę na Facebooku. Miałam władzę nad nimi obiema. Szacun, pomyślałam. Pieprzony szacun. Wylogowałam się. Mogłabym wszystko bardzo szybko zakończyć, gdybym tylko chciała, jednak nie odczuwałam spodziewanej satysfakcji. Nie skakałam z radości. Przeciwnie, ogarnął mnie niepokój. Ella prawie nigdy nie zmieniała haseł. Nic się nie stanie, jeśli zaczekam. Potrzebowałam więcej czasu na przygotowanie i przemyślenia.

Włożyłam bluzkę i džinsy, nie chcąc tracić całego dnia na siedzenie w domu. Po raz pierwszy od kilku dni przyjrzałam się swoim włosom i postanowiłam je rozczesać. Niespiesznie szczotkowałam splątane kosmyki, obserwując się w lustrze. Związałam włosy i otworzyłam drzwi. Tamten dzień przypominał mi tysiące podobnych: niebo było białe, wiatr szumiał w koronach drzew. Patrzyłam na słupy i linie telefoniczne, wspomiinałam zimowy krajobraz oglądany z tego samego miejsca. Gdy odwoływano lekcje z powodu śnieżycy, Rebecca kazała mi wkładać na piżamę kurtkę i kozaki, po czym wychodziłyśmy na ganek i podziwiałymy zaśnieżone krzewy, drzewa, trawniki i domy. Zamarzyłam, żeby zobaczyć wszystko jeszcze raz: śnieg i wicherę. Błyskawice przecinające niebo.

Weszłam do środka i przeliczyłam oszczędności. Miałam prawie dwieście dolarów. Zadzwoiłam do firmy taksówkowej i zapytałam, ile będzie kosztował kurs. Dwadzieścia minut później gramoliłam się na tylne siedzenie niepozornego, szarego samochodu.

– Nikt mi nie powiedział, że mam wieźć dziecko. – Taksówkarz popatrzył na moją twarz, kurtkę i torbę. Zapięłam pasy. – Uciekasz z domu?

– Nie uciekam, jadę do babci. W centrali powiedzieli, że kurs będzie kosztował

czterdzieści pięć dolarów. Mogę zapłacić z góry.

– Do babci czy do *chłopaka*?

– Do babci. Jest śmiertelnie chora – dodałam ze smutkiem i wręczyłam mu zwitek banknotów.

Przeprosił i uruchomił silnik.

Trawnik przed domem był skoszony, samochód babci stał na podjeździe. Weszłam po betonowych schodkach na ganek i zapukałam do drzwi. Taksówkarz czekał, chociaż go o to nie prosiłam. Wolałabym, żeby odjechał. Chciałam zobaczyć uśmiechniętą babcię. „Jak się tu dostałaś, do diabła?“, zapytałaby, a ja odpowiedziałabym, że martwiłam się o jej zdrowie. Wtedy ona machnęłaby ręką. „Po co w ogóle o tym myślisz? Daj sobie spokój”. A potem bym ją przeprosiła. To nie jej wina, że tata nie żyje.

– Babciu! To ja, Callie! – wołałam. – Babciu, dobrze się czujesz? – Waliłam pięścią w drzwi, dopóki nie rozboleły mnie kostki. Potem kopnęłam trzy razy. – Babciu, babciu, babciu, babciu!

Taksówkarz zaprosił mnie gestem do samochodu. Dałam znak, żeby odjechał. Nie miałam zamiaru wracać do domu, dopóki nie zobaczę babci. Mogłam poczekać na podwórku albo wejść przez okno. Mogłam otworzyć zamek kartą biblioteczną lub zdrzemnąć się pod żywopłotem.

Pewnie spała i nie usłyszała pukania. A może spadła ze schodów i potrzebowała pomocy? Jej samochód stał przed domem, więc nigdzie nie pojechała. Rozejrzałam się po podwórku, następnie stanęłam na palcach i zajrzałam przez okno do środka. Zasłony były lekko uchylone.

Babcia siedziała na swoim fotelu. Najwyraźniej nie chciała mnie widzieć, nienawidziła mnie. Nie odbierała telefonów, w zeszłym miesiącu kazała mi się wynosić ze swojego domu. Wiedziała, że jestem żalosna. Straciłam ostatnią szansę na zmianę decyzji. Miałam ochotę wybić szybę. Wrzeszczeć i krwawić aż do utraty przytomności. W chwili kiedy podnosiłam rękę, dostrzegłam, że babcia nie była sama. Jakaś kobieta popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, słysząc uderzenie. Przyglądała mi się jak rozwścieczonemu pitbullowi. Babcia pokręciła głową.

Nieznajoma podeszła do okna i zrobiła gest przypominający pozdrowienie. Nie. Nie pozdrawiała mnie. Zaciągnęła zasłonę.

Upadłam na ziemię i czekałam, aż ktoś przyjdzie. Ziemia wirowała, chmury dryfowały, a ja nasłuchiwałam odgłosu otwieranych drzwi. Nie doczekałam się. Nimbus, nubes, cirrus, cumulus. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że obsiadły mnie ptaki. Zakrzywione nogi lekko stąpają po mojej bluzce, skrzydła łaskoczą szyję. Nie odleciałyby, gdybym była cicho. Pomyślałyby, że jestem jedną z nich – wielkim,

spokojnym ptakiem, który nie myśli o niczym. Liczą się tylko powietrze, drzewa i woda. Zabierzcie mnie, poprosiłabym. Uniosłyby mnie do góry. Dom babci, miasteczko, cały nasz stan – wszystko stopniowo znikałoby w oddali. Wylądowalibyśmy na szczycie kamiennej góry, powietrze byłoby tak rozrzedzone, że zapomniałabym swoje imię i ludzki język. Ćwir, ćwir, ćwir – ćwierkałabym. Jadłabym jagody i grzebała w piasku.

Jak w zwolnionym tempie podeszłam do taksówki i wsiadłam. Ćwir, ćwir. Jak dobrze być ptakiem, przestać myśleć. Pip, pip. Sto ptasich lat później usłyszałam głos taksówkarza:

- Do domu?
- Na Cmentarz Świętego Benedykta.

W samochodzie napisałam list. Chciałam ją zawiadomić, że niedługo do niej dołączę. Miałam potrzebę, żeby komuś wytłumaczyć dlaczego.

Na tej pieprzonej planecie nie ma ani jednej osoby, która by mnie rozumiała. Nikomu na mnie nie zależy. Może nie powinno mnie tu być? Może każdy widzi, że jestem jakimś nieporozumieniem? Codziennie słyszę, jak się ze mnie śmieją. Wszyscy wiemy, że powinnam nie żyć. Jestem główną pomyłką i trzeba mnie wymazać – czekam na to. Chcę spojrzeć w górę i zobaczyć nad sobą ZIEMIĘ!

Poprosiłam kierowcę, żeby zaczekał na parkingu, i pobiegłam do mamy. Wydarłam kartkę z zeszytu i położyłam na pustym miejscu pod kamieniem.

Wieczorem po raz kolejny zadzwoniłam do babci. Podniosła słuchawkę po szóstym sygnale. Usłyszałam pstryknięcie zapalniczki i odgłos zaciągania się dymem.

– Widziałam cię – powiedziałam. – Wiem, że byłeś w domu. Widziałam ciebie i tę kobietę. Czemu mnie nie wpuściłaś?

– Przyjechałaś w najgorszym możliwym momencie. Byłam w trakcie zabiegu. Nie uwierzyłam, jej głos brzmiał fałszywie.

– Jakiego zabiegu?

– A jak myślisz? Na moje płuca.

– Kim była ta pani?

Babcia zakaszłała, jakby połknęła wulkan.

– A właściwie co ty robiłaś pod moim domem? – zapytała. – Dlaczego nie byłaś w szkole?

– Byłam chora i nie poszłam. Kim była ta pani?

– Chora! Żandarm na pewno nie wie, że wychodziłaś z domu.

Poinformowałam ją, że nic mnie to nie obchodzi. Jeśli chce, niech na mnie naskarzy.

– Kim była ta pani? – powtórzyłam.

– To moja pielęgniarka – skłamała. Znałam swoją babcię. Nigdy nie chciała pielęgniarki.

– Nie wierzę ci. – Przygotowałam się na lawinę kłamstw, która pogrzebie nas obie.

– Powiem ci prawdę, jeżeli mi obiecasz, że nie wygadasz Żandarmowi. – Wstrzymałam oddech. Prawda jest jak gorąca lava. – Twój tata był zaręczony z inną kobietą, kiedy twoja mama zaszła z tobą w ciążę. To ją widziałeś, żonę swojego taty. Wzięli ślub przed twoim urodzeniem. Nie widziałam jej od bardzo dawna. – Mój mózg był suchy jak piasek, świat się kończył. Mimo wszystko usiłowałam zrozumieć słowa babci. Mój ojciec miał romans. Z moją matką. Nigdy mi o tym nie powiedzieli. – Tata nie był złym człowiekiem. Po prostu bardzo cierpiał. Nie trzeba być złym człowiekiem, żeby zrobić to, co zrobił.

Żeby zrobić to, co zrobił. Rozumiałam i nie rozumiałam jednocześnie. Niedługo miałam pójść w jego ślady.

Znalazłam Rebeccę w jej pokoju. Rozważałam przyznanie się, że już wiem. Okłamywała mnie przez tyle lat. Pozwoliła mi wierzyć, że moi rodzice byli parą. Tymczasem oni byli parą zdrajców. Powstałam ze zdrady.

Nagle zobaczyłam, co ma w ręku. Wyszła ukradkiem po południu, po mojej wizycie u lekarza. Myślałam, że na randkę. Ale nie. Pojechała na cmentarz i znalazła mój list.

Wierzyłam we wszystko, co napisałam. Byłam pomyłką, nie powinnam istnieć, lecz wolałam, żeby nie dowiedziała się o tym w ten sposób. Pojechała na grób mamy w najgorszym możliwym momencie. Przypomniałam sobie o Robyn.

– Wróciła? – Rebecca rzeczywiście była przekonana, że Robyn napisała list. To nad nią się litowała. Nie rozpoznała mojego charakteru pisma. – Każdemu można pomóc – oświadczyła. Mój mózg już obumierał.

W środę musiałam wrócić do szkoły, ponieważ lekarz stwierdził, że jestem zdrowa. Wepchnęłam pod poduszkę swoją używaną bluzkę i się umalowałam. Rebecca mnie obserwowała, musiałam udawać Podwójny Miecz. Myślałam, że teraz – kiedy znalazłam dla siebie drogę ucieczki – będzie mi łatwiej, ale załamalam się już przed pierwszą przerwą. Nie znajdowałam schronienia przed złośliwymi uśmieszkami, śmiechem i morderczymi słowami, których nie pojmowałam. DALLAS PRICE NA PRZEWODNICZĄCĄ PIERWSZYCH KLAS, obwieszczał plakat przed wejściem do klasy.

Szacun, przypomniałam sobie. *Szacun*. Gdybym zrobiła to wczoraj, nie musiałabym tu być. Szłam korytarzem, wyobrażając sobie, że tonę. Woda przyjemnie wypełniła moje płuca.

Czekali na mnie przed WOS-em. Z telefonami gotowymi do nagrywania. Na krześle leżała pielucha. Coś we mnie pękło. Ścisnęło mnie w gardle i szumiało mi w uszach. Wymazali ławkę czymś brązowym. Widziałam wyszczerzone uśmiechy, ale nic nie słyszałam. Nogi same poniosły mnie do wyjścia. Minęłam w drzwiach panią Laing, która coś za mną krzyknęła.

– Spierdalaj. – Wybiegłam na zewnątrz, w stronę drzew. Ktoś przytrzymał mnie za ramię. Popatrzyłam na mężczyznę w sportowej bluzie. – Spierdalaj.

Zaprowadził mnie do gabinetu dyrektora. Ludzie coś do mnie mówili. Posłusznie usiadłam na plastikowym krześle i popatrzyłam na swoje nadgarstki. Żyłki przypominały korzenie gotowe do ścięcia. Fioletowe gałęzie w kształcie Y. Równania, symbole, wyniki. Pod skórą, na nadgarstku, znalazłam rozwiązanie. Nie miałam więcej pytań. Wpatrywałam się w nadgarstek i pomyślałam, że tata musiał odkryć to samo. Pierwiastek kwadratowy. Równania, odejmowanie i wynik. Jedyna pewna rzecz, jaką o nim wiedziałam.

Twierdzili, że wybrudziłam ławkę czekoladą, przyjąłem do wiadomości ich wersję wydarzeń. Dyrektor nie mógł zrozumieć, czemu obraziłam panią Laing, a ja nie potrafiłam mu tego wytłumaczyć. Stłumiłam uśmiech, kiedy wyznaczili karę: pisemne przeprosiny dla pani Laing i zawieszenie w prawach ucznia do końca tygodnia. Nie mogłabym tego lepiej zaplanować, dostałam dwa dni wolnego. W sam raz na zaplanowanie szczegółów.

Po lekcjach poszłam odwiedzić swoje drzewa. Przypominałam sobie, czego się nauczyłam na obozie, gdy byłam młodsza. Liście wytwarzają cukier, który sprawia, że drzewo rośnie. Na jesieni obumierają i opadają. Wychowawca opowiedział nam, w jaki sposób Indianie wykorzystywali drzewa, a potem poprosił, żebyśmy stanęli na środku polany, zamknęli oczy i wyobrazili sobie, że jesteśmy drzewami, nasze korzenie są ukryte głęboko w ziemi, stoimy w tym samym miejscu o każdej porze roku. Czujemy ciepło słońca na korze, krążący w nas sok i chłodny deszcz na gałęziach. Kołysaliśmy się w przód i w tył wraz z podmuchami wiatru. „Teraz wasze liście zmieniają kolor i opadają”, powiedział. Idealne dzieła sztuki stworzone przez naturę opadały wokół mnie, jakby nigdy nikomu nie były potrzebne. Za chwilę nadeszła wiosna, rozkwitły na nas drobne pąki, wróciły zwierzęta i owady. „Wytwarzacie połowę tlenu na świecie”, powiedział i zapytał, jak się czujemy. „Wysoki”, odpowiadały niektóre dzieci. „Silny”. „Piękna”.

Ja czułam się smutna. Nie chciałam oddawać swoich liści. Pragnęłam pozbierać je wszystkie, każdy z nich jeszcze żył i był częścią mnie. Wiedziałam, że to niemądre – drzewa musiały gubić liście, żeby żyć. Nie rozumiały, że coś tracą. Im dłużej o tym myślałam, tym większy smutek mnie ogarniał.

Teraz rozumiałam, że to nie był smutek. Prawdziwy kształt drzewa widać, dopiero kiedy opadną z niego wszystkie liście i zostaje nagie, zdane na łaskę chłodu i wiatru. Ja zostałam odsłonięta w podobny sposób i zobaczyłam, kim jestem. Odtrutka na ich truciznę. Odkryłam hasło i zamierzałam wszystko zmienić.

Postanowiłam po raz ostatni zebrać liście. Wypychałam nimi kieszenie. Małe i ostre, przypominające kształtem gwiazdy. Delikatne i połamane, jak szkielety. Szłam przed siebie po śladach na błotnistej ścieżce, zbierając ze sobą wszystko, co znalazłam.

Tego wieczoru Rebecca odbyła ze mną poważną rozmowę. Odpowiadałam na pytania, rozkojarzona kawałkiem skórki winogrona, która przywarła do jej dolnej wargi, walcząc z pokusą, by ją zdjąć. Powiedziałam, że się zgubiłam i wybiegłam ze szkoły przez przypadek. Nie wiem, co mnie napadło, dlaczego przeklinałam. Mówiła i mówiła, z winogronową skórką przyczepioną do ust. Nie miałam najmniejszego zamiaru wyznać prawdy. Poczuję się lepiej tylko przez sekundę. Jakby w upalny dzień objęły mnie czyjeś ciepłe ramiona. *Moje biedactwo, przecież ja ci pomogę!* Uwięzi mnie w swoim sercu i zostanę tam na zawsze – słaba, żałosna, biedna ofiara przemocy w szkole.

– Myślisz, że zostawiła ją jedna z koleżanek Robyn? Może ta Lucinda? – Zaczęłam drapać ramiona. Pomyślałam o Demonie McFrenzy, który zmienił to, co widzieli inni. O małej blondyneczce, która zamieniła się w potwora. – ...Masz prawo popełniać błędy, ale przecież umiesz się kontrolować, Callie – kontynuowała Rebecca. – To do ciebie niepodobne.

Ogarnęła mnie fala mdłości, kiedy potarła tatuaż mamy. Trzymała wszystkich za blisko i za mocno. Drzewo, które nie odda liści, w końcu umrze. Chciałam, żeby przestała mnie przytrzymywać na siłę, chciałam opaść na ziemię jak tata.

– Przestań – powiedziałam. – Wiem, co sobie myślisz. – Cofnęła rękę i popatrzyła na mnie jak na wariatkę. Zamieniałam się w bestię, w najgorszą szumowinę. – Nie jestem taka jak mama! Może jestem bardziej podobna do *niego!* – krzyknęłam.

Wszystko ma swoje granice, nawet miłość, lecz kiedy wybiegłam do kuchni, Rebecca poszła za mną. Włożyłam ręce pod strumień wody. Ciekło mi z nosa. Jej miłość i tak nigdy nie była moja – kochała mnie zamiast kogoś innego.

– Zmiażdżyłam tę czekoladę, bo tak chciałam. Nie zawsze musi być powód. Niektórzy ludzie są pozbawieni sumienia.

Ona nie odchodziła, słyszałam za sobą jej oddech. Nienawidziłam tej upartej obecności. Opiekowała się mną tyle lat, zupełnie mnie nie znając. Nie miała pojęcia, do czego jestem zdolna, do jakich zniszczeń. Weszła za mną do pokoju, chciała mi pomóc. Będę musiała to wszystko porzucić, nie miałam wyboru. Wszystko ma swoje granice. Nawet miłość Rebekki.

Od: C.Mckenzie@chronomail.com

Do: R.Doblak@sparkon.com

Temat: (bez tematu)

Data: Środa, 16 września 2009, 23:10:07

Robyn,

utonięcie trwa siedem minut, tak piszą w internecie. Nie jest wcale łatwe, ponieważ ciało za wszelką cenę próbuje przetrwać. Prawdopodobnie dlatego Autumn Sanger piła wcześniej alkohol – żeby jej ciało było rozluźnione i łatwiej się poddało.

Wolałabym nie być wtedy sama, chciałabym, żebyś była przy mnie. Ciągle jestem sama. Teraz wiem, jak się czułaś. Nikt cię nie słyszy, zapadasz się coraz głębiej, wreszcie musisz się poddać, bo presja zaczyna cię przerastać.

Wydaje mi się, że znikam, a Ty jesteś jedyną osobą, która mnie jeszcze widzi. Odezwij się, jeśli tam jesteś. Daj mi tylko jakiś znak. C

Szkolny areszt mieścił się w skrzydle C. Podpisałam listę nauczycielowi, który miał nas pilnować. Wskazał mi miejsce w kącie. Oprócz mnie były tam już trzy osoby, każda usadzona w innym rogu. Podał mi zadania przygotowane przez moich nauczycieli i usiadłam przy biurku, przy którym miałam spędzić cały dzień. Na ścianie na wprost ławek wisiała tablica.

ZAKAZ ROZMAWIANIA, ŻUCIA GUMY, JEDZENIA, PICIA, UŻYWANIA TELEFONÓW KOMÓRKOWYCH.

BEZWZGLĘDNY ZAKAZ ODDALANIA SIĘ.

WYJŚCIE DO ŁAZIENKI WYŁĄCZNIE ZA ZGODĄ I POD KONTROLĄ NAUCZYCIELA.

Nikt nie odrabiał lekcji. Siedzieli z opuszczonymi głowami, jakby spali. Chłopak z nastroszonymi włosami popatrzył na mnie, nie zmieniając pozycji. Nasze spojrzenia się skrzyżowały, szybko odwróciłam wzrok. Opuściłam głowę, wciągnęłam świeży zapach chloroksu i zaczęłam studiować ślady po gąbce, którą ktoś przetaił ławkę. Dam sobie czas do niedzieli, pomyślałam. Do tego czasu będę płynąć z prądem, zgadzać się na wszystko, byle uniknąć wpadki. Napiszę wiadomości, które zaplanowałam, i list z przeprosinami dla pani Laing. Może nawet zadzwonię do dziadka Pata – ojca mojej mamy – żeby się z nim pożegnać.

Chłopak popatrzył na mnie jeszcze raz. Może wiedział o Kupie Niemowlaka? Każdy mógł wiedzieć, codziennie ktoś nowy przyłączał się do zabawy. Setki, tysiące, niedługo miliony. Będą patrzeć i pękać ze śmiechu, czując do mnie obrzydzenie.

Dostałam jedną wiadomość od jakiejś dziewczyny, która radziła mi, żebym zgłosiła sprawę nauczycielom. Jej zdjęcie profilowe przedstawiało świetliste dłonie złożone do modlitwy. *Nie znasz mnie, weszłam tu przypadkiem. Uważam, że powinnaś to zgłosić. Przyjaźń i pokój. Lana Hebe.* Przez chwilę miałam nadzieję, że Lana to Robyn. Jej bym posłuchała, choć nie łudziłam się, że to takie proste. W sieci nic nie ginie, wszystko, co się w niej zamieści, zostaje tam na zawsze. Nauczyciele nas przed tym ostrzegali. „Pracodawcy będą kiedyś sprawdzać waszą historię aktywności w sieci”, mówili. „Podobnie jak wykładowcy podczas naboru na studia”. Nie wydam się z ich siatek, nawet jeśli wyjadę do innego stanu, kraju, wyprowadzę się na inną planetę. Ludzie będą wiedzieli.

Zerknęłam na ciemną, pomarszczoną skórę na łokciach. Przypominała skórę słonia. Nigdy nie zapomnę, co mi zrobili, nawet jeśli zdołam uciec. Jeśli nie wytrącę im ich mieczy, będą nimi ciąć w nieskończoność. Coraz mocniej i szybciej. Dallas zostanie przewodniczącą samorządu, a Ella kapitanem drużyny pływackiej i dalej będą niszczyć ludzi dla sportu. Tylko ja mogłam je powstrzymać i dać im nauczki.

W szkolnym areszcie nie było stresu ani pośpiechu. Zadzwoił dzwonek na przerwę, ale my zostaliśmy na swoich miejscach. Nauczyciel zaprowadził nas na stołówkę dopiero po zakończeniu przerwy obiadowej, kiedy został tam już tylko personel. Kucharki sprzątały talerze i wycierały stoliki. Kupiliśmy kanapki i usiedliśmy, każdy przy oddzielnym stoliku. Tak nam kazał nauczyciel. Zjadłam swoją kanapkę z serem w całkowitej ciszy.

Po południu napisałam list do Josie Dixon.

Cześć, Josie!

Pamiętasz te wredne dziewczyny, które Ci dokuczały w siódmej klasie? Byłam jedną z nich. Ale już nie jestem. Przede wszystkim chciałabym Cię bardzo przeprosić. Nie zasłużyłaś na takie traktowanie. Byłaś ładną dziewczyną, z Twoją twarzą było wszystko w porządku, nie miałyśmy żadnego powodu, żeby z Ciebie szydzić.

Chciałyśmy, abyś poczuła się jak śmieć. Dziś sama wiem, jakie to uczucie. Doświadczylam na własnej skórze, jak to jest, kiedy wszyscy sprzysięgają się przeciwko Tobie, ponieważ są pozbawieni sumienia. Albo dlatego że chcą się poczuć częścią jakiejś wspólnoty. Ty się dla nich nie liczysz.

A przecież wszyscy coś znaczą. Ty też jesteś bardzo ważna. Życzę Ci szczęśliwego życia, gdziekolwiek jesteś. Nie chcę, żebyś skończyła tak jak ja.

Zapewniam Cię, że Dallas, Ella i cała reszta dzieciaków, które Cię wtedy skrzywdziły, gorzko tego pożałują. Zmienia się, bo ja się zmieniałam. Ludzie bez sumienia mogą je odzyskać. Ja nie miałam sumienia, a teraz mam. Jesteś jego częścią. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Złożyłam kartkę z napisanym na brudno tekstem, który zamierzałam przepisać na komputerze. Popatrzyłam na swoje nadgarstki i pomyślałam o tacie. Nienawidziłam go przez tyle lat, tymczasem on po prostu cierpiał, tak samo jak ja. Nie mógł się pogodzić z faktem, że jest kłamcą i zdrajcą, ale znalazł rozwiązanie. Wreszcie go zrozumiałam. Zadzwoił dzwonek, wszyscy zostaliśmy na swoich miejscach. Zerknęłam na chłopaka z nastroszonymi włosami, otworzył jedno oko i odwzajemnił moje spojrzenie. Miał zaczerwienione spojówki i zadrapanie nad nosem. Czekałam, aż syknie jakieś wyzwisko, lecz nie zrobił tego, więc patrzyłam dalej. Wsparł głowę na ramieniu i patrzyliśmy sobie w oczy.

Po lekcjach Rebecca i ja miałyśmy spotkanie z dyrektorem. Musiałam jeszcze raz wytłumaczyć, że zabłądziłam. Rebecca zaczęła wyrzucać z siebie wszystko, co się dało.

– Matka Callie nie żyje. W ten weekend obchodziłyśmy dziewiątą rocznicę jej śmierci. – Nie potrafiła się powstrzymać przed mówieniem o mamie, nawet teraz. Użała się, jak nam ciężko. Byłam wściekła.

– Zapomniałaś wspomnieć o tacie. Mój tata też nie żyje.

Wypowiedzenie słowa „tata” przyprawiło mnie o dreszcz, jakbym wypła dwadzieścia puszek coli. Albo jakbym przyprowadziła ze sobą chłopaka o czerwonych oczach, podrapanej twarzy i posiniaczonych, zakrwawionych pięściach. Nie odpowiedzieli.

Macie za swoje, pomyślałam.

Widziałam go oczami wyobraźni do końca spotkania. Krążył po gabinecie i wybijał pięściami dziury w ścianach. Kręcił tyłkiem przed ich zafrasowanymi twarzami, a kiedy nie przestawali mówić, puszczał głośne, śmierdzące bąki. Rebecca wstała, poszliśmy za nią. Niewidzialny chłopak szczyrzył zęby w uśmiechu i robił wykopy w powietrzu.

– Dlaczego zawsze opowiadasz wszystkim o mamie, a nigdy o tacie? Był aż taki zły? – zwróciłam się do Rebekki, kiedy wsiadłyśmy do samochodu. Wyglądała na przestraszoną. Chłopak za szybą obnażył zęby. – To dlatego, że się zabił? – Zaprzeczyła. Popatrzyłam w oczy chłopaka. Skinął głową. Musiałam zapytać o coś, o czym starałam się nawet nie myśleć. – To on ją zabił? Zabił mamę?

Mój niewidzialny towarzysz przyłożył ucho do szyby.

– To był wypadek. Przecież wiesz. Twoją mamę przejechał samochód.

Zamknął oczy. Wpatrywałam się w niego z wrogością. Moją mamę przejechał samochód. Moja matka nie żyła, a on mimo wszystko mnie zostawił.

– Podciął sobie żyły?

Popędził w stronę drzew z prędkością światła. Nie powinnam była pytać, przecież już pokazał mi prawdę. Znałam wszystkie niewiadome. Chciałam krzyknąć, żeby wrócił. Powiedzieć, że wreszcie zrozumiałam. Jego sylwetka stawała się coraz mniejsza i mniejsza.

*

CZY KTOŚ MÓGŁBY WYKĄPAĆ TEGO PSA?

Taki komentarz na Facebooku zamieściła Dallas o godzinie 15:23, 17 września.

Grupa urosła do czterdziestu dwóch członków. Zachowywałam kopie ich komentarzy w folderze o nazwie DOWODY. Późno w nocy wypróbowałam hasło Elli, nadal działało, nie zmieniła go.

Przypomniałam sobie słowa Rebekki. Powiedziała, że tata nie podciął sobie żył, tylko przedawkował pigułki. To niewiele zmieniało. Zwodziłam się, ale nie szkodzi. Pigułki, żyletki czy kula z pistoletu – wszystkie te rzeczy pasowały do równania. Rebecca sądziła, że nigdy nie poznamy powodu, każdy, kto twierdzi, że go zna – kłamie. Myliła się. Ja wiedziałam, nie rozumiałam początku, ale koniec już tak. Nie przyczynę, ale rozwiązanie.

W piątek wróciłam do szkolnego aresztu. Chłopaka z nastroszonymi włosami nie było. Usiadłam na końcu klasy i napisałam resztę wiadomości, które zamierzałam rozesłać w niedzielę wieczorem.

Do Aleksa Pendersa. Obiecałam mu, że dziewczyny, które rzucały w niego wiśniami i nazywały Prosiakiem, zapłacą za swoje czyny.

Do Irene Lutz. Przeprosiłam za to, że na nią napadłyśmy w ostatni dzień szkoły. Już nigdy nikogo tak nie potraktujemy, przysięgłam.

Do Rebekki. Ostatnia wiadomość od Robyn.

NIEDZIELA, 1 W NOCY, MOST NAD FLINT STREET, SKACZĘ.

Postanowiłam rozpocząć pierwszy z ośmiu zaplanowanych etapów właśnie w niedzielę w nocy. Powtórzyłam je jeszcze raz w myślach, żeby niczego nie przegapić. Byłam pewna, że się uda. Uspokojona, położyłam głowę na biurku i do końca dnia wsłuchiwałam się w odgłosy szkoły.

W piątek po szkole usiadłam na kanapie i chrupałam marchewki, czekając na powrót Rebekki z pracy. Zostawiłam dla niej list od Robyn na samym wierzchu sterty korespondencji. Rozmyślałam o tamtym poranku w ósmej klasie, kiedy Robyn zaczęła mnie na stołówce. To musiała być ta chwila. Przełomowa chwila, w której

zdecydowały się moje losy. Nie siedziałabym tu teraz, gdybym wtedy podjęła inną decyzję. Nie miałabym szlabanu, na stoliku przy drzwiach nie leżałby list samobójczy. Gdybym podeszła do Robyn i na zawsze porzuciła Podwójne Miecze. Wystarczyło pomachać, odpowiedzieć na powitanie.

Wyobraziłam sobie siedzącą obok mnie na kanapie Robyn i Tatusia wspinającego się na jej kolana. Poczęstowała się miniaturową marchewką, uniosła ją do ust jak papierosa. „Próbuję ograniczyć, ale chyba jestem uzależniona”. „Nie opieraj się witaminom”, zażartowałam.

W równoległym świecie Robyn i ja byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami od czasu tamtego spotkania na stołówce. Nocowałyśmy u siebie nawzajem, pokazywała mi zdjęcia swojego taty. Widziała album ze zdjęciami mamy, знаła wszystkie moje wspomnienia o niej. Mówiła, że to nie moja wina, że tak niewiele pamiętam.

Rebecca wróciła, a ja kurczowo chwyciłam rąbek poduszki. Byłam w niewłaściwym wymiarze. Kupiła strudel. Strudel? Z jakiej okazji? Będziemy świętować moje odejście?

– Robyn zostawiła coś dla nas – powiedziałam.

Obserwowałam jej twarz podczas czytania. Rebecca nie potrafiła przejść obojętnie obok dziewczyny w potrzebie. Kogoś, kto potrzebował ratunku, ofiary dla swojego bohaterstwa. Chciałam, żeby poszła na wiadukt, gnana nadzieją, że wreszcie spełni się jako czyjś wybawca. Musiała się wynieść, żebym mogła zrealizować swój plan. Tymczasem ona położyła rękę na biodrze i zaczęła mnie wypytywać. Martwiła się wpływem, jaki wywarły na mnie pogroźki Robyn. Nie sądziła, że naprawdę skoczy. Nieczułością dorównywała Podwójnym Mieczom.

Nerwowo skubałam strudel i zachodziłam w głowę, jak ją przekonać. Zadzwoiła do mamy Robyn z ostrzeżeniem. Nie zachowywała się jak dawna Rebecca. Nigdy nie widziałam, żeby kogoś skreśliła, więc spróbowałam wzbudzić w niej współczucie dla samotnej Robyn. Ona nikogo nie obchodzi, powiedziałam. Matka jej nie pomoże. Napisała *do nas*. Rebecca uniosła sceptycznie brwi.

– Nie wiemy nawet, czy list napisała Robyn – zauważyła.

– Któż by inny? – Uświadomiłam sobie, co muszę zrobić. – Wiem. Wiem, co jej zrobiłam.

Rebecca zakryła usta ręką, jakby miała za chwilę zwymiotować.

Wybiegła z domu, a ja poszłam do swojego pokoju, żeby się przebrać. Zdjęłam wszystkie ubrania. Napisy na mojej skórze wyblakły. Rozprostowałam palce, rozruszałam niemowlęce stopy, przesunęłam dłońmi po wrażliwych częściach ciała. Wiedziałam, co włożyć w niedzielę: nową starą koszulkę, którą ktoś wyrzucił, najlepsze dżinsy i ulubione kolczyki od Elli. Rozczeszę włosy – Rebecca mówi, że takie same

miała mama – i pocałuję na pożegnanie swoją opiekunkę. Długo będzie rozpamiętywać ten pocałunek.

Materac ugiął się pod ciężarem mojego ciała, kiedy na niego opadłam. Robyn stanęła w nogach łóżka i zrobiła sobie wąsy z kosmyka kasztanowych włosów.

– Co tu robisz?

– Dotrzymuję ci towarzystwa.

– Nie chcę żadnego towarzystwa.

Robyn puściła włosy. Zakryłam się prześcieradłem, nie chciałam, żeby zobaczyła moje nieogolone nogi.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – Podparła dłonią podbródek. Naśladowała poważny ton pani Barańskiej.

– Tak.

– Bardzo ciekawe. – Postukała palcami w policzek. – Jak sądzisz, co na to Rebecca?

– Nie potrzebuję psychiatry. Zostaw mnie w spokoju.

Robyn pokiwała mądrze głową.

– Zgoda. Odpowiedz mi tylko na pytanie: co z Rebeccą?

– Musi sobie jakoś dać radę. Nie mogę się nią teraz przejmować.

– Mną także się nie przejmowałam – skwitowała. – Masz z tym problem.

– Przejmowałam się. Po prostu o tym nie wiedziałam. Co do Rebekki: lepiej jej będzie beze mnie.

– Nam nie jest lepiej bez taty.

– To zupełnie co innego. Twój tata zmarł na białaczkę. Wszyscy go kochali.

– Mój tata musiał umrzeć. Ty masz wybór.

Ukryłam twarz w poduszce. Nagle Robyn znalazła się tuż przy mnie. Miała czerwone kropki na nosie i między oczami.

– Dlaczego jeszcze nie zmyłaś tego świństwa? – zapytałam. – Chcesz wpędzić mnie w jeszcze większe poczucie winy?

Pomasowała policzki.

– Nie chce zejść.

– Użyj mydła i gąbki – poradziłam. Wskoczyłam z łóżka i podbiegłam do biurka po kartkę. – Przeczytaj list, który do ciebie napisałam. – Rzuciłam jej go w twarz.

Robyn,

myślę, że koniec będzie wyglądał tak samo jak początek. Odpowiem Ci na wszystkie pytania i otrę łzy z Twojej twarzy. Będiesz czekała w swojej srebrnej opasce, podśpiewując cichutko. Zostawię Cię niechętnie. Jeden niezapomniany pocałunek i szepniesz mi do ucha: „Wybaczam ci. Kocham cię”. Zniknę pod wodą. Niebo się otworzy i zmyje nasze imiona. Przemienię się w tęczę, która zakończy burzę. Będę obserwować ich przemianę ze swojego

miejsca w niebie. Stracą swoje ostre miecze i świat stanie się bezpieczniejszy dla osób takich jak Ty.

Proszę, wybacz, nie zapomnij. Callie McKenzie

Robyn upuściła kartkę na podłogę.

– Pieprzenie.

Robyn nie dawała mi spokoju przez całą godzinę. Kiedy weszła Rebecca, schowała się pod prześcieradło.

Rebecca powiedziała, że przeczytała moje listy do mamy, i pokazała mi jeden z nich. Pisałam w nim, że mama byłaby rozczarowana, gdyby patrzyła na mnie z nieba. Bałam się spojrzeć na Rebecce, żeby nie zobaczyć rozczarowania w jej oczach. Przekroczyłam wszelkie granice, nie mogłam niczego cofnąć. Jednak Rebecca się nie poddawała. Zapewniała, że nie mam racji – mama nigdy nie żałowałaby mojego przyjścia na świat. Chciała dobrze, ale to było takie smutne.

Wypytywała mnie o Robyn, usiłując zachować spokój. Zrozumiałam, dlaczego ludzie wyznają grzechy tuż przed śmiercią. Płacz przynosił ulgę. Brudna woda opuszczała moje ciało, zostawiając je pustym i mokrym. Rebecca otarła mi łzy, Robyn ukryła się za moimi nogami. Wyrzuciłam z siebie prawdę: to ja ochlapałam Robyn farbą. Proszę.

– Jak byś się czuła na jej miejscu?

Odpowiedziałam z płaczem na najłatwiejsze pytanie na świecie. Beznadziejnie. Okropnie. Jakby świat się zawalił. Jakby wszyscy sprzysięgli się przeciwko mnie. Upokorzona. Chciałabym umrzeć. Rebecca wydawała się usatysfakcjonowana. Robyn potarła policzek, wciąż brudny od farby. Nikt nigdy się nie dowie, jak bardzo byliśmy sobie bliskie: Robyn i ja. Po naszej przyjaźni nie zostanie żaden ślad, jeśli ona zapomni. Prawdopodobnie wykasowała całą korespondencję i wymazała z pamięci nasze pierwsze spotkanie. Wmówiła sobie, że sama kupiła Tatusia.

– Byliśmy przyjaciółkami – powiedziałam Rebecce. – Robyn i ja.

„Wszystkie moje interakcje z Robyn Doblak”, napisałam. Rebecca zgodziła się, żebym wszystko opisała, zamiast opowiedzieć, pod warunkiem że niczego nie pomnę. Wpatrywałam się w pusty ekran, podczas gdy Robyn zaglądała mi przez ramię. Nie pamiętam, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy – to musiało być w siódmej klasie – nie zwróciłam na nią wtedy uwagi. Zauważyłam ją, podobnie jak reszta szkoły, dopiero gdy straciła ojca. Dziewczyna, której tata zmarł na białaczkę. Postanowiłam zacząć od naszej pierwszej rozmowy, prawie dziesięć miesięcy temu, tuż przed Bożym Narodzeniem. Usłyszałam ciche podśpiewywanie i poczułam zapach

truskawkowych perfum. Rozejrzałam się wokół, byłam w swoim starym gimnazjum. Ściany udekorowane drzewami wyciętymi z folii, spóźniająca się pani Barańska. Czekaliśmy we dwie pod drzwiami gabinetu, już miałam zrezygnować, kiedy Robyn zapytała o moją bransoletkę.

– Na pomoc pitbullom?

– Dlaczego się do mnie odezwałaś? – zwróciłam się do ducha w moim pokoju.

– A bo ja wiem. – Machnęła rękami.

Patrzyła mi w oczy.

– Mają opinię psów morderców, a mało kto słyszał o tych, które ratują ludzkie życie. Jeden uratował trzydzieści osób – powtórzyłam słowa sprzed dziesięciu miesięcy.

Okazałaś się miłsza, niż myślałam. Wiedziałam o Podwójnych Mieczach.

Dotknęła srebrnej opaski i powiedziała, że chciałyby mieć psa. Rozpłakała się, a ja nie miałam pojęcia, co robić. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyłam ślady rozmazanego tuszu na jej policzkach. Nie mogłam zmienić przeszłości. Otarłam twarz Robyn rękawem swojego swetra. Miała rozgrzaną skórę, a ja nie chciałam się ruszyć. Ale musiałam odejść. Zostały mi już tylko dwa dni.

Przyjęła mój gest z wdzięcznością, napisałam.

Zawstydziałam się, szepnęła.

Sprawiała wrażenie wdzięcznej, ale zawstydzonej, poprawiłam.

Zaczęłam opisywać dziesiątą interakcję, podczas gdy Rebecca wykonała około stu telefonów. Dzwoniła do mamy Robyn, na policję i do faceta o imieniu Danny, którego poznała na cmentarzu. Pozwolę jej przeczytać pięć, pozostałe zostawię na potem. Chciałam zniknąć, zanim odkryje, że byliśmy kimś więcej niż przyjaciółkami. Na razie nie wiedziała nic poza tym, że Robyn miała depresję w okresie świątecznym, nasza korespondencja to potwierdzała. Nagrywała na poczcie głosowej pani Doblak coraz bardziej rozpaczliwe wiadomości. Wyobrażałam sobie reakcję Robyn i jej mamy. *Dlaczego ta wariatka myśli, że zamierzasz skoczyć z mostu?* Miałam opory przed ponownym sianiem zamętu w ich życiu, ale nie widziałam innego sposobu.

Robyn siedziała obok mnie i żuła gumę. Balon pękł tuż przy moim uchu.

– Nie kłam – powiedziała. – To twoja ostatnia szansa.

Od tamtego dnia wszyscy zaczęli nazywać Robyn Sterczące Sutki, Dallas się o to postarała, napisałam.

– TY się o to postarałaś – syknęła.

– Nie, ja to powiedziałam tylko raz! – zaprotestowałam.

Odwróciła wzrok, a ja kontynuowałam pisanie.

Nie mogłam jej przeprosić, ponieważ nie było z nią żadnego kontaktu. Nawet na nikogo nie patrzyła.

Podskoczyłam na krześle. Robyn wymierzyła mi kopniaka.

– Powiedziałaś to przynajmniej dwa razy. Raczej więcej.

– Niech będzie, dwa razy. Żałuję, że nie umiem cofnąć czasu.

Robyn skuliła ramiona, jakby siedziała w ławce. Poczułam zapach farby i spojrzałam na swoje dłonie. Trzymałam pędzel, siedząca obok mnie Ella malowała żółte kropki na swojej papierowej masce. Przez otwarte okna dobiegały głosy ćwiczących na WF-ie. Adam Liebowitz zaczął się wygłupiać i pani Dimmock wskazała mu drzwi. Malowałam swojej masce pomarszczone czerwone usta. Po wyjściu nauczycielki popatrzyłam na Robyn. Tamtego ciepłego kwietniowego dnia nie włożyła kurtki. Miała na sobie białą, wiosenną bluzkę odkrywającą przedramiona.

– Sterczące Sutki – zawołała Ella. – Och, twoje sutki są takie twarde.

Wydawałaś się taka samotna i opuszczona. Zapragnęłam do ciebie podejść.

Robyn udawała, że mnie nie słyszy. W moich uszach rozbrzmiewał wrzaskliwy głos Elli. Nie mogłam zrobić nic, poza powtórzeniem przeszłości. Musiałam to zrobić jeszcze raz.

– Czemu jesteś taka wredna? – spytałam Elle i wstałam. Chwiejnie ruszyłam w kierunku Robyn. Wydawała się oddalona o setki kilometrów, a jednocześnie bliższa niż kiedykolwiek. Wiedziałam, że stracę swoją pozycję Podwójnego Miecza. Spodziewałam się tego, ale zależało mi jedynie na Robyn i myślałam, że jej zależy na mnie.

– Pieprzysz – prychnęła Robyn. – Nie dlatego podeszłaś.

– Przysięgam. Mówiłam ci.

Zatrzymałam się obok jej ławki, gotowa, żeby wszystko zmienić. Mogłam przeskakiwać góry i naginać promienie słońca. Wdychałam zapach Robyn, patrzyłam na czubek jej głowy, na dłoń poruszającą pędzlem. Mogłabym tak stać w nieskończoność.

– Co malowałaś? – spytałam.

– Psa.

Posłałam gniewne spojrzenie dwóm chłopakom wykrzykującym jakieś obelgi. Potrzebowałam krzesła, musiałam na czymś usiąść. Robyn nadal nie zwracała na mnie uwagi. Może nie wiedziała, że tam jestem.

– Robyn – powtórzyłam głośniejszym głosem i zamarłam.

Miała mokre oczy, lodowate spojrzenie i półotwarte usta. Widziałam jej zęby, kiedy nimi poruszyła. Moja twarz zapłonęła, wnętrzości zaboląły, jakby przeszła je kula z pistoletu.

Stuprocentowa nienawiść, napisałam. Zobaczyłam to w jej oczach.

– Nieprawda. Byłam po prostu przerażona. Bałam się ciebie.

Zastałam Rebecę w kuchni.

Pani Doblak nie odbierała telefonu i nie oddzwaniała. Dostrzegłam w tym szansę dla siebie.

– Chcę ją przeprosić. Zobaczyć się z nią, zanim będzie za późno.

Robyn siedziała za mną na tylnym siedzeniu samochodu. Unosiła się nad gankiem swojego domu i zanosila śmiechem, kiedy nikt nie reagował na dzwonek.

– O-Mój-Boże. Wyjechałyśmy na weekend!

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się Rebecca. – Jesteś bardzo blada.

– W porządku.

Objęła mnie, jakby wszystko rozumiała. Robyn uszczypnęła mnie lepkimi palcami.

– Ona nie ma o niczym pojęcia. Nie jest ci głupio? Przez ciebie myśli, że to ja jestem dziwadłem, które zamierza się zabić.

– Jesteś pewna, że wolisz, żebyśmy została w domu? – upewniłam się.

– Tak, jestem pewna. – Rebecca poklepała mnie po ramieniu. Wyprostowałam się szybko i pocałowałam ją. Niedługo się ode mnie uwolni i będzie mogła zacząć wieść normalne życie. Bez wywiadówek, kłótni i płaczu. Bez niewdzięcznego dziewczyska ciągnącego ją w dół niczym kamień u szyi. – Callie, co się stało?

– Chciałam ci podziękować – powiedziałam bliska łez. Nie potrafiłam wymienić wszystkiego, co dla mnie zrobiła. Koktajle mleczne, które przygotowywała, kiedy chorowałam na ospę wietrzną. Ciężka praca, żeby zarobić na moje utrzymanie. Dzielenie ze mną łóżka, kiedy niemogłam spać. Szalone przyjęcia z motywem przewodnim w moje urodziny. Kiedyś kupiła sombrero – dziesięć sztuk. I zawsze wszystko mi wybaczała. Wierzyła, że może być ze mnie dumna.

– Nie dopuszczę, żeby coś jej się stało – obiecała, odwzajemniając pocałunek.

Wychodząc, pomachała mi na pożegnanie. Nie podziękowałam jej za nic. Robyn nie czekała długo z wymówkami.

– Widziałaś jej oczy? Martwi się o ciebie.

– Nie o mnie. O ciebie.

– Dlatego że ją okłamałaś. Nie zdajesz sobie sprawy, jak ona to przeżyje?

Usłyszałam trzaśnięcie zamykanych drzwi. Nadszedł czas, aby działać.

Najpierw listy do Aleksa Pendersa, Irene Lutz, Josie i Robyn. Robyn nachyliła się nad moim ramieniem, kiedy wybierałam opcję „wyślij”.

– Nie udawaj, że robisz to dla mnie – powiedziała. Następny etap polegał na włamaniu się na konto Elli i zmianie hasła. Wyobraziłam sobie jej frustrację podczas kolejnych nieudanych prób logowania. – Możesz nie osiągnąć efektu, jaki sobie wymyśliłaś – ostrzegła Robyn. Weszłam na stronę Phoenix Drake, tę, która mnie

zniszczyła. Wpisałam adres e-mailowy Elli i kliknęłam opcję „zapomniałam hasła”. Otworzyłam link z poczty Elli i zmieniłam hasło na takie, którego nigdy nie zgadnie. Na ekranie ukazał się profil Phoenix Drake ze zdjęciem śmierci z kosą. Uszczypnęłam się w oba policzki. Wszystko szło zgodnie z planem. Robyn jednak pokręciła głową. – Nie możesz mieć pewności, że uda ci się cokolwiek zmienić.

Zrobiłam ostatni zrzut ekranu grupy o nazwie CZY MIAŁEŚ NIESZCZĘŚCIE WĄCHAĆ KUPE NIEMOWLAKA? wraz z nazwiskami jej czterdziestu sześciu członków. Zapisałam wszystko w folderze DOWODY.

– Ludzie mają krótką pamięć – mruknęłam.

– Ja o tobie pamiętam.

Zmieniłam nazwę grupy – mogłam to zrobić jako jej założycielka, Phoenix Drake. Jutro rano każda z czterdziestu sześciu osób, która zaloguje się na Facebooka, otrzyma informację, że od tej chwili jest członkiem grupy ZABILIŚMY CALLIE MCKENZIE, i przeczyta wiadomość następującej treści:

To nie jest żart. Przyłączenie się do tej grupy jest równoznaczne z popełnieniem morderstwa. Przez Was zginął człowiek. Callie McKenzie – którą nazywaliście Kupą Niemowlaka – nie była śmieciem. Jej życie miało wartość. Mimo to postanowiliście ją zabić. Przywiodły Was tu Ella Brooks i Dallas Price, ale to Wy dokonaliście wyboru. Mogliście odejść każdy w swoją stronę, ale postanowiliście ukraść jej tożsamość, rozpowszechniać perfidne kłamstwa na jej temat i zamienić jej życie w prawdziwe piekło. Doskonale zdajecie sobie sprawę z tego, co zrobiliście, chociaż możecie próbować udawać, że nie mieliście pojęcia. Znamy prawdę. Odebraliście życie dziewczynie. Od tej chwili zamieszka w Waszych wnętrzach, wypełni pustą przestrzeń w miejscu serca. Będzie tam za każdym razem, kiedy pomyślicie o skrzywdzeniu innej osoby. Poczujecie ucisk w gardle, pomyślicie o niej i przestaniecie.

PS. Jeżeli myślicie o wykasowaniu swoich nazwisk i uniknięciu odpowiedzialności za morderstwo – za późno. Lista wszystkich czterdziestu sześciu członków została już wysłana odpowiednim organom.

Szacun

Byłam zadowolona z tego, co napisałam. Zostało mi jeszcze tylko kilka rzeczy do zrobienia.

Wróciłam do własnej poczty i zaczęłam pisać nasze listy z przyznaniem się do winy. Wysłałam Rebecce drugą połowę opisów spotkań z Robyn. Przeprosiłam ją ostatni raz. Następnie otworzyłam pocztę Elli. Ella przyznawała się za moją sprawą do próby utopienia mnie, do nękania za pomocą setek agresywnych SMS-ów, do tego, że wypowiedziała mi wraz z Dallas nierówną wojnę. Dołączyła dowody w postaci zachowanych przeze mnie zrzutów ekranu i wyznała, że dotychczas obie były

bezkarne, choć dopuszczały się podobnych czynów przez całe dotychczasowe życie. Napisała o Aleksie Pendersie, pani Lutz, Josie Dixon i Robyn. Podpisała się pełnym imieniem i nazwiskiem. Wiadomość została rozesłana do osób z przygotowanej przeze mnie listy. Znaleźli się na niej wszyscy uczniowie, dyrektor szkoły i redakcja lokalnej gazety. Poniesie konsekwencje. Wiedziałam, że martwa koleżanka zostaje w pamięci na długo.

Teraz musiałam zrobić już tylko jedno. Miałam coraz mniej czasu.

Potarłam ramiona i włożyłam swoją nową starą koszulkę. Nazbierałam liści jak gwiazdy, szkielety i wspomnienia, wypchałam nimi kieszenie. Krew w moich żyłach jakby zastygła, kiedy pisałam ostatnią wiadomość do Rebekki. Zostawiłam ją pod drzwiami jej pokoju razem z telefonem. Wyszłam z domu, stąpając na palcach.

– Nie zniszczyłaś mojego życia, jeśli o to ci chodzi! – krzyknęła Robyn.

– Skąd wiesz? Nie jesteś prawdziwa.

Skrzywiła się i przysiadła na poboczu na znak protestu. Niebo było bezchmurne, a powietrze rześkie, kiedy szłyśmy w stronę domu Elli. Cienkie włoski na moich ramionach stanęły dęba, zielony tlen wypełnił płuca. To było takie łatwe. Szłam zasłuchana w chrzęst własnych kroków i szelest, jaki wydawał materiał spodni, kiedy uda ocierały się o siebie. Nad moją głową szumiały korony drzew. Nocą byliśmy tacy sami: wdychaliśmy tlen i wydychaliśmy dwutlenek węgla. Oddychaliśmy razem i rośliśmy, jeszcze trochę. Robyn milcząco dotrzymywała mi towarzystwa. Nagle została w tyle. Zniknęła. W pewnej chwili odwróciłam się gwałtownie i zmrużyłam oczy, wpatrując się w mrok. Czy to czyjaś twarz?

– Robyn? – Nie widziałam jej, choć ciągle czułam jej obecność i od czasu do czasu słyszałam kroki. Kiedy jednak przystawałam, by na nią zaczekać, zniknęła za drzewami.

Tamtego wieczoru podczas kolacji Rebecca obwiniała mamę Robyn. Jadłyśmy duszone warzywa w sosie, mój ostatni posiłek. Pani Doblak powinna była nauczyć swoją córkę radzenia sobie z problemami, mówiła, a ja rozgryzałam kostkę lodu. Rebecca sądziła, że nic złego by się nie wydarzyło, gdyby Robyn potrafiła lepiej rozwiązywać problemy. Wydawało jej się, że dorośli są w stanie kontrolować wszystko. Nawet myśli swoich dzieci. „Nie możecie nas ochronić przed całym światem”, zauważyłam. „Nie możecie kontrolować naszych umysłów”. „Możemy was ochronić przed wieloma rzeczami. Jeśli tylko jesteśmy wystarczająco uważni”. „A jeżeli Robyn nie chce sobie poradzić? To jej wybór, nie pani Doblak”. Rebecca popatrzyła w swój talerz, jakby potrawa zamieniła się w zimną galaretę. „Na miejscu pani Doblak spałabym dziś w jej pokoju, a w razie potrzeby przykuła ją łańcuchem do łóżka”. „Nawet gdyby cię przekonała, że tego nie zrobi?”, zapytałam. „Nie przekonałaby. Wiedziałabym, że kłamie”. Zamieszałam widelcem w talerzu i wybrałam miękkiego, okrągłego ziemniaka. Mój ostatni kęs w życiu.

Dom Elli był pogrążony w mroku. Stałam na trawniku i wpatrywałam się w ciemne okno jej pokoju. Szłam po omacku wzdłuż bocznej ściany, tyle razy pokonałam tę drogę, że znałam ją na pamięć. Wyjęłam z kieszeni garść liści, wyrzucałam je po drodze. Nie odczuwałam smutku, kiedy znikały w atramentowej czerni, więc szłam dalej. Znalazłam się na tyłach domu, blisko jeziora i pomostu, ale nie widziałam, w którym miejscu zaczyna się tafla wody. Stapałam po błocie, wsłuchana w nocne dźwięki. Kumkanie żaby. Rybi śpiew. Szum wiatru poruszającego zielonymi liśćmi drzew.

– Robyn? – szepnęłam. – Robyn?

Atramentowa ciemność sprawiała, że ziemia, woda i niebo zbiły się w jedną, wielką, nierozpoznawalną kulę błota. Czerń pod moimi powiekami była gęsta i znajoma. Jeśli nie otworzę oczu, będę wszędzie, na zawsze. Lodowata woda wypełniła buty, znieczuliła palce stóp, ziębiła nogi. Obmywała i wsysała moje ciało, zmywała ostatnie ślady Kupy Niemowlaka. Sięgała pasa. Przechyliłam się w tył z zamkniętymi oczami. Woda, lód i moje ciało stanowiły jedność. Chciałam się poddać. Kiedy znów otworzę oczy, zobaczę rozgwieżdżony Wszechświat, a Ziemia otworzy się przede mną jak ostryga, ukazując koła historii, otaczające mnie niczym zmarszczki na wodzie. Jezioro stanie się przyjemnie ciepłe, z brzegu popatrzy na mnie para żółtych oczu na tle sosen. Dziewczyna zbierająca chrust, dzikie konie wsłuchane w plusk wody, prastary lis spoglądający ze swojej kryjówki między drzewami. Moi rodzice też tam będą. Oraz przyszłe pokolenia dzieci ukryte w cieniu, obserwujące mnie z rękami przyciśniętymi do serc. Jest im przykro czy są wdzięczne?, pomyślę. Czemu przyciskają ręce do piersi? Ukrywają coś czy nie mogą oddychać? Przysięga, której nie rozumieją, słowa, które straciły znaczenie.

Otworzyłam oczy i nie zobaczyłam nic poza ciemnością. Pustka. To wszystko, nie było już czego oglądać. Otworzyłam usta i wpuściłam do płuc zimną wodę. Lód i cisza. Ciało tonące w jeziorze. Żadnych gwiazd, żadnego pocałunku. Nikt nie czekał na tęczę. Mogli się chwytać za serca, ale jeśli niczego nie poczują, wszystko pójdzie na marne. Niepodzielny, wolność i sprawiedliwość dla wszystkich.

Trzęśłam się z zimna. One nic nie rozumiały. Nie zmieniają się, a ja zaginę w mrokach przeszłości. Zapomną o mnie, to wszystko bez znaczenia. Na sekundę zapomniałam ich imiona. Znalazłam się w przyszłości, nie słyszałam nic poza własnym oddechem. Moje gałęzie poruszały się na wietrze, ziemia wokół korzeni odmarzała. Przyłożyłam zdrętwiałą z zimna dłoń do jeszcze bijącego serca.

Dobry kotek. Dobry kotek. Dobry kotek.

Ktoś dmuchnął w srebrny gwizdek i zawołał:

– Callie, musisz popłynąć.

Patrzyła na mnie z brzegu. Chciałam, ale nie mogłam. Wszystko miałam ciężkie. Głowę, ramiona. Zdrętwiałe nogi. Chciałam... potrzebowałam... moje ciało

rozpuszczało się w wodzie. Zamknęłam oczy i pomyślałam o mule. Muł połykał wszystko w tym mokrym śmietniku: rybie ości, ptasie szkielety, pleśń i proch.

REBECCA

Jeziro za domem Brooksów było gęste od wodorostów. Pozlepiane liście unosiły się na wodzie jak tratwy. Ali Brooks powiedziała mi kiedyś, że ma *ogromną potrzebę*, by mieszkać nad wodą. „Gdyby to zależało tylko ode mnie, zamieszkalibyśmy na łodzi”.

Z salonu na ogród prowadziły przesuwane, przeszklone drzwi balkonowe, przez które co wieczór mogła podziwiać zachód słońca nad jeziorem. Przez chwilę miałam wrażenie, że ktoś się poruszył w środku. Dzwoniłam do niej po drodze, zostawiłam wiadomości z prośbą, żeby przeszukała jeziro. Drzwi balkonowe pozostawały ciemne i zamknięte. Policja, którą błagałam o pomoc, jeszcze nie nadjechała.

Wiał zimny, porywisty wiatr. Włączyłam latarkę i zesłam na dół po błotnistym zboczu. Przyjechałam tu pod wpływem rozmowy telefonicznej z Dallas. Podejrzewałam, że nie mówi całej prawdy, ale nie miałam żadnych innych wskazówek.

– Ty głupia dziwko – powiedziała zamiast powitania. – Wiedziałam, że to żart.

Dzwoniłam z telefonu Callie. Zostawiła go na podłodze. Stałam na korytarzu z kartką w ręku. *Przepraszam, Rebecca. To byłam ja. C*

To ja wylałam farbę na koleżankę? To ja pisałam te wszystkie listy? To byłam ja, nie Robyn. Czy Robyn miała z tym cokolwiek wspólnego?

Charakter pisma Callie na kartce wystarczył za odpowiedź.

– Dallas, mówi Rebecca. Jaki żart? Co się dzieje?

Natychmiast zmieniła ton. Teraz przemówiła słodkim, dzieciennym głosem. Ogarnęły mnie mdłości. Potrafiła się przeistoczyć w mgnieniu oka w inną osobę. Mój świat zachwiał się w posadach. Źle zinterpretowałam listy, a ta dziewczyna nie była tym, za kogo ją uważałam.

– Callie zwariowała – stwierdziła Dallas. – Napisała te wszystkie wiadomości, w których twierdzi, że ją zabiłyśmy, ale ja nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Wiesz, gdzie ona jest? Proszę, powiedz mi, gdzie jest Callie. – Westchnęła, pociągnęła nosem i zakaszła. – Dallas! Proszę cię! Jak to: zabiłyście ją?

– No, twierdzi, że utopiłyśmy ją w jeziorze Elli.

Przesunęłam promień latarki wzdłuż brzegu, pomiędzy drzewami i czarnym niebem. Lewy brzeg jeziora gęsto porośnięty szarymi drzewami. Po prawej stronie małe doki i wielkie domy, na niektórych gankach paliły się światła. Białe latarnie morskie wskazujące drogę dzieciakom wracającym z kąpieli w świetle księżycy i z wycieczek kajakowych. Biegły do domu na bosaka, ociekające wodą, wycierały mokre nogi o dywan i wskakiwały do czystych łóżek. Rodzice całowali na dobranoc ich wilgotne

czoła.

Kolorowych snów, śpij dobrze. Do zobaczenia rano.

Curtis połknął tabletki. Callie pocałowała mnie na pożegnanie.

Wstrzymałam oddech na widok jasnej boi unoszącej się na wodzie. Zaczęłam wykrzykiwać jej imię. Raz po raz. Szum trzciny i wody obmywającej kamienie przy brzegu. Nasłuchiwałam jej głosu, szlochu, uderzeń ramion o taflę wody. Mój krzyk wracał do mnie echem, odległy i pusty, zaczęłam krzyczeć jeszcze głośniejsze, nie zważając na to, czy kogoś obudzę. A jeśli próbuje się ze mną skontaktować?, pomyślałam i gorączkowo sięgnęłam po telefon. Nie mogłam go znaleźć, pewnie upuściłam w samochodzie. W pośpiechu popełniałam same błędy. Nie pamiętałam nawet, czy wyłączyłam silnik. Musiałam ją znaleźć. A co, jeśli Callie wcale tu nie ma? Może jest na wiadukcie albo na szosie. Czasami byłam ślepa. Ślepa i przerażająco głupia. Te liściki. Pochylone pismo, czerwony atrament.

Promień latarki padł na ślady pozostawione w błocie. Małe, wielkości stopy Callie. Poszłam za nimi na brzeg. Prowadziły w jedną stronę. Poczulałam mdłości i chwyciłam się za brzuch. Nie miałam na to czasu, musiałam za nią pójść. Zimna woda sprawiła, że mój oddech stał się krótki i urywany. To niemożliwe, nie było jej w jeziorze. Ślady są stare, Callie by tego nie zrobiła. Odmawiała wejścia do wody nawet w najgorętsze dni lata. Wolała leżeć spocona na swoim różowym ręczniku z palmą. Słyszałam jej głos mówiący, że nie znosi dotyku chłodnej wody na skórze. To nie miało najmniejszego sensu. Całe moje ciało stało się odrętwiałe. Przypomniałam sobie słowa Dallas. *Twierdzi, że utopiłyśmy ją w jeziorze Elli.*

Nie rozumiałam jej toku myślenia. Nic z tego nie rozumiałam. A przecież musiała być jakaś sekwencja zdarzeń, która pomogłaby mi dotrzeć do prawdy. Wchodziłam coraz głębiej do wody z latarką uniesioną nad głową. Tratwy z pozlepianych liści, drobne kwiatki przypominające palce, lina kołysząca się w oddali. Oblała Robyn farbą. Napisała te listy. Uparcie wypytywała o Autumn Sanger. Powiedziała, że Autumn dokuczano w szkole i że zabili ją jej prześladowcy. Zastanawiała się, czy popełniła samobójstwo, ponieważ wiedziała, że jej życie nigdy nie będzie znośne. *Jestem głównianą pomyłką i trzeba mnie wymazać – czekam na to.* Zapominałam o oddychaniu, moje płuca się obkurczyły. Zauważyłam tuż przed sobą coś jasnego, przypominającego włosy. Wyciągnęłam ręce i zamoczyłam latarkę. Trzymałam między palcami kępkę trawy. Upuściłam latarkę i zanurzyłam dłonie w wodzie, ale niczego nie wyłowiłam.

Zawołałam Callie. Od strony brzegu błysnęło jakieś światło. Wchodziłam coraz głębiej w ten koszmar, coraz dalej w jezioro. Nie czułam nóg, lecz one przestały się liczyć. Dopóki mnie niosą, nie pozwolę wygrać szaleństwu. Dopóki jestem w stanie krzyczeć, nie poddam się panice. Za chwilę pomacha mi nieśmiało z brzegu. Ponieważ niezależnie od tego, co powiedziała Dallas, Callie nigdy w życiu nie weszłaby do tej

lodowatej wody. Ślady na brzegu to tylko żart. Część jakiegoś planu.

„Och, Rebecca, co ty tu robisz?”. Pokręci głową, a ja uścisknę ją z całych sił i powiem, że ma szlaban na wychodzenie z domu.

Działo się coś dziwnego. Może z powodu szoku. Woda była ciepła. Chociaż nie przestałam krzyczeć, nie słyszałam już swojego głosu. Na tafli jeziora pojawiły się czerwone i niebieskie refleksy. Obserwowałam je przez moment. Neonowe kwiaty. Nie czułam swojego ciała i wpatrywałam się w światła. Wtedy je zauważyłam, w odległej części jeziora.

Kobieta coś niosła. Wiedziałam, co trzyma w ramionach.

– Ali! – zawołałam. – Ali! Dzięki Bogu! – Usiłowałam zerwać się do biegu i upadłam. Mokre ubrania ciągnęły mnie w dół. – Ali! Wszystko w porządku? Co z nią?

Chyba mnie nie usłyszała, ponieważ dalej szła przed siebie. Nagle zdałam sobie sprawę ze swojej pomyłki. Ten profil nie należał do matki Elli. Kobieta była tęższa i miała dłuższe włosy. Powoli podchodziła do brzegu, mrużyła oczy w ostrym świetle, odwracała twarz. Patrzyłam, jak się chwieje i odzyskuje równowagę, przytulając do piersi swój ładunek, niczym matka trzymająca niemowlę.

Zawyły policyjne syreny. Mignęła biel skóry, miedziany kolor włosów. Kobieta zwróciła się w moją stronę.

Czy mój mąż do ciebie dzwonił? Jest u was Curtis?

Podniesione męskie głosy. Popatrzyła wprost na mnie. W jej oczach malowała się panika, jak wtedy, kiedy nie mogła wydobyć z siebie słów. Zaciśnięte usta, skrzyżowane spojrzenia. Podeszłam do niej. Dygotała. Nie przypominała już wysokiej bogini, jaką pamiętałam z przeszłości, ale była realna, nie miałam przywidzeń. Wróciła – nie z pustymi rękami – brutalne wspomnienie przeszłości. Ludzie podbiegali do nas w pośpiechu, rozbryzgując wodę. Krzyknęłam po raz ostatni, ponieważ już wiedziałam, kim jest postać w wodzie.

Lara Shanley tuliła bezwładne ciało Callie.

Ramiona Callie zwisały bezwładnie, a jej bosa stopy były śliskie od błota. Otaczali nas ratownicy medyczni. W zamieszaniu, oślepiona światłem, potknęłam się i zanurzyłam w wodzie. Po chwili stanęłam z powrotem na nogi. Położyli ją na brzegu, otworzyła oczy. Wyczołgałam się tuż za nimi, obezwładniona przez wizje. Gdzie są moje wizje? Gdzie jest Lara? Trzeba ją zatrzymać. Błagam, szybko. Ktoś świecił Callie w oczy ołówkową latarką, woda ściekała strumieniami po jej twarzy. Nie ruszała się, była całkowicie bezwładna. Przechylili jej głowę na bok, po chwili odwrócili do poprzedniej pozycji. Niebieskie gumowe rękawice dotykały jej ciała, ale ona nie zachłystywała się powietrzem. Lara zniknęła. Nie było jej.

- Jak ona ma na imię?
- Callie! – krzyczałam. – CallieCallieCallie!
- Callie, słyszysz mnie?
- Niiieeeee!
- Rozpoczynam masaż serca.

Mocno uciskali jej klatkę piersiową, poruszając całym ciałem. Wtem światła i głosy eksplodowały. Callie podskoczyła do przodu, z jej ust wypłynął strumień wody.

*

Spędziłyśmy pierwszą noc na czwartym piętrze szpitala Kinney Trust, w niedużej salce, w której wszystko wydawało się nierzeczywiste i mało stabilne. Niebieskie zasłony, lśniąca cętkowana podłoga, ściany, okno, łóżko. Delikatnie – jakby były kruchymi skorupkami jajka – dotknęłam jej ramion schowanych pod kołdrą. Miała zapadniętą i posiniaczoną klatkę piersiową. Patrzyłam, jak się unosi i opada, liczyłam oddechy. Sto, tysiąc. Za mało, musi być więcej. Więcej oddechów, więcej życia. Jakiś dowód, że zawsze nadejdzie kolejny.

Wsunęłam dłoń w splątane, brudne, pachnące jeziorem włosy, żeby ją przytrzymać na ziemi. Rozplątywałam pasmo po paśmie, z piaskiem pod paznokciami. Raz na jakiś czas zaglądała do nas pielęgniarka. Kontrolowała urządzenia, sprawdzała poziom tlenu, mówiła coś niezrozumiałego i wychodziła. W kącie sali stał fotel, w którym mogłabym się zdrzemnąć, ale postanowiłam, że już nigdy nie zasnę. Gdybym zamknęła oczy, mogłaby zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu, zostawiając puste łóżko. Musiałam czuwać, pilnować jej. Przyszedł jakiś lekarz. Pielęgniarka zapisała coś w karcie. Pojawiła się moja matka, wypowiedziała jakieś słowa, wyszła. Ktoś wręczył mi ulotkę z poradami, jak sobie poradzić w takiej sytuacji. Na okładce widniało słowo „samobójstwo”. Wydawało się pozbawione sensu. Jak skleroza, sumak, słońce. Po prostu jedno z wielu słów, mogło znaczyć cokolwiek. Wszystko, tylko nie to. Przeczytałam wskazówki dla rodziców. Pochować trujące substancje, leki, żyłki. Usiłowałam zrozumieć, ale mój mózg odmówił przetwarzania informacji, które go zalały. Czy naprawdę widziałam Larę? Ratowała Callie? Czy Callie usiłowała zrobić to, co mi mówią? Zaplanowała i przemyślała sobie wszystko? Czy też był to żart, który mógł na zawsze zmienić bieg naszego życia?

Dlaczego ludzie robią cokolwiek? Oto prawdziwe pytanie.

Obserwowałam małego, brązowego pajęczka pełzającego po nakrapianej podłodze. Gdyby Callie była przytomna, podniosłaby go. „Nasosznik!”, zawołałaby z dziecięcym zachwytem i odłożyła żyjątko w bezpieczne miejsce. Pająk przystanął, uniósł dwie kończyny i kontynuował swoją wyprawę. Powody jego obecności w tym

miejscu były równie niezrozumiałe jak nasze.

Możesz uciekać, ale przed nami się nie ukryjesz. Martwa Kupa Niemowlaka zostawia plamę.

Uwaga! Kupa Niemowlaka sra w majtki. ZAŁÓŻ PIELUCHE.

LEPIEJ ZRÓB TO, CO OBIECAŁAŚ, KUPO NIEMOWLAKA!!!!!!!!!!!!!! GIŃ, SUKO, DOBRANOC.

Po raz drugi tej nocy czytałam wiadomości z telefonu Callie, usiłując zrozumieć gorzki zbitek informacji. SMS-y były podpisane imionami jej najlepszych koleżanek. Ściskające w dołku, irracjonalne, odrażające słowa. Zapragnęłam położyć się na winylowej podłodze, przyłożyć twarz do jej chłodnej powierzchni i wymiotować, dopóki świat nie nabierze sensu. Nigdy nie zaglądałam do jej telefonu, zakładałam, że mówi mi o wszystkich ważnych sprawach. Dlaczego mi nie powiedziała? Jak mogłam o tym nie wiedzieć? Odpowiedzi wydawały się niemożliwe, mój żal bezużyteczny. Liczył się jedynie każdy kolejny oddech Callie.

– Wyniesiemy się stąd – powiedziałam. – Wybierzesz na mapie dowolne miejsce, wsiądziemy w samochód i pojedziemy tam. Dokąd tylko zechcesz, Callie. Cokolwiek sobie wymarzysz. Otworzymy okna i będziemy słuchać muzyki. – Patrzyłam na jej unoszącą się i opadającą klatkę piersiową. Nakryłam jej dłoń swoją. – Chcesz się wybrać do Iowa? Nigdy nie byłam w Iowa. Pojedziemy sobie autostradą, będziemy mijać kolejne stany, pola, doliny, równiny. Wszystko to, co do tej pory widywałyśmy jedynie w telewizji. – Płatanina rurek w nosie i ustach Callie, głośny, nieubłagany szum respiratora. – Moim zdaniem powinnyśmy zamieszkać na farmie. Takiej z błyszczącym silosem. Możemy zacząć hodować zwierzęta, co zechcesz. Nie musisz chodzić do szkoły. Będziemy spędzać całe dni na powietrzu, nauczymy się doić krowy, opowiesz mi o swoich planach... Może podróże, nauka języków? Albo odkrywanie nowych gatunków w lasach deszczowych. A może zechcesz po prostu przetańczyć całą noc w skarpetkach... – Pogładziłam gładkie czoło i włosy. – Jeszcze wszystko przed tobą, Callie. Naprawdę.

Przysłała mi wiadomość, którą przeczytałam o świcie. E-mail zatytułowany „Przepraszam, Rebecca”. Zmrużyłam oczy, patrząc na mały wyświetlacz telefonu. Drżałam na całym ciele, otwierając wiadomość.

Rebecca, wysyłam Ci opis pięciu ostatnich rozmów z Robyn, żebyś mogła poznać całą prawdę. Poza tym chciałam Cię jeszcze raz bardzo przeprosić. Kocham Cię, Callie.

W szczegółowych relacjach z każdej rozmowy i spotkania Callie opisała wszystkie intymne szczegóły ewoluującej przyjaźni. Dziewczynki stały się sobie tak bliskie, że ich związek zaczął przypominać miłość. Może to istotnie była miłość – trudna, zdumiewająca, niespodziewana. Callie odczuwała wstyd i lęk, nie chciała, by ktokolwiek się dowiedział. Ukrywała znajomość z Robyn, fascynacja przeistoczyła się we wzajemne pretensje.

Wspominałam własne uczucia do Joyce w tym wieku. Dla mojego trzynastoletniego umysłu utopienie się w oceanie, kiedy mnie ignorowała, było całkiem realną możliwością. Wszystko wydawało się takie cudowne i straszne zarazem. Będąc skupionym na tej jednej jedynej chwili, łatwo zapomnieć, że istnieje jakaś przyszłość. Callie chowała pod maską swoją prawdziwą twarz, której – w jej mniemaniu – nikt by nie zaakceptował. Wydawała się sobie zbyt poplątana i dziwna. Ja także się chowałam, żyjąc iluzjami i nadzieją, że jej życie będzie łatwiejsze niż moje. Łatwe nie znaczy prawdziwe. Miłość ma wielką moc ranienia. Powinnam jej była to powiedzieć. Miłość bywała skomplikowana i bezwzględna. Przynosiła rozczarowania, czasem umierała. Jednak nie musiała zostawiać po sobie zgliszcz – Callie powinna o tym wiedzieć. Miłość zawsze powraca.

*

W poniedziałek w szpitalu zjawił się policjant. Przedstawił się jako Gary Gatewood, otworzył szarą teczkę z wydrukami komputerowymi i stał nade mną cierpliwie, kiedy je przeglądałam. Kojarzył mi się z żołnierzem, który informuje rodzinę towarzysza broni o jego śmierci na polu bitwy. CZY MIAŁEŚ NIESZCZĘŚCIE WĄCHAĆ KUPE NIEMOWLAKA?, przeczytałam. Pod spodem ktoś zamieścił zdjęcie Callie. Nie byłam zdziwiona, widząc nazwiska Elli i Dallas. Miałam ochotę je udusić, ale nie byłam zdziwiona.

Policjant pokazał mi e-mail wysłany z konta pocztowego Elli w niedzielę wieczorem, pełen przechwałek, że ona i Dallas bezkarnie dręczyły ludzi od lat. Załączyła listę ofiar i opisała, co zrobiła Callie. Próbowwała utopić ją w jeziorze, dokuczała jej w szkole, pokrzykiwała na nią w klasie i na korytarzu, przez ostatni miesiąc regularnie groziła, że ją zabije. Opisywała swoje przewinienia z bezwstydną dumą, przez jedną pełną nienawiści chwilę żałowałam, że to nie ona leży teraz w szpitalu.

– Ella twierdzi, że nie wysłała tej wiadomości – powiedział Gatewood. – Mamy powody, by podejrzewać Callie o włamanie na jej konto.

Pokazał mi kolejny wydruk ze zdjęciem Callie i zwrócił uwagę na zmieniony nagłówek.

ZABILIŚMY CALLIE MCKENZIE

To nie jest żart. Przyłączenie się do tej grupy jest równoznaczne z popełnieniem morderstwa. Przez Was zginął człowiek. Callie McKenzie – którą nazywaliście Kupą Niemowlaka – nie była śmieciem. Jej życie miało wartość. Mimo to postanowiliście ją zabić.

Zadrżałam. Wyobraziłam ich sobie zebranych wokół niej w jeziorze, mimo że w rzeczywistości nie było tam nikogo poza Callie i Larą.

Będzie tam za każdym razem, kiedy pomyślicie o skrzywdzeniu innej osoby. Poczujecie ucisk w gardle, pomyślicie o niej i przestaniecie.

- Czy to brzmi jak coś, co mogłaby napisać Callie?
 - Tak – przyznałam. – Mogłaby napisać coś takiego.
- Zapytałam też, czy odnaleziono kobietę, która uratowała Callie.

Wysłałam na korytarz i stanęłam tuż obok automatycznych szklanych drzwi, które raz po raz otwierały się i zamykały, wpuszczając wchodzących i wypuszczając wychodzących. Zatelefonowałam do matki.

- Wiedziałaś, że Lara wyszła z więzienia? Została zwolniona wcześniej.
- Co się stało? – spytała zasnym głosem. – Coś z Callie?
- U Callie bez zmian. Lara była z nią w jeziorze. Myślałam, że mam przywidzenia.
- Lara tam była?
- Tak! Wyniosła Callie na brzeg!
- Dobrze. Spokojnie – powiedziała pospiesznie. – Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Powzięłam pewne postanowienia i wtajemniczyłam Danny'ego w swoje plany. Przyszedł do szpitala z torbą pełną pączków. Po pierwsze, zamierzałam zabrać stąd Callie. Po drugie, wyjechać gdzieś daleko. Wynajmiemy mieszkanie z dobrym piekarnikiem, w którym będę wypiekać świeży chleb dla Callie. Cynamonowy posmarowany roztopionym masłem. Ziołowy z tymiankiem i pietruszką. Wielkie kukurydziane pajdy rozpływające się w ustach. Strzepnę okruszki z pościeli i podam kolejny chlebek: z orzechami i rodzynkami. Może mogłabym sprzedawać swoje wypieki? Zacząć nowe życie i nową pracę?

Danny słuchał moich szalonych wywodów, nerwowo miętosząc kołnierz bawełnianej koszulki. Jego szare oczy szukały mojego wzroku. Nie wiedziałam, co

innego mogłabym zrobić. Szaleństwo wydawało się jedyną reakcją adekwatną do sytuacji.

Potarł jasny zarost na brodzie. Rozmawiał z policją na temat Robyn. Zapewniali, że ma się dobrze. Przez cały czas była w domu. Callie użyła jej jako przykrywkę. Wpatrywałam się w nieprzytomną dziewczynkę. Chleb, przypomniałam sobie. Będziemy go rozrywać i pochłaniać garściami. Chleb na zakwasie, z serem.

- Z serem typu cheddar? – zapytał Danny. Popatrzyłam na niego z wdzięcznością.
- Z ostrym cheddarem. Do tego dwie łyżeczki miodu.

Po południu przyszły mama i ciotka Bea. Bea wyglądała jak pacjentka, która przyszła tu umrzeć, ze skórą o brązowym odcieniu, z butlą tlenu na kółkach, zgarbiona w oczekiwaniu na złe wiadomości. Mama podtrzymała ją za łokieć, chroniąc przed upadkiem. Podała mi zużytą reklamówkę z kilkoma batonikami i wodą mineralną.

– Kupiłam ci coś do przebrania. – Pokazała różowy dres. Zerknęłam na swoje ubranie. Szare spodnie i bluza. Nie należały do mnie. Nie pamiętałam nawet, kiedy zdjęłam własne przemoczone rzeczy.

Zajęły dwa krzesła na korytarzu. Ja nie potrafiłam usiedzieć na miejscu, musiałam być stale w ruchu. Bea miała na sobie spodnie z akrylu i tani, żółty sweter. Dotykała plastikowej rurki wystającej z nosa, jej twarz wyrażała napięcie.

- Podobno wynik EEG jest prawidłowy.
- Lekarz mówi, że niedługo powinna się obudzić. Prawda, Rebecca? – Pokiwałam głową i popatrzyłam na mamę. Ledwie ją poznawałam. Nacisnęła powieki palcami. – Usiądź – powiedziała. – Rozmawialiśmy z Larą. Pojechaliśmy do niej po twoim telefonie.

- Usiadłyście i odbyłyście z nią rozmowę?
 - Tak. Ciocia ma ci coś do powiedzenia.
- Bea podrapała się po głowie, zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w ścianie.
- Callie widziała Larę u mnie w domu.
 - Co takiego?! Jak to?
 - W zeszłym tygodniu. Lara przyszła mnie odwiedzić, a Callie zobaczyła ją przez okno.

- Nie spotkały się – zapewniła mama. – Bea do tego nie dopuściła.
- Byłam wściekła na ciotkę.
- Wpuściłaś tę kobietę do swojego domu? – Miałam ochotę paść na kolana, chwycić ją za nadgarstki i wrzeszczeć. Nienawidziła mnie od śmierci Curtisa. Chciałam wiedzieć dlaczego. Czemu mnie nienawidziła i jak mogła wpuścić Larę za próg.
 - Nie planowałam tego. – Bea opowiedziała o listach od Lary – listach z więzienia, w których błagała o wybaczenie. Pisała, że chce cofnąć czas i oddać swoje życie za

życie Curtisa i Joyce.

– Odpisałam jej stekiem wyzwisk – skrzywiła się Bea. – Chciałam, żeby cierpiała. Żeby zgniła w piekle. – Uszczypnęła się, jakby dla podkreślenia swojej ówczesnej złości. – Znałam tę dziewczynę, odkąd skończyła czternaście lat, ale nie była już tą samą osobą. – Lara odpisała, że zgadza się z każdym słowem, każdą obelgą. Ciotka napisała kolejny list: nazwała ją toksycznym odpadem społecznym, okropną żoną, kobietą nienadającą się na matkę, zasługującą na wszystkie poronienia. Bea wyglądała okropnie, niczym zanurzona w wannie z lodem, miała całkiem białe usta. – Z tym też się zgodziła. A na więcej nie miałam już siły.

Razem z Larą opłakiwała śmierć swoich nienarodzonych wnuków, nie potrafiła cieszyć się z ich braku. Cierpienie Lary nie przynosiło spodziewanej satysfakcji. Nie wróciło Bei syna. Żadna z nich nie mogła przywrócić mu życia. Bea sięgnęła po długopis, dokładnie wiedząc, co chce napisać: *Droga Laro, rozumiem, co czujesz.*

Po wyjściu z więzienia Lara odwiedziła moją ciotkę. Rozpłakała się w jej salonie i powiedziała, że nie przetrwałyby bez niej. Listy Bei, te późniejsze, pozbawione nienawiści, utrzymywały ją przy życiu. W pewnym momencie – zanim Bea zdążyła powiedzieć Larze, że nadal jej nie wybaczyła – ktoś zapukał pięścią w drzwi wejściowe.

– Przyjechała taksówką – wyjaśniła. W zeszły wtorek, kiedy została w domu z powodu choroby. Zajrzała przez okno do salonu i wtedy ją zobaczyła. Lara też widziała Callie. Często o niej rozmyślała, wtem zjawiła się przed nią niczym jakiś znak. Córka Curtisa. Spojrzała w jej przenikliwe zielone oczy, na podbródek po tacie. Potem wpisała jej nazwisko w przeglądarkę internetową i trafiła na Facebooka. Oglądała profile znajomych Callie. Nagle trafiła na stronę zatytułowaną CZY MIAŁEŚ NIESZCZĘŚCIE WĄCHAĆ KUPE NIEMOWLAKA? – tę samą, którą pokazał mi policjant.

Lara zaczęła kompulsywnie na nią wracać, czytała nowe agresywne komentarze i klikała w ikonę „zgłoś nadużycie”. Wysłała nawet anonimową wiadomość do Callie z radą, żeby zwróciła się do kogoś o pomoc.

– Nie wpadła na pomysł, żeby ciebie poinformować? – zapytałam Beę. – Albo policję?

Wiedziałam jednak, że to była dla niej delikatna sprawa – szpiegowała córkę swojego męża. Ponadto nie mogła przewidzieć, w jaki sposób sytuacja eskaluje na przestrzeni następnych paru dni. Późnym wieczorem w niedzielę, podczas gdy jechałam na spotkanie z Dannym przy wiadukcie, Lara spostrzegła nowy nagłówek: ZABILIŚMY CALLIE MCKENZIE. Czekałam przy Flint Street w nadziei na uratowanie Robyn, a tymczasem Lara jechała do naszego domu, bojąc się, że nie zdąży uratować Callie przed jej prześladowcami. Obawiała się, że już ją zabili.

Autorką listu była sama Callie, ale Lara wtedy jeszcze o tym nie wiedziała. Zobaczyła Callie wychodzącą z domu i postanowiła ją śledzić. Poczułam ucisk w krtani.

– Samochodem?

– Nie. Pieszko. Bała się, że ktoś może ją zaatakować.

Zamknęłam oczy i przypominałam sobie wstrząs, który przeżyłam na wiadomość o tym, że wjechała samochodem w Joyce i Curtisa. Była normalną dziewczyną. Jak normalna dziewczyna może dopuścić się morderstwa lub w mgnieniu oka zamienić w kogoś zupełnie innego? A teraz wraca jako bohaterka i ratuje życie Callie? Taka transformacja wydawała mi się niepojęta. Dawno przestałam wierzyć w telepatię. To była tylko dziecięca fantazja. Lara zalogowała się do sieci we właściwym momencie, zobaczyła Callie wychodzącą z domu. Przypadek, szczęście, zbieg okoliczności. Znalazła się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze. Nie była żadną bohaterką. Niektórzy ludzie nie są zdolni do bohaterstwa.

*

Nie zwróciłabym na nią uwagi, gdybyśmy się minęły przypadkiem na ulicy. Wyglądała zupełnie zwyczajnie i niegroźnie. Mogłabym ją wziąć za kelnerkę w średnim wieku podczas zasłużonej przerwy w pracy. Błada, ziemista cera, wyblakłe ciemnorude włosy, przerzedzone brwi.

Na szpitalnej stołówce panował popołudniowy półmrok i brzęczały naczynia. Wielka sala pełna zapachów i plastikowych krzeseł. Rodziny dotknięte tragediami lub dostępujące cudów przychodziły tu na pozbawione smaku posiłki. Woń keczupu i kartofli kontrastowała z nagromadzeniem emocji. Usiadłam przy stoliku naprzeciwko niej, nie uniosła głowy. Dziwiłam się, że nie drżą mi ręce, że nie chwytam jej za gardło, jak to sobie wyobrażałam tysiące razy.

– Nie chcę cię denerwować – powiedziała ze wzrokiem utkwionym w blat. – Jestem tu tylko dlatego, że się martwię. – Sprawiała wrażenie nieobecnej, oderwanej od rzeczywistości. Zastanawiałam się, czy nauczyła się tego dystansu w więzieniu. – Chciałam też powiedzieć, jak bardzo mi przykro – mówiła mechanicznie. – Mam nadzieję, że Callie z tego wyjdzie. Nie bój się, będę się trzymała z daleka.

Brzęknęła otwierana kasa i sztucce uderzające o talerz. Zerknęłam na małżeństwo w podeszłym wieku siedzące przy sąsiednim stoliku. Dzielili się paczką chipsów. Lara obciągnęła rękawy, popatrzyła na papierowy kubek na naszym stoliku. Zauważyłam z odrazą, że kupiła sobie kawę.

– Smaczna kawka? – spytałam, przelękając tłusty, ostry posmak w ustach.

– Kawka? – powtórzyła niepewnie. – Kupić też dla ciebie?

– Nic nie chcę – odparłam z wrogością. – Nie zdołałabym niczego przełknąć. –

Wciąż wpatrywałam się w jej kubek. Niech pije, niech zademonstruje swoją nieludzką obojętność. Splotła dłonie, różowe paznokcie sprawiały wrażenie zdrowych, skóra nie była spierzchnięta ani pomarszczona. Dbała o siebie. – Callie nic o tobie nie wie – oznajmiłam. – Nie przekazywałam jej listów od ciebie. Nie chciałam, żeby się dowiedziała, że omal nie zginęła.

– Rebecca, ja nie... – Zaciśnęła usta. Wiedziałam, co to znaczy. Usiłowała zapanować nad jękaniami. – Nie zrobiłabym tego. Nie miałam zamiaru.

– Wyobraź sobie, jak by się czuła, gdyby o tym wiedziała. – Zrobiłam pauzę, żeby dać jej czas na przełknięcie całej goryczy moich słów. – Zawsze miała bujną wyobraźnię. Wyobrażałaby sobie cały przebieg wypadku. Po śmierci Joyce Callie uwierzyła, że widuje ją w swoim pokoju. Czekala na nią każdej nocy. Myślała, że ją odwiedzi i porozmawiają o tym, jakie to uczucie leżeć w ziemi. – Nadal na mnie nie patrzyła. Wpatrywała się w stół, jakby szukała wyjścia ewakuacyjnego, drogi ucieczki od bolesnego tematu. Zauważyłam, nie bez irytacji, brak jakichkolwiek śladów prób samobójczych na jej szyi i nadgarstkach. – Co się zmieniło? – spytałam jadownicę. – Czemu tu jeszcze jesteś? – Myślę, że Lara zrozumiała, o co pytam. Nie miałam na myśli stołówki. Pytałam, czemu jeszcze żyje. Musiała mieć niejedną sposobność, by ze sobą skończyć. Dostrzegłam drżenie jej ust i pomyślałam o listach Bei. Zranienie Lary niczego nie zmieni, ale przyniosło mi satysfakcję. – Nie powinnaś była za nią iść. Trzeba było zadzwonić na policję.

– Teraz to wiem, Rebecca. Zbyt późno zorientowałam się w sytuacji.

– Ja zawsze orientuję się zbyt późno – rzekłam z goryczą w głosie.

Lara popatrzyła na mnie uważnie i przenikliwie. Pierwsza odwróciłam wzrok.

– Nie skrzywdziłabym jej – mruknęła. – Bardzo żałuję tego, co zrobiłam. Codziennie myślę o Joyce i Curtisie... O tym, co straciłyśmy.

Tego było za wiele. Nie mogłam jej na to pozwolić.

– Nie ma żadnych „my”! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Co ja straciłam, co straciła Callie – to zupełnie co innego. – Zrobiłam zamach, ale jej nie uderzyłam. Moja ręka opadła ciężko jak kamień w wodę. Lara patrzyła na mnie ze zdziwieniem, kiedy moje palce wylądowały na jej chłodnej, upstrzonej piegami dłoni. Te dłonie wyłowiły Callie spod powierzchni wody. Nie zdążyłam na czas, Callie mogłaby już nie żyć.

– Wiem – powiedziała. – Nie chciałam...

Nasze ręce leżały splecione na stole. Ciało Callie w jej ramionach. Callie walczyła o oddech. Cofnęłam dłoń i otarłam wilgotne oczy.

– Co się dokładnie wydarzyło nad jeziorem?

– Cóż... Byłam wstrząśnięta, kiedy zobaczyłam, że tonie.

– Ale bez wahania weszłaś za nią do wody? Nie przyglądałaś się z brzegu?

Usiłowała zachować spokój.

– Nie. Od razu do niej poszłam.

Wspominałam ostatni wybryk hiacyntowych dziewczyn. Zabawę, w której jako Lara wyjąkałam pożegnanie i patrzyłam na tonącą Autumn.

– Callie zadawała mi mnóstwo pytań na temat Autumn Sanger. Myślę, że szukała inspiracji – wyznałam.

– Autumn? – Lara dotknęła swoich rozpuszczonych włosów, jakby nagle odkryła brak spinki.

– Niepotrzebnie jej o tym opowiedziałam. Nie zdawałam sobie sprawy z zagrożenia.

– Callie jest inna niż Autumn. – Lara powiodła palcem po blacie stołu. – Autumn nie zostawiła listu, ona się po prostu poddała – mówiła z namysłem. Jej dłoń znieruchomiała. – Codziennie widywałam siniaki na jej nogach. Na tych bardzo szczupłych nogach, które jej ojciec kopał ciężkimi roboczymi buciorami. Mój ojciec też bywał agresywny, ale skupiał się głównie na moich braciach. Myślałam, że rozumiem Autumn. W rzeczywistości nie miałam pojęcia, co przeżywa. Pewnego dnia zapytała mnie, czy chcę coś zobaczyć. Podwinęła bluzkę i pokazała mi purpurowe plamy na całej klatce piersiowej. Powiedziała, że sprawy zaszły za daleko i musi zwrócić się o pomoc. „Nie, daj spokój. Jest, jak jest”, odpowiedziała.

– Ojciec ją bił – powtórzyłam ostrożnie. – Chcesz powiedzieć, że ją zabił?

Lara pokręciła głową.

– Po prostu się poddała.

– Ale powiedziałaś nam, że pan Hort...

– Autumn była bardzo nieszczęśliwa. Mimo wszystko wolałam wierzyć, że została porwana. Nie zostawiła listu. Sądziłam, że gdyby postanowiła ze sobą skończyć, przynajmniej narobiłaby ojcu kłopotów. – Lara spojrzała mi w oczy. Przerwałam ocieranie łez. – Callie jest inna – powtórzyła. – Czytałaś jej list? – Skinęłam, powstrzymując szloch. – Jak myślisz, co chciała osiągnąć?

Pomyślałam o ciemnym jeziorze i przepastnym oceanie. Callie napisała, że została zabita.

– Chciała, żeby pożałowali tego, co zrobili – odparłam z wahaniem. – Myślała, że zdoła coś zmienić.

– Pragnęła zmusić ludzi do słuchania. Nie poddała się jak Autumn. Nie sądzisz, że to dobry znak?

CALLIE

Gdy byłam mała, śmierć mnie nie dotyczyła. Nie była tak odległa jak Księżyc, lecz rzadko się do mnie zbliżała. Była zapachem zgnilizny z rynsztoka, w którym dostrzegałam zakrwawione futerko jakiegoś zwierzęcia. Mocnym uściskiem dłoni dorosłego, kiedy mijały nas rozpędzone samochody. Czyimś butem porzuconym w trawie, leżącym tam tygodniami, namokłym od deszczu i pełnym robaków.

Śmierć była ostrzeżeniem, krzykiem, trzaśnięciem drzwi. Ciężka i kolczasta jak bomba z sennego koszmaru. Bałam się, że na mnie spadnie, a jednocześnie odczuwałam ciekawość. Nie mogłam uwierzyć, że wybuchła w moim domu. Szukałam mamy, nikt nie chciał mi powiedzieć, gdzie jest, i wówczas wszystko się zmieniło. Śmierć zaczęła mnie przyciągać.

Orbitowałam wokół niej niczym piórko na wietrze, coraz bliżej. Chciałam jej dotknąć, poznać ją. Zamykałam oczy i zeskakiwałam z huśtawki. Robiłam zakłady, igrałam z nią. Wyobrażałam sobie swój pogrzeb. Dziecinne żarty. Dopóki pewnego dnia nie zrozumiałam, że ona rośnie we mnie, rozgałęzia się, nabiera mocy. Czułam ją w mocnym biciu własnego serca. Bestię, która szeptała: „Dziwadło. Chodź do mnie”.

Otwarta klatka i kuszący głos, który mówi: „Leć!”.

Zatrzepotałam ramionami, lecz wtedy wtrącił się ktoś inny i zawołał mnie po imieniu. Znała moje imię.

Oto co się mogło wydarzyć po moim przebudzeniu w szpitalu.

Stos kartek z życzeniami powrotu do zdrowia, tony maskotek, balony w każdym kącie sali. Rebecca zaczyna czytać przeprosiny kolegów i koleżanek ze szkoły. Co najmniej sto, każde brzmiało bardzo szczerze. Co najważniejsze, pamiętam wszystko bardzo wyraźnie, mojego umysłu nie zasnuwa żadna mgła. Wiem, kim jestem. Rozumiem, co się stało. Odwracam głowę i widzę ją. Ma rozmazany tusz, płacze. Już kiedyś tak płakała. Jej głos wypowiedający moje imię brzmi jak mruczenie małych kotków, ich różowe noski dotykają mojej skóry. Zna mnie na wylot. Prędko odnajduje moją rękę pod kołdrą. Odwiedza mnie mnóstwo osób, wszyscy chcą mnie zobaczyć. Nauczyciele, znajomi, dziennikarze – zaczynają klaskać i mówią, że jestem dzielna. Światło nie jest ani za jasne, ani zbyt przyciemnione. Zamykam oczy, a kiedy ponownie je otwieram, stoją obok mojego łóżka. Mama i tata.

Nic z tego nie wydarzyło się naprawdę. Było zupełnie inaczej. Żadnych kartek ani balonów. Rebecca nie mogła mi czytać niczyich przeprosin, bo nikt ich nie przysłał. Mój mózg był tak przeciążony, że nie mogłam sformułować nawet jednego zdania – słowa umykały, gdy usiłowałam je złapać. Nie dostałam tony maskotek, odwiedzała

mnie tylko najbliższa rodzina: babcia Bea, ciocia Gina i dziadek Pat. Nie uśmiechali się, nie klaskali, nie chwalili mnie za odwagę. Nie pamiętałam, nie byłam w stanie myśleć. Robyn nie przyszła.

Do tego odmrożenia. Moje stopy płonęły żywym ogniem. Jakby były zamknięte w skrzyni w samym sercu słońca. Miałam paskudne pęcherze przypominające różowe grzyby. Zwymiotowałam do plastikowej miski, kiedy lekarz je odcinał.

Jak się tu znalazłam?

– To był cud – powiedziała Rebecca.

– Dopłynęłam do...

– Cud – powtórzyła.

Nie czułam się jak ktoś, kto dostąpił cudu. Miałam niewiarygodną pustkę w głowie. Jakbym poszła na ważną premierę i wpatrywała się w czarny ekran, zamiast oglądać film. Otepiała do granic możliwości, z otwartą buzią. Otumanione dziecko we mgle. *Dlaczego to oglądam? Co się stało? Kiedy zacznie się film?*

– Nie rozumiem – mówiła ciocia. – Taka piękna dziewczynka.

– Jest na jakichś lekach? – zapytał dziadek. – Dlatego tak dziwnie się zachowuje?

– Co mam wam powiedzieć? – odparła ciocia Bea. – Jest, jak jest.

Rebecca nie odstępowała mnie na krok. Patrzyła na mnie, powtarzała moje imię jak zaklęcie. Mówiła i mówiła. Mijały dni, nie miałam pojęcia ile. Opowiadała coś o jakimś chlebie. Wtem padło słowo „Tatuś”.

– Wiem, co zaszło między tobą i Robyn. Wszyscy cię kochamy.

Nie byłam gotowa, żeby jej wysłuchać. Wpatrywałam się tępo w czarny ekran.

Pewnego dnia przynieśli mi olbrzymie różowe kapcie, które Rebecca wsunęła na moje obandażowane stopy. Podała mi swoje ramię. Chcieli, żebym spróbowała stanąć na nogi i przejść kilka kroków. Potykałam się o własne stopy, zupełnie nie reagowały na sygnały płynące z mózgu. Wypisali mnie do domu. Uwieszona na ramieniu Rebekki, robiłam, co mogłam, żeby posuwać się naprzód, ale nogi nie utrzymywały mojego ciężaru. Od kostek w dół były tylko bezużytecznym płonącym mięsem. Kuśtykałam po schodach na górę do naszego domu, kurczowo trzymając się Rebekki.

– Jeszcze tylko dwa schodki. Jeszcze dwa. Już prawie jesteśmy. Chodź, Callie.

Dotarcie do własnego łóżka było nie lada wyczynem, czułam się jak po przekroczeniu linii mety. Rebecca podłożyła mi poduszki pod nogi i zapewniła, że ktoś zawsze przy mnie będzie. Ona, ciocia Gina, dziadek Pat albo pani Romero. Poczulałam wstyd, że wymagam opieki jak małe dziecko, ale nie miałam siły, żeby się kłócić.

– Potraktuj nas jak swoich goryli – powiedziała Rebecca. – Będziemy cię ochraniać.

Kiedy tylko mogłam, zapadałam w sen. Nie chciałam myśleć. *Co ja robiłam? Co*

się stało? Czasami przypominałam sobie zbyt wiele i mój umysł zajmował się płomieniem. Od czasu do czasu, dla rozrywki, udawałam, że przysuwam płomień zapalniczki do różnych części ciała. Eksplozja iskier w kolanie, w palcach. Spalone włoski na szyi. Następnie, gdy już cała płonęłam, wyobrażałam sobie płatki śniegu. Tworzyły zasy na moim brzuchu, chłodziły usta i język, Wprawiały stopy w drżenie, zwalniały rytm serca. Na koniec, jeśli jeszcze nie spałam, wyobrażałam sobie jedwabiste piórko, które mnie wszędzie łaskocze. Uda, podbródek, wnętrze uszu. Pozwalałam mu zwiedzać całe ciało, oprócz stóp. Nigdy nie dopuściłam, żeby dotknęło moich stóp.

Były zdrętwiałe i opuchnięte, jak stopy jaskiniowca. Co kilka godzin budziło mnie ich pulsowanie. Zeszły mi trzy paznokcie. Rebecca karmiła mnie środkami przeciwbólowymi i zmieniała opatrunki. Skóra pod bandażami była szaro-żółto-fioletowa. Rebecca wcierała w nią specjalną maść. Wolałabym, żeby nie musiała na to patrzeć, ale kiedy odchodziła, chwytalam ją za ramię, za nogę, wycierałam łzy o jej koszulę. Szlochałam spazmatycznie, tak bardzo potrzebowałam czyjejś bliskości. *Nie zostawiaj mnie. Nie zostawisz mnie, prawda?*

– Nie zostawię cię, Callie. Obiecuję.

– Nie! Idź stąd! – krzyczałam. – Chcę być sama! – Jeżeli poruszyła się choćby odrobinę, zaczynałam wyć. – Proszę, nie odchodź! Czemu mnie zostawiasz?

Rebecca cierpliwie przy mnie trwała. Mimowolnie zaczęłam jej opowiadać różne rzeczy. Byłam dziwadłem, żalonym dzieciakiem. Usiłowałam to ukryć przez całe swoje życie. A teraz wszyscy się dowiedzieli. Czy jest jeszcze w stanie na mnie patrzeć?

Przytulała mnie i próbowała zrozumieć. Powiedziała, że cała rodzina mnie kocha, wszystko się ułoży. Jestem zwyczajnie zagubiona, nikt nie uważa mnie za okropną osobę. Mogę zacząć od nowa, mogę być, kim zechcę. Nie muszę być idealna, wystarczy, że będę sobą. Próbowałam uwierzyć w to, co mówiła, ale mój mózg trawił ogień. Jej widok przypominał mi o tym, co zrobiłam. Chciałam ją tak zostawić... Samą... Nigdy nie kochałam Rebekki dość mocno, żeby zrozumieć, co by to dla niej oznaczało. Chciałam nią pogardzać tak jak wcześniej – za wieczną obecność, bezwarunkową miłość, wybaczenie każdego wybryku. Nie potrafiłam. Zacisnęłam palce na rękawie jej bluzki. Słyszałam, jak mnie wołała, tam nad jeziorem. Słyszałam głos Rebekki.

– Uratowałaś mnie – stwierdziłam.

Wówczas powiedziała coś zupełnie nieprawdopodobnego:

– Osoba, która wyciągnęła cię na brzeg... To była żona twojego taty. – Schowałam głowę pod poduszkę, otworzyłam usta, jakbym chciała ją całą połknąć. – Nie chcę mieć już przed tobą żadnych tajemnic. Musisz poznać prawdę.

Przycisnęłam palce do powiek, tonęłam. Rebecca nalegała, żebym wysłuchała

historii swoich rodziców.

Tata odwiedzał mnie raz w miesiącu, spotykaliśmy się na plaży. Utrzymywał te wizyty w tajemnicy przed żoną. Ona nie chciała, żeby miał ze mną cokolwiek wspólnego. Była zazdrosna, ponieważ zdradził ją z moją mamą tuż przed ślubem. Podejrzewała, że nadal ją zdradza, ale on tylko mnie odwiedzał. Odwiedzał mnie. Kupował mi lody, przytulał, całował, nosił na rękach. Pragnął mnie poznać. Usiłowałam sobie przypomnieć, ale nie mogłam.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

– Jego żona była przekonana, że twoi rodzice ją oszukują. Przyszła do mnie, groziła samobójstwem. Powiedziałam jej o spotkaniach z tobą w nadziei, że to ją uspokoi. – Tymczasem ona pojechała na plażę, zobaczyła nas i przejechała do moich rodziców. – To było straszne, Callie. Chcieliśmy ci zaoszczędzić koszmarnych wizji, wspomnień. Nawet jeśli musieliśmy pominąć twojego tatę.

Kobieta, którą widziałam w domu babci – żona ojca – zabiła moją mamę. Moja mama została zamordowana, tata po niedługim czasie popełnił samobójstwo. Ciemność otaczała mnie zewsząd jak dusząca płachta blokująca światło, powietrze, życie. Nie pamiętałam tego, a jednak miałam teraz przed oczami ich zmienione twarze. Oczy rozszerzone strachem, usta rozciągnięte w krzyku. Nie wiedziałam, dlaczego moi rodzice nie żyją. Nie zachowałam żadnych wspomnień spotkań z tatą. Myślałam, że mama była idealna. Po tym, co usłyszałam, oboje się zmienili.

– Co byś powiedziała na kąpiel? – pytali. – Może poczujesz się lepiej?

Pomysł wejścia do wanny wydawał się niemożliwy do zrealizowania. Po pierwsze, musiałabym wyjść z łóżka. Postawić stopy na podłodze. Zapanować nad krzykiem bólu. Następnie trzeba się rozebrać, namydlić ciało. Trzymać w górze zabezpieczone folią stopy. Nie wolno ich moczyć.

– Pozwól, że odsłonię okno – zaproponował dziadek, lecz ja wolałam mrok.

– Napij się soku.

Piłam jak noworodek, naiwny i niemy. Uczyłam się mówić – każde słowo miało ciężar kamienia. Mama. Tata. Oznaczały zupełnie co innego, niż dotąd sądziłam. Zamknęłam oczy. Mamusia. Tatuś. Lepki sok ściekał mi po policzku. Chciałam się do nich zbliżyć, choćby wypowiadając ich imiona. Sprawdzić, czy jesteśmy tacy sami. Byli za daleko. Nie było ich przy mnie, gdy ich najbardziej potrzebowałam. Pojawiły się nowe słowa. Morderstwo. Ofiary. Kupa Niemowlaka. Sterczące Sutki.

– To tylko etykiety – mówiła Rebecca. – Ludzie są bardziej skomplikowani.

Słowa spadały na mnie jak kamienie, tysiące kolorowych kamieni gotowych pogrzebać mnie żywcem. Została zamordowana. Ofiara. Toczyły się i przesuwwały. Była bohaterką. Demonem McFrenzy. Uciskały moją klatkę piersiową. *Twoi rodzice*

byli kimś o wiele więcej niż to, co ich spotkało. Ja także miałam być kimś więcej. Morderczyni mamy dała mi szansę.

Lara. Morderczyni, zabójczyni. Ktoś więcej. Kobieta, która uratowała mi życie. Kogo właściwie ratowała? Kim była ta tonąca dziewczyna, która szukała na dnie jeziora odpowiedzi, a znalazła tylko lodowatą pustkę? Tamta dziewczyna chciała zmienić własną historię, ale zapomniała o jednym: kiedy umierasz, twoja historia przestaje być twoja. Rzeczy, które posobie zostawisz – wspomnienia, listy – mogą zostać przeinaczone, zapomniane, pominięte. Tata mnie kochał, a ja go nie pamiętałam. Mama cierpiała, a ja widziałam jedynie idealną fasadę. Słowa, którymi określałam rodziców, były równie puste jak te, które kazali nam powtarzać w szkole. Natomiast te, które dałam Rebecce... Popatrzyłam na nią jeszcze raz.

Opiekunka. Koneserka malinowych herbatek. Łatwowierna higienistka. Mimoza w golfie, która niczego nie rozumie. Wzięła mnie za rękę. Spróbowałam zobaczyć ją naprawdę. Ona już wiedziała, kim jestem, a teraz ja pragnęłam poznać ją. Nigdy nie domagała się, żebym nazywała ją w jakiś szczególny sposób – nie była ciocią ani mamą Rebeccą – chociaż wychowała mnie jak własną córkę. Kim jest? Jakim słowem? Oparłam głowę na jej ramieniu. Siedziałyśmy tak przez chwilę, czując rzeczy, których nie umiałam nazwać.

To się stało pewnego ranka. Nadal nie wiem, dlaczego właśnie wtedy. Otworzyłam oczy i odkryłam, że coś się zmieniło. Moje drugie serce przestało pulsować, stopy przestały krzyczeć z bólu. Moje ramiona były lekkie, zniknął przygniatający je stos kamieni. Kupa Niemowlaka, Mordercy. Powtarzałam ostrożnie. Mama. Tata. Za oknem świeciło słońce. Biała laska obok łóżka kojarzyła się ze świątecznymi słodyczami. Dotknęłam jej i czekałam, aż zmienię zdanie. Za dwie sekundy opadnę z powrotem na poduszki. Trzy, cztery, pięć, sześć. Nie rozmyślałam się – chciałam wstać.

Odsuń koc. Delikatnie postaw stopy na podłodze. Powoli. Bez pośpiechu. Przez otwarte okno wpadało chłodne powietrze. W ogrodzie zakrakał jakiś ptak. Chyba kruk. Postawiłam stopy na podłodze, nogi się pode mną chwiały, ale nie czułam zbyt dotkliwego bólu. Dokonałam cudu: wyszłam z pokoju, podpierając się laską.

Dziadek pisał coś na swoim laptopie w dużym pokoju. Na mój widok przerwał. Wpatrywał się we mnie bez słowa, podczas gdy ja kontynuowałam swój chwiejny marsz. Miał minę, jakbym właśnie stanęła w płomieniach. Uciekam? Mam zamiar ponowić próbę samobójczą? Zacznę szlochać jak wariatka? Nie wiedział.

Potknęłam się i upadłam. Ukucnął przy mnie. Miał świeżo umyte i uczesane włosy.

– Gina! – wrzasnął. – Gina, możesz tu przyjść?

Wspólnymi siłami położyli mnie na kanapie, podłożyli poduszki pod stopy,

zmierzyli puls. Dziadek przykrył mnie kocem i stanęli obok siebie: tata mojej mamy, mama Rebekki. Przyglądali mi się, jakbym była zepsutą lalką.

– Nic mi nie jest – uspokoiłam ich.

– Umiesz zrobić wielkie wejście.

Ciocia Gina otarła czoło.

– Callie, zjesz jajko? Gotuję jajka.

– Jajko? – zastanowiłam się. – Tak, zjem jajko.

Ciocia Gina przyniosła sok i garść tabletek. Przybliżyła szklanekę do moich ust.

– Napijesz się?

Wypiłam sok, zjadłam jajka i poprosiłam o dokładkę. Zapytałam, jaki mamy miesiąc.

– Październik – odpowiedział dziadek.

Dotrzymywali mi towarzystwa przez kilka godzin. Czułam się odprężona i pełna życia. Śmiałam się z głupot, które opowiadał dziadek. Chciał zostać pielęgniarzem albo zawodowym graczem w rzutki.

– Gracz w rzutki to wymagająca praca. Trzeba przez cały czas pić piwo.

– A jak trafisz w tarczę po pijanemu? – zainteresowała się ciocia.

– Zdziwiłabyś się, jak to czasem pomaga na celność.

Tak nas zastała Rebecca po przyjeździe z pracy. Roześmianych. Sprawiała wrażenie mocno zdziwionej, jakby jej dom opanowali kosmici. Podbiegła, nie zdejmując płaszcza, i pocałowała każdego po kolei w oba policzki.

Kiedy poczułam się dużo lepiej, Rebecca powiedziała mi o billboardzie z moim zdjęciem na drodze niedaleko szkoły. Wcześniej próbowała rozmawiać z rodzicami dzieciaków z listy, którą zostawiłam, ale nie chcieli jej słuchać. Nie wierzyli w winę swoich pociech, szukali usprawiedliwień.

– Ja to trochę rozumiem – wyznała. – Zachowywałam się podobnie, kiedy chodziło o ciebie.

Podobno niektórzy rodzice grozili nam nawet sądem. Rebecca dostała kilka oskarżeń na piśmie o zniesławienie. Wówczas postanowiła zamieścić billboard, który nie pozwoli im zapomnieć. Miał to być zarazem sygnał, że nie pozwolimy, by ponownie nas zastraszo.

Dyrektor szkoły napisał oficjalny list tuż po pierwszych artykułach w prasie.

Szanowni Rodzice,

zwracam się dziś do Państwa, aby poinformować o niedawnym incydencie, który wstrząsnął całą szkolną społecznością. Wielu uczniów mocno przeżywa to, co się stało, wsparcie i zrozumienie ze strony rodziców jest dla nich bezcenne.

Dziś rano otrzymaliśmy wiadomość, że jedna z naszych uczennic trafiła do szpitala w ciężkim stanie po zamachu na swoje życie. Jesteśmy poruszeni i ogłuszeni tą informacją oraz oskarżeniami, które padły pod adresem kilkudziesięciu uczniów. Policja potwierdziła, że nikt inny nie uczestniczył w próbie samobójczej poszkodowanej uczennicy. Niemniej prowadzimy dochodzenie w sprawie domniemyanych aktów prześladowania, które miały miejsce przed zdarzeniem.

Jakiegokolwiek formy agresji – czy to fizyczne, czy werbalne – są surowo zabronione w naszym liceum, zgodnie z zasadami prawa stanowego i federalnego. Dyrekcja Pembury High w żadnym wypadku nie zamierza ich tolerować. Jeżeli ktokolwiek z Państwa lub Wasze dziecko ma informacje o niepokojących aktach zastraszania, zachęcam do niezwłocznego kontaktu ze mną. Nasza szkoła wkłada ogromny wysiłek w tworzenie bezpiecznego środowiska do nauki dla wszystkich uczniów. Od ponad pięciu lat bierzemy udział w kampaniach przeciwko agresji i przemocy w szkole. W rzadkich przypadkach, kiedy dochodzi do aktów przemocy na terenie naszej szkoły, reagujemy natychmiast i z całą stanowczością. Zachęcamy wszystkich naszych uczniów do zgłaszania wszelkich tego rodzaju incydentów, których byli świadkami.

Nauczyciele i pedagodzy będą dostępni w nadchodzących tygodniach dla każdego ucznia, który potrzebuje wsparcia. Prosimy Państwa o cierpliwość i wyrozumiałość w tym trudnym dla wszystkich czasie.

James Wattis

– Co wykazało dochodzenie? – spytałam.

– Będziesz rozczarowana.

– Nic się nie zmieniło?

Rebecca zamknęła laptopa i położyła dłoń na moim ramieniu.

– Chciałabym ci powiedzieć, że wszystko się zmieniło na lepsze. Szkoła naprawdę wprowadziła rygor, a uczniowie są dla siebie miłsi. Ale nie będę kłamać – zmiany rzadko następują tak szybko.

Okazało się, że nikt nie został aresztowany. Ani nawet zawieszony. Osoby, które zapisały się do grupy założonej przez Dallas i Ellę, musiały podpisać zobowiązanie dotyczące zachowania w sieci. Nigdy się nie dowiedziałam, czy Dallas została wybrana na przewodniczącą klasy. Nie wiem, czy Ella zachowała pozycję kapitana szkolnej drużyny pływackiej. Czasami o nich myślę. Czy kiedykolwiek się zmienią? One albo ktokolwiek?

„Pulpet!”, zawołają za kimś na korytarzu. „Morderczynie!”, rzuci im w twarz ta osoba.

Czy będą tego typu sytuacje? Czy dadzą im do myślenia, czy raczej wzbudzą śmiech? Być może nigdy się tego nie dowiem.

Po wyjeździe z Pembury zaczęłam baczniej obserwować rzeczywistość. Zauważyłam coś, czego wcześniej nie dostrzegałam i o czym rzadko się wspomina. Bullying nie dotyczy wyłącznie nastolatków. Albo niegrzecznych małych dzieci. Jest wszędzie. Dotyczy także dorosłych. Telewizja. Filmy. Polityka. Cudzy upadek wzbudza niepohamowaną wesołość. Juror popularnego programu telewizyjnego nazywa uczestnika beztalenciem i szczyci się swoją „szczerością”. Cały naród nadstawia uszu, gdy kongresman nazywa prezydenta kłamcą. Dramaty. Obelgi. Radość z cudzego upokorzenia. Dorośli z upodobaniem komentują wyzywający występ nastolatki. *Żaloszne. Obrzydliwe. Współczuję matce tej dziewczyny. Ośmieszyła się w telewizji. Pewnie marzy o tym, żeby się zapaść pod ziemię.* Ja też kiedyś o tym marzyłam. Teraz nie jestem pewna, czy mogę mieć do nich pretensje. Jak mogli się oprzeć czemuś, co jest wszędzie?

Ja się oparłam. Zmieniłam. Zapamiętałam tamto uczucie upokorzenia. Zaczęłam o sobie myśleć inaczej. Byłam autentyczna, dobra, żywa. Miałam kiedyś rodziców, którzy też tacy byli. Oddychali, mieli swoje wady – byli ludźmi z krwi i kości. Nosłam w sobie ich historię, która zmieniła bieg mojej.

Pielegnowałam swoją inność, walczyłam z presją robienia tego samego, co wszyscy. Robyn nie była idealna ani nawet wyraźnie inna niż wszyscy, ale tęskniłam za nami. Za tym, kim się stawałyśmy. Łączyła nas więź, chciałyśmy się poznać i zrozumieć, bez oceniania. Opowiadałyśmy sobie rzeczy, o których nie wiedział nikt inny. Rozmawiałyśmy o rodzicach. Wspominałam spotkanie w bibliotece. Siedziałyśmy na podłodze, a ona obejmowała mnie mocno. Jej ciepłe włosy na mojej twarzy pachniały owocami.

To takie uczucie, powiedziała. Jej ciało było moją skorupą. Rozmawiając przez internet, pragnęłyśmy trzymać się za ręce. Mówiła, że myślała o mnie tysiące razy. Ja także o niej myślałam: po obudzeniu, kiedy myłam zęby, kiedy otwierałam okno i patrzyłam w niebo.

Byłyśmy przyjaciółkami i miałam nadzieję, że pewnego dnia znów nimi zostaniemy.

Od: R.Doblak@sparkon.com

Do: C.McKenzie@chronomail.com

Temat: Cześć

Data: Piątek, 1 stycznia 2010, 17:48:19

Cześć Callie

Będę z Tobą w 100% szczerą. Nie sądziłam, że KIEDYKOLWIEK do Ciebie napiszę, ponieważ 1) potraktowałaś mnie PODLE; 2) nie ufałam Ci. Wszyscy mówili, że jesteś psychopatką. Moja mama bała się, że będziesz nas próbowała szantażować, a kiedy

zadzwoił do nas jakiś dziennikarz, wrzasnęła na całe gardło: NIE ZNAMY CALLIE MCKENZIE!!!

Miała rację, co? Rozmawiałam z Tobą tyle razy i wciąż nie miałam pojęcia, kim jesteś. To byłaś Ty czy udawałaś kogoś innego? A może po prostu kiepsko kłamiesz? Moja koleżanka mówi, że takie osoby jak Ty manipulują innymi, żeby zdobyć nad nimi władzę. Gratuluję, osiągnęłaś swój cel. Naprawdę czułam to wszystko, co chciałaś, żebyś poczuła, a potem było mi tak okropnie wstyd z powodu własnej głupoty. Nie wiem, skąd miałabym wiedzieć. Chciałam Cię poddać torturom, zmusić do powiedzenia prawdy.

Zacznijmy od naszego pierwszego spotkania. Tamtego dnia czułam się wyjątkowo parszywie. Udawałam dobry humor, a w środku była ciemność. Podśpiewywałam sobie i pytałam Cię o pitbulle, jakbym nie miała żadnych zmartwień. Ta świąteczna piosenka była w rzeczywistości bardzo smutna. O chłopcu, który poznaje wspaniałego przyjaciela, ale ten nie może z nim zostać, ponieważ jest bałwanem i musi się roztopić. Pomyślałam o tacie. ROBYN, WEŻ SIĘ W GARŚĆ!!!, przykazałam sobie. Opowiedziałaś mi o bohaterskim psie i spadła maska sztucznej wesołości. To prawdziwa historia? O pitbullu, który uratował wszystkich tych ludzi? Nie wiem czemu, ale uważam, że to ma znaczenie. W każdym razie byłaś dla mnie miła tego dnia. Podałaś mi rękę, kiedy zapadałam się w bagno. Zaczęłyśmy rozmawiać na czacie. Zresztą wiesz.

Nie wiem, ile było kłamstw, a ile prawdy w tym, co pisałaś. Czytam Twoje stare wiadomości i jest tam sporo rzeczy, w które chciałabym wierzyć. Wiem, że skłamałaś o keczupie, ale czy kłamałaś też, opisując sposób, w jaki na Ciebie patrzyli po śmierci rodziców? Tak że nie mogłaś być sobą? Kłamałaś, kiedy podarowałaś mi Tatusia? A Twój sen o tym, że spałyśmy razem pod choinką? Albo kiedy mi powiedziałaś, że też to czujesz? Wszystkie wiadomości, które dostałam od Ciebie później, pozwalają mi wierzyć, że coś do mnie czułaś. Jednak ja byłam już w nowej szkole, próbowałam stać się kimś innym. To wszystko wydarzyło się tylko w mojej głowie, tłumaczyłam sobie. Jak mogłam kochać kogoś, kogo nawet nie znałam?

Kiedy zaczęłaś do mnie pisać e-maile o tym, jak Cię przezywają i w ogóle, przysięgłam sobie, że nie zmienię zdania. Nie pozwolę sobie na żadne uczucia do Ciebie. Dawna Robyn umarła, a dawna Callie nigdy nie istniała, nie była prawdziwa. Skąd mogłam wiedzieć, że znowu mnie nie oszukujesz? Potem usłyszałam, co zrobiłaś. Było mi strasznie przykro – nie pomogłam Ci, nie odpisałam na Twoje listy, kiedy byłaś taka samotna. Wiem, jak to jest, gdy wszyscy Cię nienawidzą i chcesz umrzeć. Nie chciałam Cię torturować, nie chciałam, żebyś utonęła. Po rozmowie z mamą obie doszłyśmy do wniosku, że nie powinnam do Ciebie pisać. To zbyt ryzykowne. Proszę, postanowiłam zaryzykować. Napiszesz do mnie kiedyś? Może tym razem będzie inaczej? Może znajdziemy jakiś sposób, żeby być sobą?

xoRobyn

Podziękowania

Zacznę od Lizzy Kremer, mojej agentki z David Higham Associates, która wierzyła we mnie od samego początku, a jej niezłomna cierpliwość dodaje mi sił już od wielu lat. Ponadto dziękuję Harriet Moore, Alice Howe i całemu zespołowi David Higham Associates. Jestem również ogromnie wdzięczna Allison Hunter i Kim Witherspoon z Inkwell Management za fachową pomoc i poradę.

Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego wydawcy niż Christine Kopprasch z Crown. Niewyczerpane pokłady entuzjazmu, przyjaznego zainteresowania oraz godnego podziwu profesjonalizmu sprawiają, że jest niezastąpiona. Nie wspominając o tym, iż maile od Christine niezawodnie poprawiają mi humor. Współpraca z nią i pozostałymi członkami zespołu Crown była dla mnie prawdziwą przyjemnością.

Dostałam nieocenione informacje zwrotne od pierwszych czytelniczek wczesnych szkiców powieści, które – tak się składa – są również moimi przyjaciółkami. Megan Bradbury, Emily Midorikawa i Gayle O'Brien, każda z nich stanowiła dla mnie wzór oraz źródło motywacji i inspiracji. Moja siostra, Jane Frankel, udzieliła mi bezcennych wskazówek dotyczących Callie, pomogła mi ją lepiej zrozumieć. Wielokrotnie bez cienia protestu wysłuchiwała moich tyrad na temat poszczególnych elementów fabuły podczas naszych licznych rozmów telefonicznych. Przede wszystkim jednak pragnę podziękować mamie, Leslie Frankel, za wartościowe rady dotyczące późniejszych szkiców. Jest nie tylko wspaniałą matką, lecz również poważną czytelniczką. Zawsze mogłam liczyć na jej szczerą opinię.

Przyjaciele odgrywają ogromną rolę w moim życiu i pisaniu, nie zdołam wymienić wszystkich, którzy udzielili mi wsparcia i inspiracji. Szczególne podziękowania należą się Danie D'Auria, mojej najlepszej przyjaciółce od 1988 roku, dziewczynie, która z uśmiechem na ustach wsiądzie do samolotu i pokona 5000 kilometrów tylko po to, żeby mi zrobić niespodziankę. Stephanie Litos, której rady pomogły mi wytrwać dłużej, niż sądzi. Laurze Fowles, wiecznie skorej do śmiechu i zabawy.

Wielkie dzięki ukochanej rodzinie: Bobowi i Deborah Frankel, wszystkim Frankelom, Kramerom, Seldenom i Howardom. Nie dokonałabym niczego bez Was.

Mojemu mężowi, Johnowi, który jest najzabawniejszym i najmiłszym facetem pod słońcem. Towarzyszył mi nakażdym kroku tej podróży z nieziemską cierpliwością i miłością. Nie potrafiłabym sobie Ciebie wymarzyć. Jesteś najlepszy, naprawdę.

Spis treści

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

CALLIE

REBECCA

CALLIE

Podziękowania